

# ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ  
ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW  
PL ISSN 1426-2126



71 2017

ALBIN GŁOWACKI



NA POMOC  
ZESŁAŃCZEJ  
EDUKACJI

 WYDAWNICTWO  
UNIWERSYTETU  
ŁÓDZKIEGO

# Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO  
NR 71 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2017

## Spis treści

• <b>Albin Głowacki</b> <i>Na pomoc zesańczej edukacji.....</i>	<b>3</b>
• <b>Wojciech Marciniak</b> <i>Problem repatriacji polskich zesańców z ZSRR w stosunkach polsko-radzieckich w latach 1944-1947.....</i>	<b>31</b>
• <b>Andrzej Niedziela</b> <i>Powrót z Mandżurii w 1921 roku przez morza i oceany do Ojczyzny.....</i>	<b>49</b>
• <b>Joanna Arvaniti</b> <i>Polskie drogi do niepodległości .....</i>	<b>65</b>
• <b>Dobromiła Teresa Bystrzycka</b> <i>Przeszłość w pamięci ukryta.....</i>	<b>83</b>
• <b>Elżbieta Smułkowa</b> <i>W stepach północnego Kaukazu. Bałka, czyli parów.....</i>	<b>95</b>
<b>RELACJE Z ZESŁANIA</b>	
• <b>Bronisława Bejda i Wacław Borkowski</b> <i>Ważniejsze epizody z pięcioletniego pobytu rodziny Borkowskich na „niełudzkiej ziemi” .....</i>	<b>101</b>
• <b>Franciszek Staniul</b> <i>Z gimnazjum do łagrów.....</i>	<b>104</b>
<b>KRONIKA</b>	
• <b>Monika Szarejko</b> <i>Operacja polska” NKWD 1937-1938 – wystawa czasowa Muzeum Pamięci Sybiru .....</i>	<b>117</b>
• <i>Z życia Muzeum Katyńskiego – Oddziału Martyrologicznego Muzeum Wojska Polskiego.....</i>	<b>123</b>

## Od redakcji

Podobnie jak poprzednie numery naszego pisma także i ten stanowi powrót do relacji polsko-syberyjskich Z publikowanych artykułów wylania się obraz życia i przykrych doświadczeń zesańców – głodu, poniżania czy śmierci, nasuwający także szersze refleksje z tym związane. Tak się złożyło, że ja też byłem zesańcem zmagającym się z losem łagiernika, i to właśnie przekonuje mnie o konieczności wielostronnych badań dotyczących deportacji Polaków na Syberię.

Istniejący ponad dwadzieścia lat „Zesłaniec” posiada w swych rejestrach bibliograficznych wiele tekstów ukazujących różnorodność naszych losów na Syberii, a także problemy polskiego dziedzictwa naukowego i gospodarczego za Uralem w XIX oraz w początkach XX wieku.

Niezwykle ważne jest zatem pielęgnowanie pamięci o tym i przypominanie go współczesnym pokoleniom rodaków. Dla pełniejszego obrazu tych zasług istotne znaczenia ma współpraca z autorami rosyjskimi, których artykuły oparte na dokumentach z syberyjskich archiwów wzbogacają tę faktografię oraz inspirują do szczegółowych badań. Trzeba też pamiętać, że problem związków polsko-syberyjskich należał do niechcianych w historiografii radzieckiej, obecnie natomiast coraz częściej podejmowany jest przez badaczy rosyjskich i przyczynia się do poznania osiągnięć Polaków w dziedzinie nauki, gospodarki i kultury na Syberii.

Zgodnie z przyjętym przed laty projektem edytorskim „Zesłańca”, jest on konsekwentnie realizowany. Publikowane teksty dotyczą polskiego dziedzictwa na

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

• *Pamiętnik Emila Dybowskiego*, oprac. Anna Brus, seria: *Kresy w polskich pamiętnikach i listach (1795-1918)*, Warszawa 2017, s. 182.

(Małgorzata Dziura).....129

• *Tak było... Sybiracy*, tom 15 – *Syberyjskie szlaki polskich zesłańców 1940-1946*, Kraków 2015, s. 260 i tom 16 – *Oni przetrwali*, Kraków 2016, s. 292.

(Antoni Kuczyński).....131

**Na okładce:** Strona tytułowa książki: A. Głowackiego, *Na pomoc zesłańczej edukacji*, Łódź 2017. (s. 1); plansza tytułowa wystawy „Operacja Polska” NKWD 1937-1938, przygotowanej przez Muzeum Pamięci Sybiru (s. 4).



Syberii, relacji zesłańczych, zagadnień kulturowych, dziejów Kościoła katolickiego, badań etnograficznych, V Syberyjskiej Dywizji, budowy kolei transsyberyjskiej, kwestii etnicznych itp., a ich autorzy pochodzą z różnych krajowych ośrodków akademickich, coraz częściej też z Federacji Rosyjskiej, zwłaszcza z jej syberyjskich regionów.

Podobnie jak w poprzednich numerach także i w tym są artykuły o tematyce historyczno-kulturowej, relacje z zesłania, recenzje oraz kronika informująca o konferencjach naukowych oraz powstającym w Białymstoku Muzeum Zesłańców Sybiru. Dziękuję zespołowi redakcyjnemu za edytorski trud, zaś Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie za finansowe wspieranie naszego kwartalnika.

**Wiesław Krawczyński**  
**Przewodniczący Rady Naukowej**  
**Zarządu Głównego Związku Sybiraków**



Projekt współfinansowany w ramach sprawowania opieki  
Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą

**Wydawca:** Zarząd Główny Związku Sybiraków, ul. Mazowiecka 12; 00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71. **Redakcja:** A. Dobroński, A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński, A. Kuczyński (red. nac.), A. Milewska-Młynik; **Sekretarz redakcji:** M. B. Kuczyńska. **Wykonawca:** Skład, druk i oprawa – QUAESTIO Przemysław Włodarczyk. **Copyright nazwy:** „Zesłaniec” by A. Kuczyński. **Adres redakcji:** ul. Bystrzycka 61/3; 54-215 Wrocław.

---

---

ALBIN GŁOWACKI

## NA POMOC ZESŁAŃCZEJ EDUKACJI

Po przejściu w 1917 r. władzy w Rosji, bolszewicy zadbali o to, aby stopniowo zapewnić sobie w kraju m.in. pełną kontrolę nad przekształcaniem świadomości obywateli w duchu ideologii marksistowsko-leninowskiej. Zaangażowali do tego wszystkie struktury państwa i rządzącej partii: ich aparat administracyjny, system edukacyjny, wojsko, organizacje społeczno-polityczne, prasę, radio, wydawnictwa, muzea, kino, teatr, estradę itd. W tamtym scentralizowanym systemie indoktrynacji społeczeństwa bardzo istotna rola przypadła szkole i książce. Jest oczywiste, że działaniom tym zostali poddani także Polacy, którzy zamieszkiwali w państwie radzieckim.

W późniejszym okresie objęły one również obywateli II Rzeczypospolitej na terenach zaanektowanych przez Kreml po inwazji 17 września 1939 r., w tym setki tysięcy osób deportowanych stamtąd w głąb terytorium ZSRR. Z myślą o dotarciu do „nowych obywateli radzieckich” z przekazem ideologii w ich języku ojczystym okupacyjna władza – po zainstalowaniu się na wschodnich ziemiach RP – uruchomiła tam m.in. wydawanie gazet i książek, nadawała audycje radiowe, wystawiała „zaangażowane” sztuki teatralne, zapewniła szkolnictwo z polskim językiem wykładowym<sup>1</sup>.

Kiedy ponad ćwierć wieku temu przygotowałem informacyjne opracowanie na temat ogółu polskojęzycznych wydawnictw książkowych w ZSRR<sup>2</sup>, stwierdziłem m.in., że w odniesieniu do okresu II wojny światowej żadna z ówczesnych oficyn, publikujących tam po polsku, nie doczekała się naukowej monografii. I stan taki trwa w zasadzie do chwili obecnej. Wobec tego, że nowe możliwości badawcze i szanse źródłowe pozwalają dzisiaj na podjęcie próby wypełnienia tej luki (nie tylko w polskiej historiografii), uznałem za realne

---

<sup>1</sup> Szerzej na ten temat patrz m.in.: B. Bernacki, *»Najostrzejsze narzędzie naszej partii...«*. *Okupacja sowiecka północno-wschodnich ziem Drugiej Rzeczypospolitej (1939-1941) w świetle polskojęzycznej prasy »gadzinowej«*, Toruń 2009; W. Bonusiak, *Polityka ludnościowa i ekonomiczna ZSRR na okupowanych ziemiach polskich w latach 1939-1941 (»Zachodnia Ukraina« i »Zachodnia Białoruś«)*, Rzeszów 2006; G. Hryciuk, *Polacy we Lwowie 1939-1944. Życie codzienne*, [Warszawa] 2000; A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1941*, Łódź 1998; W. Śleszyński, *Okupacja sowiecka na Białostoczczyźnie w latach 1939-1941. Propaganda i indoktrynacja*, Białystok 2001.

<sup>2</sup> A. Głowacki, *Polskojęzyczne wydawnictwa książkowe w ZSRR*, [w:] *Mniejszości polskie i Polonia w ZSRR*, pod redakcją H. Kubiaka, T. Palecznego, J. Rokickiego, M. Wawrykiewicz, Wrocław-Warszawa-Kraków 1992, s. 221-236.

i celowe przedstawienie (na początek) działalności i dorobku wyjątkowej w polskich dziejach komórki wydawniczej, której patronował, istniejącej w Moskwie w latach 1943-1946, Komitet ds. Dzieci Polskich w ZSRR (*Kompoldiet*). Komórkę tę utworzono w celu zaspokojenia pilnych potrzeb szkół dla dzieci polskich zesłańców, które to placówki organizowano właśnie pod egidą wspomnianego Komitetu (swego rodzaju miniaturowy resort edukacji dla polskich uczniów). Do jego zadań należało m.in. wydawanie po polsku programów nauczania i podręczników szkolnych oraz pomocy naukowych. O tym, jak (z różnych powodów) ważna to była misja, niech świadczy fakt, że – po fali stalinowskiego ludobójstwa wobec Polaków w ZSRR w okresie międzywojennym (szacuje się, że represje dotknęły wtedy nawet do 200 tys. osób polskiej narodowości) – tuż przed wybuchem II wojny światowej w ogóle już nie istniało w ZSRR szkolnictwo dla polskiej mniejszości narodowej, a także wydawnictwa polskojęzyczne.

Wspomniana powyżej inwazja Armii Czerwonej na Polskę 17 września 1939 r. i aneksja przez ZSRR wschodnich ziem II RP przyniosły falę represji reżimu stalinowskiego wobec mieszkańców tamtych terenów. Więzienia i areszty zapełniały się „wrogami ludu”, a setki tysięcy innych osób zostało w latach 1940-1941 przymusowo wywiezionych w głąb terytorium okupanta, gdzie przyszło im wegetować w dramatycznie trudnych warunkach. Wśród nich były także dzieci. Te, które podlegały obowiązkowi szkolnemu, zmuszano do uczęszczania do miejscowych placówek oświatowych i do nauki w języku rosyjskim. Na krótko odmianę tej sytuacji przyniosła normalizacja stosunków polsko-radzieckich (30 lipca 1941 r.). Jednakże w 1943 r., kiedy to znowu narzucono obywatelom polskim w ZSRR obywatelstwo okupanta, kiedy to Kreml zerwał stosunki z rządem RP na uchodźstwie i postawił na polskich komunistów (utworzył Związek Patriotów Polskich – ZPP), sprawy edukacji zesłańców oddano w gestię nowo powstałej instytucji. Był nią Komitet ds. Dzieci Polskich w ZSRR. Oznaczało to, że od 1 września 1939 r. dzieci polskie, które zamieszkiwały wschodnie tereny RP, wcielone następnie do ZSRR, doświadczyły w całym sześcioletnim okresie wojny, okupacji i zsyłki aż pięć (!) systemów oświatowych.

Dzieje Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR nie doczekały się do dziś monograficznego opracowania. Zaledwie incydentalnie wzmiankowano o nim przy okazji podejmowania kwestii działalności oświatowej Związku Patriotów Polskich albo (rzadko) we wspomnieniach aktywistów tej organizacji, nauczycieli i innych zesłańców.

Jako pierwszy problematykę tę podjął przed 60 laty ukraiński badacz Pawło Kałenyczenko w monografii na temat polskiej emigracji postępowej (!?) w ZSRR w latach drugiej wojny światowej<sup>3</sup>. W oparciu o akta *Kompoldietu* naszkicował on pokrótce okoliczności powstania tego Komitetu, jego zadania, a także rolę w tworzeniu i reorganizacji (współ z ZPP) szkół oraz innych placówek dla dzieci zesłańców. Ustalił, że Komitet przygotował i wydał 29 podręczników oraz pomocy naukowych w ogólnym nakładzie 122 828 egzemplarzy.

---

<sup>3</sup> П. М. Калениченко, *Польська прогресивна еміграція в СРСР в роки Другої світової війни*, Київ 1957, ss. 211, 5 nlb.

Tematyka ta została zdecydowanie szerzej omówiona w książce Elżbiety Treli pt. *Edukacja dzieci polskich w Związku Radzieckim w latach 1941-1946*, opublikowanej przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe prawie 35 lat temu (1983). Autorka przedstawiła w niej „dzieje kształcenia i wychowania dzieci polskich przebywających w latach 1941-1946 na terytorium Związku Radzieckiego”. W jednym z podrozdziałów zamieściła opisowe informacje o działalności edytorskiej *Kompoldietu* i ZPP, natomiast w aneksie – wykaz opublikowanych 21 podręczników. Te spostrzeżenia o dokonaniach wydawniczych Komitetu ogłosiła E. Trela wcześniej także w artykule<sup>4</sup>.

Kwestie różnorakiej opieki nad dziećmi zesłańców polskich znalazły odbicie w opracowaniu Albina Głowackiego pt. *Ocalić i repatriować*<sup>5</sup>, dotyczącym głównie działalności opiekuńczej Związku Patriotów Polskich w ZSRR. Problematyka szkolna zajmuje w tej pracy sporo miejsca. Tamże przedstawione są uwagi o przedsięwzięciach wydawniczych *Kompoldietu*. Po raz pierwszy w polskim piśmiennictwie został tu opublikowany szczegółowy wykaz (z poprawnym, pełnym zapisem bibliograficznym) wszystkich 21 podręczników i śpiewników oraz 9 planów i programów nauczania, wydanych pod auspicjami Komitetu.

Wspomniane wyżej polskie opracowania naukowe nie bazowały jednak szerzej na podstawowym materiale, jakim jest spuścizna archiwalna *Kompoldietu*. Wykorzystano w nich jedynie wybrane dokumenty, opublikowane po rosyjsku<sup>6</sup>, oraz odpowiednie polskie edycje źródłowe, w których znalazły się również materiały archiwalne z ZSRR<sup>7</sup>. Z tego powodu opracowania te mają wciąż niepełny walor informacyjny.

Szerszy dostęp do archiwów radzieckich umożliwił uzbeckiemu badaczowi – Szodmankułowi Pirimkułowowi – przygotowanie w końcu lat 80. minionego stulecia rozprawy habilitacyjnej na temat ludności polskiej w ZSRR w latach 1941-1946<sup>8</sup>. W opublikowanych w formie książki prawie pięciu rozdziałach tej pracy<sup>9</sup> znalazł się też wątek dotyczący organizacji i działalności szkół dla dzieci zesłańców. Jest on napisany głównie w oparciu o archiwalia ZPP z Archiwum Akt Nowych, ale i o akta *Kompoldietu*. W krótkim podrozdziale o podręcznikach szkolnych i pomocach naukowych scharakteryzowano proces ich przygotowania do druku oraz przedstawiono (niestety, niezbyt

<sup>4</sup> E. Trela, *Polskie wydawnictwa szkolne w ZSRR w latach 1943-1946*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej im. Powstańców Śląskich w Opolu” 1980, Seria A, Historia XVII, s. 119-132.

<sup>5</sup> A. Głowacki, *Ocalić i repatriować. Opieka nad ludnością polską w głębi terytorium ZSRR (1943-1946)*, Łódź 1994, ss. 297.

<sup>6</sup> *О деятельности Комитета по делам польских детей в СССР*, подготовили И. И. Белов и Е. В. Корнева, «Исторический архив» 1962, № 4, s. 57-77.

<sup>7</sup> *Szkolnictwo polskie w ZSRR 1943-1947. Dokumenty i materiały*, Opracował R. Polny. Pod redakcją S. Skrzyszewskiego, Warszawa 1961; *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. VII-IX, [Warszawa] 1973-1974.

<sup>8</sup> Ш. Д. Пиримкулов, *Польское население в СССР. 1941-1946 гг.*, Москва 1990, ss. 483 (maszynopis pracy dostępny w Rosyjskiej Bibliotece Państwowej w Moskwie).

<sup>9</sup> Idem, *Польские школы и детские учреждения в СССР (1941-1946 гг.)*, Ташкент 1990, ss. 164.

precyzyjne) zestawienie opublikowanych 19 tytułów podręczników. Autor zakończył te rozważania konkluzją, że zaopatrzenie szkół polskich i radzieckich w podręczniki okazało się w zasadzie takie samo (odczuwały dotkliwie ich braki), gdyż ich wydawanie było ograniczone z powodu niedostatków papieru i wykwalifikowanych specjalistów (zmobilizowani na front).

Natomiast niemal wyłącznie na podstawie akt Komitetu powstał, niedawno opublikowany, tekst Lilianny Ladoruckiej o polskich domach dziecka w Uzbekistanie w latach 1943-1946<sup>10</sup>.

Powyższy przegląd literatury, poświęconej *Kompoldietowi*, pozwala stwierdzić, że na temat działalności wydawniczej tej instytucji znane są zaledwie podstawowe informacje. W pełni zasadne jest więc podjęcie próby poszerzenia tej wiedzy. Realizację takiego projektu zapoczątkowałem jeszcze w 1987 r., ale jego sfinalizowanie stało się możliwe dopiero obecnie. Częściowym efektem moich studiów z tego zakresu są m.in. publikacje o *Kompoldiecie* oraz o zesłańczej edukacji<sup>11</sup>.

Podstawową bazę źródłową niniejszego opracowania stanowi spuścizna archiwalna Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR, przechowywana w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej w Moskwie. Podczas kolejnych pobytów w nim, dogłębnie przebadłem ją jako pierwszy historyk z Polski. Zawiera ona bardzo bogaty materiał na temat działalności edytorskiej *Kompoldietu* – m.in. protokoły posiedzeń odpowiednich gremiów, korespondencję, akta personalne, maszynopisy opracowań oraz ich recenzje wydawnicze. W uzupełnieniu tych akt sięgnąłem we wspomnianej placówce archiwalnej również po dokumentację Państwowego Wydawnictwa Szkolno-Pedagogicznego (*Uczpiedgizu*), z którym *Kompoldiet* ściśle współpracował.

Bardzo cenny materiał odnalazłem w Archiwum Akt Nowych w Warszawie, zwłaszcza w aktach Żanny Kormanowej i Stanisława Skrzyszewskiego (czołowych postaci *Kompoldietu*), a także w spuściznie Związku Patriotów Polskich – współorganizatora szkolnictwa dla dzieci polskich zesłańców w ZSRR. Pozostały materiał archiwalny pochodzi z innych placówek poradzieckich, polskich i anglosaskich, jak również z opublikowanych zbiorów dokumentów, wspomnień, relacji, pamiętników, prasy oraz opracowań. Ma on, w przypadku podjętego przeze mnie tematu, charakter uzupełniający w stosunku do najważniejszej, czyli archiwalnej bazy wytworzonej przez *Kompoldiet*. Dużym wyzwaniem, uwieńczonym sukcesem, stało się dotarcie do wszystkich

---

<sup>10</sup> L. Ladorucka, *Uwagi o domach dziecka dla dzieci polskich w Uzbekistanie w latach 1943-1946*, [w:] *Wokół spraw trudnych, bolesnych i zapomnianych. Studia i szkice*, pod red. E. Kowalczyk, L. Ladoruckiej, W. Marciniaka, B. Szubtarskiej i J. Żelazko, Łódź 2014, s. 541-569.

<sup>11</sup> A. Głowacki, *Dokonania Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR w dziedzinie wydawnictw edukacyjnych*, [w:] *Dzieje kształtowania się polskich instytucji oświatowych* pod redakcją E.A. Mierzwy, Piotrków Trybunalski 2002, s. 293-306; idem, *Kadry Komitetu do spraw Dzieci Polskich w ZSRR przy Ludowym Komisariacie Oświaty RFSRR (1943-1946)*, „Przegląd Historyczno-Oświatowy” 2002, [nr] 1-2, s. 17-32; idem, *Problemy edukacji dzieci polskich zesłańców (1940-1941)*, ibidem, 2015, [nr] 1-2, s. 107-119; idem, *Problemy edukacji dzieci polskich zesłańców (1941-1946)*, ibidem, 2016, [nr] 1-2, s. 173-193.

wydawnictw tego Komitetu, czemu służyły poszukiwania w bibliotekach naukowych Moskwy, Leningradu, Warszawy, Wrocławia, Krakowa i Łodzi. Wykorzystana baza materiałowa w zupełności wystarcza do realizacji tytułowego zagadnienia, które to, powtórzmy, w tak pełnym zakresie nie było dotychczas przedmiotem badań – ani w Polsce, ani poza jej granicami.

Celem monografii, której fragmentem jest publikowany tekst, było odtworzenie – na podstawie analizy różnych źródeł: archiwaliów i drukowanych zbiorów dokumentów, ale także memuarystyki i prasy – całokształtu działalności edytorskiej Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR. W szczególności chodzi o ukazanie:

- \* jakie czynniki determinowały tę działalność?
- \* kto (instytucjonalnie i personalnie) był w nią zaangażowany?
- \* co planowano wydać, co zdołano ukończyć, a co i z jakich powodów nie ukazało się?
- \* jakie przesłanie ideowe zawierały programy i podręczniki szkolne?
- \* jaką rolę w pracy szkół dla dzieci polskich zesłańców odegrały opublikowane wydawnictwa?

Zakres chronologiczny opracowania formalnie obejmuje lata 1943-1946, a więc okres istnienia *Kompoldietu*. Faktycznie jednak niezbędne okazało się rozszerzenie tych ram i uwzględnienie także okresu 1939-1942. Pozwoliło to na ukazanie (choć w bardzo dużym skrócie) okoliczności, w jakich obywatele polscy zostali deportowani w głąb ZSRR, oraz warunków, w jakich urzędowo próbowano organizować tam nauczanie w języku rosyjskim dla dzieci zesłańców. Dla dostrzeżenia i zrozumienia rangi dokonań edytorskich *Kompoldietu* absolutnie niezbędne okazało się naszkicowanie realiów, w jakich ta „edukacja” zesłańcza odbywała się wcześniej, oraz przypomnienie, w jakim stopniu zmieniło się to po normalizacji stosunków polsko-radzieckich (po 30 lipca 1941 r.). Dzięki temu łatwiej zorientować się w swego rodzaju bilansie otwarcia oraz uzmysłwić sobie warunki startu ZPP i *Kompoldietu*, które to podmioty wspólnie podjęły się w połowie 1943 r. obowiązków organizatorów szkolnictwa dla dzieci polskich deportowanych. Zarazem stwarza to możliwość porównania i oceny tego, co udało się zrobić na niwie wydawniczej do 1946 r.

Warto też wspomnieć tutaj w ogóle o „głodzie książek” w języku polskim, czyli o tym, że zesłańcy (dorośli i dzieci) cierpieli z powodu niemal powszechnego ich braku na przymusowym osiedleniu. O tym, czym one dla nich były, wymownie świadczą choćby słowa Doroty Parnas, która napisała:

Kiedy się okazało, że nawet po ciężkiej pracy musi się choć na chwilę zająć stroskany umysł lekturą – lektury tej nie było. Zaczęto alarmować listownie krewnych i znajomych we Lwowie czy Tarnopolu o jakieś książki, ale zawsze pierwszeństwo w przesyłkach miały masło i cukier [...]. Jednakże trafiali się poczciwcy, którzy [...] wysyłali, od czasu do czasu, co w rękę popadło [...]. Każdy czytał »od deski do deski« wszystko, co tylko było w języku polskim wydrukowane<sup>12</sup>.

Przy wszelkich współczesnych ocenach działalności wydawniczej *Kompoldietu* należy pamiętać przede wszystkim o tym, że była ona prowadzona

---

<sup>12</sup> D. Parnas, *Książka i prasa polska w ZSRR w latach 1940-1945*, „Odrodzenie” 1947, R. IV, nr 1, s. 3.



na obczyźnie, w totalitarnym państwie rządzone przez komunistów (które w zмовie z Adolfem Hitlerem zaatakowało Polskę w 1939 r.), w warunkach straszliwej wojny z Niemcami (od 1941 r.), w sytuacji powszechnych niedoborów aprowizacyjnych. Kolejne lata bez szkoły z polskim językiem nauczania groziły zupełnym wynarodowieniem i sowietyzacją dzieci zesłańców. Wobec tego, że możliwości zorganizowania takiej szkoły (a więc i edycji podręczników dla niej) w zasadniczym stopniu zależały od stanu stosunków polsko-radzieckich, o przełomowych wydarzeniach w tych relacjach należało choćby wspomnieć. Dotyczy to również potrzeby ukazania okoliczności narodzin (oraz oblicza ideowego) Związku Patriotów Polskich i Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR. *Kompoldiet* pracował w rytmie, jaki wyznaczał rok budżetowy (sprawozdawczy). Dlatego zdecydowałem się tu na zaprezentowanie jego działalności właśnie w okresach rocznych (1943, 1944, 1945-1946).<sup>13</sup> Ograniczona dostępność opisywanych podręczników szkolnych i programów nauczania skłoniła mnie do zamieszczenia ilustracji, które pomogą poczuć specyficzną atmosferę czasu narodzin i ducha tych wydawnictw.

\*\*\*

Wśród priorytetowych zadań wydawniczych *Kompoldietu* znalazło się, z oczywistych względów, opublikowanie elementarza. W tym przypadku zdecydowano sięgnąć po wydrukowany w 1940 r. we Lwowie podręcznik autorstwa Henryka Balka oraz Zofii Charszewskiej i przygotować jego nowe wydanie<sup>14</sup>.

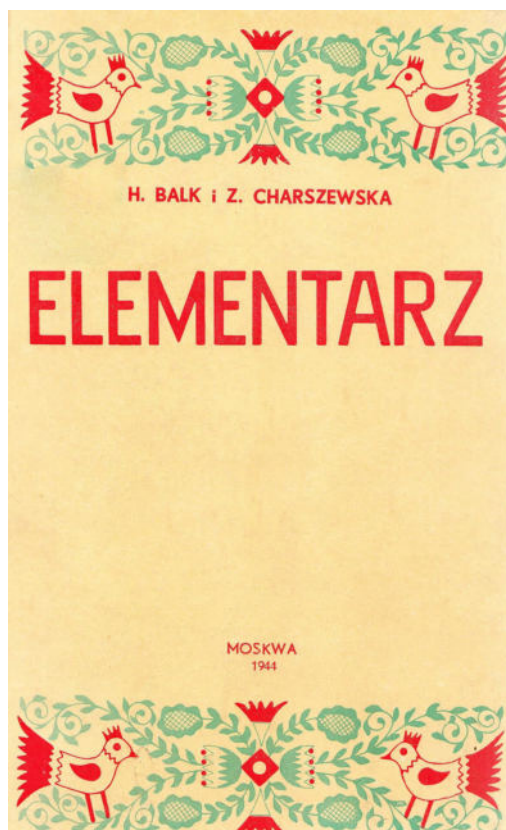
Do tego oryginalnego tekstu S. Skrzyszewski formalnie zgłosił na piśmie (z datą 28 września 1943 r.) ponad 70 uwag<sup>15</sup>. W zasadzie można powiedzieć, że zaadaptował on zawartość elementarza do nowej sytuacji. Jego uwagi miały bowiem nie tylko charakter szczegółowych poprawek językowych, uwzględniających choćby kolejność poznawania przez dzieci liter (np. zamiast Ela – Ala, zamiast Edek – Tadek), ale też wskazywały na konieczność wprowadzenia zmian, które nadawałyby podręcznikowi bardziej, niż w wersji z 1940 r., polski, narodowy charakter. Zgodnie więc z tymi sugestiami, w różnych miejscach

<sup>13</sup> Zasadnicze rozważania, zawarte w rozdziałach II-V opublikowanej książki pt. *Na pomoc zesłańczej edukacji*, Łódź 2017, są poprzedzone, niezbędnymi według mnie, uwagami dotyczącymi w ogóle sfery szkolnictwa w języku polskim w ZSRR w pierwszym okresie II wojny światowej i następnie „edukacji” deportowanych dzieci w głębi terytorium ZSRR. Ta początkowa część monografii (rozdział I) ukazuje, w jak skrajnie trudnych warunkach „uczyli się” zesłańcy w szkołach rosyjskich i kazachskich (1940-1941) oraz jak faktycznie funkcjonowały „szkoły” organizowane z inicjatywy i przez przedstawicieli terenowych placówek Ambasady RP w okresie 1942-1943. Obiektywnie należy stwierdzić, że tym dzieciom, które w okresie sześcioletniego pobytu na zsyłce mogły i rzeczywiście uczęszczały do polskich szkół *Kompoldietu* (1943-1946), uratowano dwa-trzy lata szkolnej edukacji. Częste przywoływanie w tekście nazw geograficznych spowodowało, że – w trosce o poprawność i ujednoczenie ich pisowni – sięgałem po odpowiednie ustalenia zawarte w *Encyklopedii geografii świata*, [tom] *Europa Wschodnia, Azja Północna i Środkowa, Zakaukazie*, Warszawa [1997].

<sup>14</sup> H. Balk i Z. Charszewska, *Elementarz*, Zatwierdzone przez LKO USRR, Kijów-Lwów 1940, ss. 95, 1 nlb, nakład 46 000 egz.

<sup>15</sup> Zmiany wprowadzone do elementarza, Państwowe Archiwum Federacji Rosyjskiej (dalej: GARF), sygn. A 304-1-7, k. 33-35.

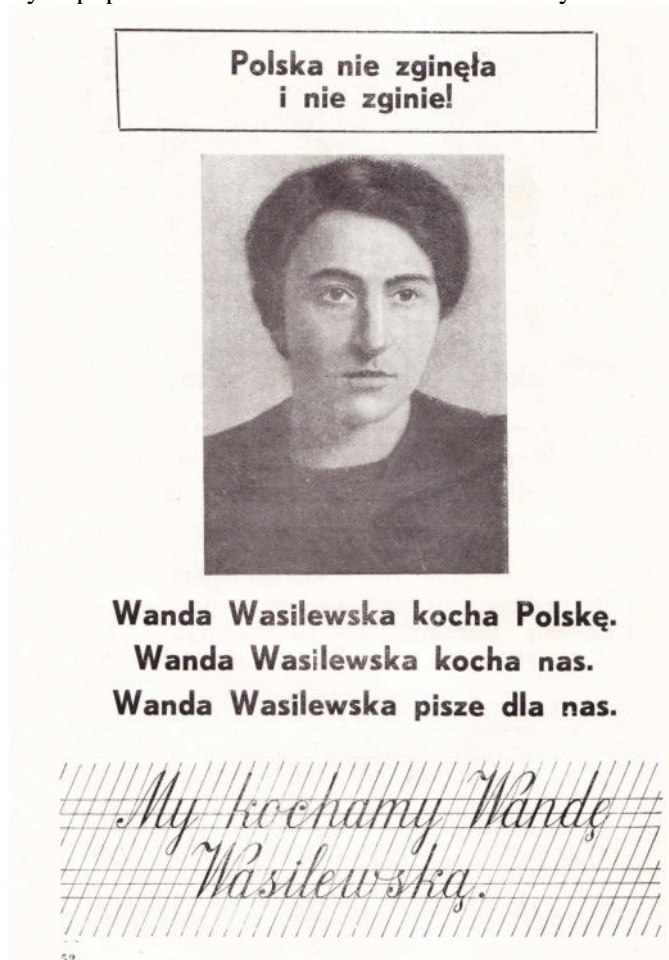
usunięto z dawnego tekstu strony poświęcone wychowaniu w duchu komunistycznym. Zamieszczone dotychczas na s. 4 *Elementarza* portrety Stalina i Lenina proponowano zastąpić godłem Rzeczypospolitej. Wraz z tym dodano tam hasła: „Niech żyje Polska!”, „Związek radziecki [!] – to nasz przyjaciel!”, „Śmierć niemieckim okupantom!”. Pojawiły się też strofki o przewodniczącej Związku Patriotów Polskich w ZSRR – Wandzie Wasilewskiej i o dowódcy I Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR – gen. bryg. Zygmuncie Berlingu. Wprowadzono tchnące optymizmem dopiski: „Uczymy się dla Polski”; „Pojadę do Krakowa”; „Wrócimy do domu!”; „Odbudujemy Polskę!”; „Hitler poczuł się Czerwonej Armji!” [!]; „Niech żyje Polska!”. Ponadto zmieniono bądź usunięto niektóre wierszyki. W miejsce rysunku Kijowa zaproponowano Kraków, pojawił się tekst o Warszawie w niewoli niemieckiej i o ówczesnej Polsce. Zupełną nowością było zamieszczenie obok tekstu o rocznicy rewolucji 7 listopada 1917 r. – także o 11 listopada, polskim święcie narodowym. Usunięto z kalendarza radziecki symbol – sierp i młot.



Sprawę tych zmian omawiała Komisja *Kompoldietu* na posiedzeniach 22 i 27 września 1943 r.<sup>16</sup> Recenzję wydania *elementarza* z 1940 r. przygotowała Balbina Rafałowska, a na jego temat wypowiedali się też Stanisław Skrzyszewski, Henryk Wolpe i Żanna Kormanowa. Istota ich uwag spro-

<sup>16</sup> Protokoły nr 3 i nr 4 posiedzeń Komisji, ibidem, sygn. A 304-1-11, k. 9, 13.

wadzała się do wytknięcia braków i niedociągnięć. Jednomyślnie uznano, że należy przede wszystkim usunąć szereg błędów językowych, zmienić rysunki oraz zamieścić portrety współczesnych polskich działaczy, m.in. Wandy Wasilewskiej (inne – uzgodnić z ZG ZPP). Po uwzględnieniu wszystkich tych i wcześniejszych poprawek elementarz zatwierdzono do wydania.



W porównaniu do radzieckiej wersji z 1940 r. rzeczywiście przybrał on charakter bardziej narodowy polski. W opublikowanej recenzji H. Wolpe ocenił, że materiał podebrany dla dzieci jest żywy, wesoły, pełen radości, a rysunki (zabawy, przyroda, praca, szkoła, wojna, Kraków, Warszawa) są ściśle związane z tekstem. Uważał, że podręcznik nawiązuje do okupacji niemieckiej i do walki partyzanckiej, że próbuje wzbudzić szacunek do radzieckiego święta 7 listopada i jednocześnie (wreszcie!) dostrzega 11 listopada – polskie święto narodowe. Zdaniem H. Wolpego, całość została przemyślana metodycznie, uwzględniała dziecięcą psychikę, była aktualna pod względem treści i pięknie opracowana<sup>17</sup>. W tym miejscu warto więc przytoczyć i słowa

<sup>17</sup> Г. Вольпе, *Польские учебники в СССР*, «Славяне» 1944, № 7, s. 31.

Gustawa Butlowa – starszego inspektora Wydziału Szkolnego *Kompoldietu*, który wizytował szkoły i domy dziecka w 1945 r. w obwodzie saratowskim (RFSRR). Przyglądał się on tam m.in.

mrówczej pracy nauczycieli polskich, którzy uczyli abecadła, wycinając z gazet litery drukowane i którzy wraz z dziećmi ze łzami radości witali przywiezione im nowe elementarze polskie, wydane przez Komitet<sup>18</sup>.



Natomiast Piotr Wojciechowski, nauczyciel w Wotczy (nieдалеко Wizyngi, Komi ASRR) wspominał:

Dzień nadejścia podręczników i polskich książek uważany był przez Polaków za niezwykle święto. Zanim książki zostały rozdzielone, przechodziły z rąk do rąk. Dzieci przyciskały je do serca, jak najdroższe skarby<sup>19</sup>.

---

<sup>18</sup> G. Butlow, *Wychodźstwo [!] polskie w ZSRR w latach 1939-1946*, [cz.] (VI), „Świat i Polska” 1947, nr 8, s. 6.



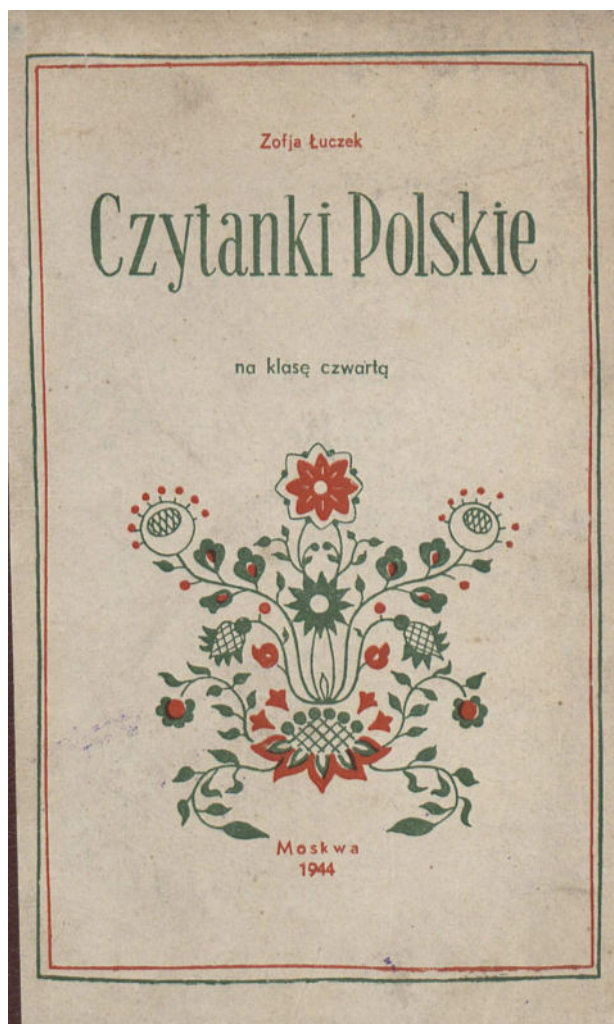
Kolejną propozycją wydawniczą, którą zajmowała się Komisja *Kompoldietu*, był pionierski projekt programu historii Polski dla klas III-IV i VI-VII. Jego autorka – Ż. Kormanowa – przedstawiła go na zebraniu tego gremium 27 września 1943 r.<sup>20</sup> Wcześniej, bo na łamach „Nowych Widnokręgów” z 5 września 1943 r., podjęła próbę odpowiedzi na pytanie, jak będzie się uczyć historii dzieci polskich zesłańców w ZSRR<sup>21</sup>. Świadoma ważnej roli tego przedmiotu w politycznej indoktrynacji uczniów i jego miejsca w ramach frontu ideologicznego, stwierdziła, że „historia w ogóle, a historia Polski w szczególności, winny w całokształcie nauki uzyskać pozycję kluczową”. Przyznała, że program nauczania powinien w pierwszym rzędzie obejmować historię

<sup>19</sup> P. Wojciechowski, *Gdy wrócić do Ojczyzny*, [w:] *Nauczyciele w walce o nową Polskę*, wybór materiałów i opracowanie K. Wojciechowski, [Warszawa 1970], s. 290.

<sup>20</sup> Protokół nr 4 posiedzenia Komisji, GARF, sygn. A 304-1-11, k. 13

<sup>21</sup> Ż. Kormanowa, *Nauka historii [!] w polskiej szkole w ZSRR*, „Nowe Widnokreśli” 1943, nr 17, s. 13-14.

ojczystą: w klasach III-IV – „w zakresie propedeutycznym”, w klasach VI-VII – „systematyczny kurs dziejów narodu polskiego”, natomiast w klasach VIII-X – „historia Polski, ujęta w zagadnienia z elementami nauki o Polsce”.



Struktura programu miała zagwarantować, że uczeń po zakończeniu dowolnego z trzech szczebli szkolnej edukacji – będzie znać całokształt wiadomości (należy rozumieć, że w różnym stopniu szczegółowości) o dziejach swego narodu. Ż. Kormanowa informowała, że:

poszczególne okresy historii powszechnej winny być uwzględnione w propedeutycznym kursie historii Polski. Systematyczny kurs historii powszechnej, poczynając od historii świata antycznego w klasie piątej, poprzez historię wieków średnich w klasach szóstej i siódmej, zamknąć winna historia nowożytna w klasach ósmej i dziewiątej, doprowadzona do współczesności. W ten sposób historia ojczysta i dzieje powszechne będą się wzajem uzupełniać tak, by młody Polak mógł rzecz każdą z przeszłości swego narodu widzieć na tle dziejów

świata. [...] Miejsce osobne zająć winna historia wielkiego kraju, [...] sąsiada ze Wschodu, który jest teraz i zostanie odtąd sojusznikiem Polaków.

W tym kontekście przypominała:

Polski oręż szczybił się nie tylko na polach chwały. Nurzał się we krwi białoruskiego i ukraińskiego chłopca, [...] zamierzał się na ziemię cudze, chciał dyktować swoją wolę w Moskwie w XVII, w Kijowie w XX wieku, uprawiał przez wieki twardą dyktaturę chłosty i szubienicy wobec własnego ludu.

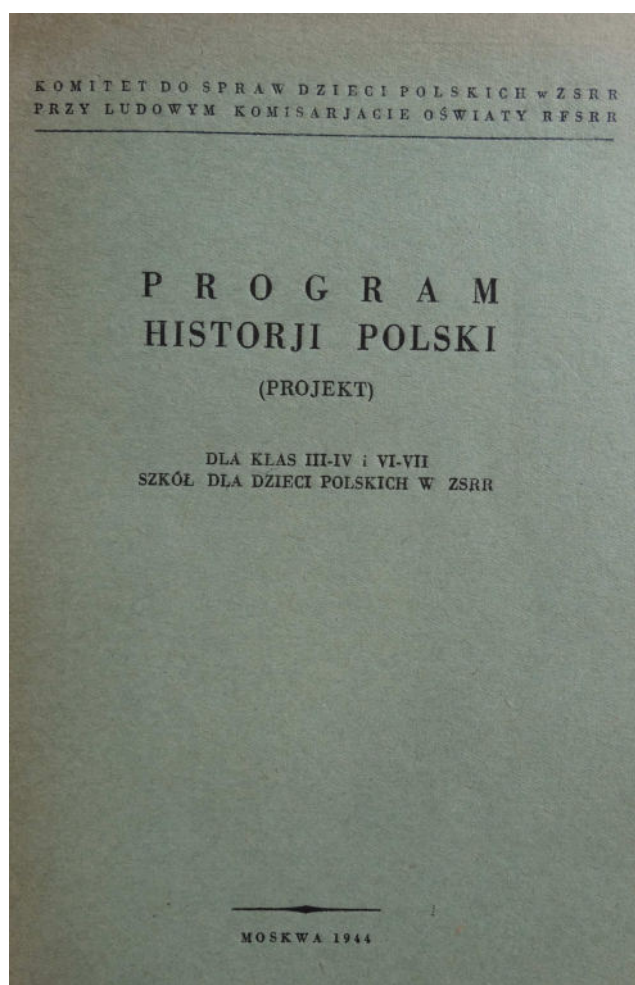
Takie i inne polityczne oraz klasowe sformułowania zapowiadały, że program historii ojczystej będzie wyraźnie akcentować idee rewolucyjne i służyć pomocą w wychowaniu obywateli przyszłej, „nowej Polski”. Uczestniczący w dyskusji nad tym projektem programu na posiedzeniu Komisji 27 września 1943 r. akademik Władimir Piczeta – słowianoznawca z Instytutu Historii Akademii Nauk ZSRR oraz z Katedry Historii Słowian Południowych i Zachodnich Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego – zaaprobował zasady tworzenia programu, podkreślając jednak, że materiał w nim zawarty jest nadzwyczaj obszerny, a wyeksponowane problemy zainteresują nie tylko uczniów, ale i studentów.

Pamiętam jego wyczerpujące przemówienie, precyzyjną analizę tekstu, uwagi krytyczne, co prawda nieliczne, podane z życzliwością i taktem, a także pozytywną w sumie ocenę całości tekstu – wspominała Ż. Kormanowa<sup>22</sup>.

---

<sup>22</sup> Eadem, *Ludzie i życie*, s. 197-198. Celowe wydaje się wszakże przypomnieć w tym miejscu, iż tenże uczony radziecki już w 1939 r. uczestniczył w propagandowym „uzasadnieniu” aneksji wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej przez ZSRR (В. И. Пичета, *Исторические судьбы Западной Украины и Западной Белоруссии*, [Москва] 1939, ss. 40; idem, *Исторический путь Западной Украины и Западной Белоруссии*, На правах рукописи, Москва 1939, ss. 8. Микрофонные материалы Всесоюзного радиокомитета. Исключительно для радиовещания. Для Сектора агитации и пропаганды, № 114; idem, *Западная Украина и Западная Белоруссия*, „Советская наука” 1939, № 12, s. 155-170; idem, *Основные моменты в исторических судьбах Западной Украины и Западной Белоруссии*, „Историк-марксист” 1939, № 10-11, s. 67-98). Natomiast w 1940 r. ukazała się w Moskwie obszerniejsza jego książka na ten temat pt. *Основные моменты исторического развития Западной Украины и Западной Белоруссии* (136 ss., 10 tys. egz. nakładu), w której zaprezentował zwarty zarys dziejów tych „pradawnych ziem rosyjskich” – od X do XX wieku. Jest to obraz długiej eksploatacji (pod klasowym i narodowym uciskiem) zamieszkujących je narodów oraz ich walki przeciwko „polskim panom”. Odrodzenie niepodległej Rzeczypospolitej po I wojnie światowej ukazał jako dzieło anglo-francuskich imperialistów, którzy zaplanowali wykorzystanie „pańskiej Polski” przeciwko młodej republice radzieckiej. Twierdził, że Polakom marzyło się rozszerzenie granic swego państwa „od morza do morza”. Zgodnie z trendem stalinowskiej propagandy przedstawił „burżuazyjno-obszarniczą” II RP jako twór, dla którego „białoruskie i ukraińskie ziemie były niczym innym jak koloniami”, eksploatowanymi w najostrzejszy sposób. RP prześladowała języki ukraiński i białoruski, a kulturę ludową uważała za „barbarzyńską, dziką”. „Białoruska i ukraińska wieś były rejonami śmierci, a nie życia”. Zdaniem Piczety, wyzwolenie spod „pańskiej niewoli” przyniosła im dopiero Armia Czerwona w 1939 r. Można przypuszczać, że na jego udział w oficjalnej, takiej właśnie, antypolskiej akcji propagandowej miał wpływ fakt, iż jeszcze

Przychylnie o treści programu wypowiedział się też Stefan Wierbłowski, m.in. doceniając zamieszczenie w nim cennych wskazówek dla nauczycieli. Spostrzeżenie Piczety podzieliła Nadieżda Parfionowa, wyrażając zaniepokojenie tym, że program jest rzeczywiście bardzo przeciążony. Zasugerowała, aby wyróżnić odpowiednim drukiem to, co jest obowiązujące uczniów, i to co dla nauczyciela. Uznała za potrzebne zasięgnąć raz jeszcze opinii czołowych postaci z ZPP – Alfreda Lampego, Julii Brystigerowej, Jakuba Bermana, Wierbłowskiego, a także Piczety. Tym samym odłożono decyzję o skierowaniu tego programu do kolejnych etapów procesu wydawniczego.



Ze względu na ogromną rolę nauczania historii w kształtowaniu patriotycznych postaw dzieci i młodzieży i we właściwym postrzeganiu przeszłości, teraźniejszości i przyszłości – wypracowanie odpowiednich założeń programu rzeczywiście wymagało szerszych konsultacji. Ograniczono je wszakże tylko

---

do niedawna był on represjonowany przez aparat bezpieczeństwa ZSRR (aresztowany w 1930 r. i skazany za „działalność kontrrewolucyjną” na pięć lat zesłania).



do ludzi z obozu komunistycznego, co będzie rzutować na ostateczną merytoryczną zawartość całości.

Wobec tego, że obszerne uwagi do projektu programu historii Polski przekazał na piśmie (po rosyjsku) 26 września 1943 r. ważny funkcjonariusz wspomnianego obozu politycznego – S. Wierbłowski<sup>23</sup>, warto przypomnieć je tutaj. Przede wszystkim zauważył on, że przygotowanie takiego programu było związane z nadzwyczaj dużymi trudnościami (m.in. niedostępność w Moskwie szeregu książek oraz wydawnictw źródłowych) i miało charakter pionierski. Historia Polski nie została bowiem do tamtego czasu opracowana i oświetlona po marksistowsku, nie było marksistowskiej literatury ani żadnych podręczników, próbujących zinterpretować tę historię metodą materializmu dialektycznego. Stwierdził, że w czasach pokojowych nad opracowaniem takiego programu zapewne musiałby trudzić się starannie dobrany zespół wysoko wykwalifikowanych naukowców i historyków – znawców różnych zagadnień dziejów ojczystych. Z uznaniem odniósł się więc do efektu pracy Kormanowej – już za samo postawienie problemów w programie i ich wyjątkowo szczegółową enumerację. Jednakże uważał, że poziom naukowy i dydaktyczny oraz oblicze polityczne polskich kadr pedagogicznych w ZSRR – w związku z warunkami, w jakich przyszło im pracować, oraz poziom wiedzy uczniów – stawały przed programem zadania specyficzne. Nauczyciele mieli bowiem oświetlać szereg problemów zupełnie inaczej, niż przywykli to czynić przez lata pracy w ojczyźnie, gdzie program historii „nosił klasowy burżuazyjny charakter, był antyrosyjski i służył propagandzie wielkomocarstwowości Polski”. Ponadto – póki co – nie dysponowali podręcznikami, nie mieli dostępu do bibliotek z książkami na temat historii Polski (nie tylko po polsku, ale i po rosyjsku), nie korzystali z pomocy gabinetów metodycznych i nie mieli z kim konsultować swoich spraw dydaktycznych. Z tego powodu, zdaniem S. Wierbłowskiego, program nauczania historii Polski w szkołach dla dzieci polskich w ZSRR w roku szkolnym 1943/1944 powinien być zestawiony inaczej niż dotychczasowe takie programy w Polsce i inaczej niż odpowiednie programy szkoły radzieckiej. Świadomość tę posiadała jego autorka, zapewniając we wstępie do programu nauczania historii dla klas VI-VII, że jest to „nie tylko projekt programu, ale jednocześnie tymczasowy surogat podręcznika, pomoc dla nauczyciela i wskazówka, z jakich cegiełek faktów dziejowych ma budować wykład”.

S. Wierbłowski, zastanawiając się, czy to się jej udało, odpowiedział przecząco. Napisał wręcz, że nawet tego nie próbowała zrobić. Oceniał, iż program jest dokładnym (nawet zbyt szczegółowym) rejestrem wydarzeń i problemów. Jego pozytywną cechą dostrzegał w tym, że w ten oto sposób rejestr ów przypominało się nauczycielowi. Ale jednocześnie uważał, że należało jeszcze dać mu jakieś ich naświetlenie, czy chociażby zarys jakiegoś wyjaśnienia. Autorka nie podjęła również próby ukazania wewnętrznych związków między wydarzeniami historycznymi. W takiej sytuacji program nie realizował, zdaniem S. Wierbłowskiego, swojego głównego zadania, czyli spełniania roli „surogatu podręcznika”. Wobec tego, że było trudne (a może

---

<sup>23</sup> Uwagi odnośnie do programu nauczania historii Polski w polskich szkołach w ZSRR, GARF, sygn. A 304-1-102, k. 31-37.

i niemożliwe), nawet dla wykwalifikowanych nauczycieli, odpowiednie naświetlenie szeregu problemów, ujętych w programie nauczania, S. Wierbłowski wskazał przykładowo na kilkadziesiąt takich bardzo szczegółowych haseł<sup>24</sup> (w wersji opublikowanej w 1944 r. część spośród nich z programu nauczania w ogóle usunięto, inne nieco skrócono, zmieniono, zmodyfikowano). Twierdził, że przytoczone przez niego problemy były w polskiej historiografii przedstawione z gruntu niesłusznie, bądź w ogóle nie zostały naświetlone, albo wywołują spory wśród marksistów. Jako zupełnie niewyjaśnioną w programie uznał nadzwyczaj ważną kwestię charakteru polskich powstań narodowych.

Za niewłaściwe uważał doprowadzenie narracji historycznej w szkole aż do roku 1943. Słusznie napisał, że okres 1918-1943 nie był zupełnie opracowany przez badaczy, że poszczególne zagadnienia z tej epoki pozostawały podówczas przedmiotem wewnętrznych, ostrych sporów wśród polskiej społeczności. Dla nauczyciela (i w pewnym stopniu również dla ucznia) wszystkie decydujące problemy tegoż okresu pozostawały wciąż bliskie, aktualne. S. Wierbłowski uznał, że organizatorzy (polityczni patroni) oświaty dla zesłańców polskich w ZSRR nie byli w stanie przedstawić przekonujące wyjaśnienia wydarzeń z tych nieodległych lat. W tym celu należałoby krytycznie naświetlić działalność partii politycznych w Polsce (także i KPP, co jednak uważał wtedy za niepożądane), czego wszakże nie wypadało robić, skoro w okresie II wojny światowej wysuwało się hasło jednolitego frontu narodowego. Stwierdził, że nie trzeba odżegnywać się od oświetlania aktualnych dla Polaków kwestii, ale nie ma potrzeby zajmować się tym na lekcjach historii.

<sup>24</sup> Oto one: Bolesław Chrobry. Pochód kijowski; Unia polsko-litewska; Husytyzm w Czechach. Husyci w Polsce. Ruch husycki w Polsce; Początek Reformacji w Polsce – luteranie i bracia czescy. Kalwini. Sekularyzacja Prus; Reakcja katolicka; Wojna z Iwanem IV o Inflanty; Problem stosunków z Litwą i Rosją; Jan Łaski – przywódca polskich różnowierców; „Bracia polscy”; Stefan Batory. Polityka zagraniczna. Przygotowania do wojny o Inflanty. Sicz kozacka. Wprowadzenie rejestrów. Wojny z Moskwą 1579 (Połock), 1580 (Wielkie Łuki), 1581 (Psków); Sprawa dyzunitów; Bohdan Chmielnicki. W płomieniach wojen chłopskich na Ukrainie; Wschodni i zachodni sąsiedzi Rzeczypospolitej; Francuscy encyklopedyści i racjonalizm angielski. Rewolucja francuska XVIII w. Wpływ idei encyklopedystów i rewolucji na Polaków; Fizjokratyzm i merkantylizm w Polsce; Prowokacja austriackiej biurokracji – żywiotywy ruch chłopski pod przewodnictwem Jakuba Szeli; Ukraiński ruch wyzwolenczy i „Zorza Halicka”. Świętojurska Rada we Lwowie; Obszarnicze gospodarstwo na zasadach kapitalistycznych; Polityka celna Rosji, cła ochronne, rywalizacja rozwijających się rosyjskich ośrodków przemysłowych (okręg moskiewski, Zagłębie Donieckie) z polskimi (Łódź, Zagłębie Dąbrowskie). Procesy akumulacji kapitału na ziemiach polskich. Polityczny obraz polskiej burżuazji; Kazimierz Puchewicz i grupa „Solidarność”; Powstanie Socjal-Demokracji Litwy i Socjaldemokracji Polski i Litwy; Ukraińska socjaldemokracja; Początek działalności Bundu; Powstanie PPS; Dwa programy ruchu robotniczego w kwestii narodowej: autonomia w drodze zwycięstwa rewolucji przeciwko caratowi lub niepodległość dzięki klęsce wojennej caratu (tu Wierbłowski zauważył, że w przytoczonym sformułowaniu dopuszczono się „poważnego błędu politycznego”); Legiony Piłsudskiego. Dymisja Piłsudskiego; Zaczyna działać Polska Organizacja Wojskowa; Ukraińcy zajmują Lwów; Pokój ryski z ZSRR [!]; Rady Delegatów Robotniczych w Zagłębiu Dąbrowskim, Warszawie, Łodzi, Białymostku, Lubelszczyźnie. Gwardia Czerwona i republika radziecka w Zagłębiu Dąbrowskim. Kwestia ukraińska; Białoruska Hromada i jej likwidacja; Armia Czerwona wkracza na białoruskie i ukraińskie ziemie 17 września, *ibidem*, k. 33a-33b.

W przedwojennej szkole polskiej służył do tego osobny przedmiot – Wiedza o współczesnej Polsce.

W dalszej części swoich uwag S. Wierbłowski wskazał na niewłaściwe lub nieściśle sformułowania programu. Rozpoczął od krytyki tego, że hasło, dotyczące utworzenia sił polskich w ZSRR, zostało zamieszczone tylko w powiązaniu z braterską pomocą ZSRR, troską władzy radzieckiej i marszałka Stalina. A niczego nie powiedziano o dążeniu samych Polaków w ZSRR do zbrojnej walki o swoją ojczyznę. Wytknął, że, opisując działalność Związku Patriotów Polskich, zupełnie nie wspomniano o powstaniu polskich jednostek wojskowych w ZSRR. Narzekał również na to, że nigdzie nie zostało podkreślone, iż ze strony hitlerowców narodowi polskiemu zagrażała całkowita zagłada i likwidacja kultury ojczystej. Wskutek tego zniknął w programie ważny element przeciwstawienia tragicznego losu Polaków pod jarzmem niemieckim – możliwościom rozwoju kultury i walki z hitlerowskimi zaborcami o niepodległość Polski, jakie stworzył Polakom Związek Radziecki. Ale o stalinowskim terrorze, represjach, o tragicznym losie w ZSRR polskich jeńców, aresztowanych, łagierników i zesłańców S. Wierbłowski nie miał odwagi (nie mógł) choćby napomknąć... A to było przecież codziennością życia rodziców i ich dzieci, czyli także uczniów szkół polskich.

Zwrócił natomiast uwagę na to, aby wychowywać ich w duchu rozumienia „historycznej niesprawiedliwości Polski w stosunku do narodów ukraińskiego i białoruskiego” oraz nie zapominać o stosunkach litewsko-polskich. Mówiąc na lekcjach historii o wszystkich tych, którzy byli w Polsce uciskani narodowo i społecznie, nie należało przemilczać o Żydach. Sugerował też, aby nie używać określenia „wielojęzyczny naród radziecki” (to wywoływało u Polaków obawy), ale „narody radzieckie”. Przy temacie dotyczącym wojen Chmielnickiego oraz powstania Gonty i Żeleźniaka powinno się ukazywać narodowy charakter tych wydarzeń.

Recenzent – stosownie do ówczesnych zaleceń radzieckiej propagandy – proponował, aby wskazywać na konieczność nie tylko polsko-czeskiego zbliżenia, ale i jedności słowiańskiej. Negatywne fakty w historii polskiego narodu radził „równoważyć” wyeksponowaniem jego zasłużonej dumy z roli w zmaganiach o demokrację w Europie i Ameryce, z ciągłej walki o niepodległość ojczyzny (powstania). Nie dostrzegał potrzeby używania terminów „geopolityka” i „reakcja katolicka” (lepiej „kontrreformacja”). Sprostował, że nie było sojuszu Polski z termidoriańską Francją, ale całkowite podporządkowanie Legionów Polskich francuskiemu rządowi. Natomiast związek Księstwa Warszawskiego z imperium Napoleona określił jako pełną „wasalną” zależność.

W ramach uzupełnienia programu nauczania zaproponował umieszczenie haseł: o założeniu Uniwersytetu w Krakowie, o stosunkach polsko-rosyjskich, (bo nie było o nich ani słowa), o rozbiorach Polski i o polityce religijnej Rzeczypospolitej. Narzekał na poświęcenie wyjątkowo mało miejsca sytuacji w zaborach pruskim i austriackim w końcu XIX wieku, a także na pominięcie kwestii powstań śląskich i w Poznańskim. Co ciekawe, nie podobała się S. Wierbłowskiemu duża ilość terminów marksistowskich („burżuazja”, „proletariat”, „akumulacja kapitału”, „kapitalistyczna stabilizacja” itp.). Był zdania, że w wielu przypadkach z powodzeniem można je zamienić innymi określeniami.

Powyższe uwagi świadczyły o tym, jak delikatną materię przyszło recenzować, jak wielką wagę polityczną przykładano do zawartości programu historii ojczyzny, jak uważnie i szczegółowo oceniano zestaw haseł, zwłaszcza dotyczących spraw polsko-rosyjskich i polsko-radzieckich. W konkluzji recenzji S. Wierbłowski napisał, że program należy przerobić. Jego zdaniem, nie powinien on być wszechogarniający, wobec czego zasugerował znaczne zmniejszenie ilości problemów i wyszczególnionych wydarzeń historycznych. Uważał, że szereg zagadnień z dziejów Polski trzeba było odpowiednio wyjaśnić i oświetlić, aby w nauczaniu widać było określony kierunek. Kurs historii należało doprowadzić do 1918 r. Późniejszy okres (do 1943 r.) powinno się potraktować jako dodatek, ograniczając się do zwięzłych tez. Nauczyciel mógłby wykorzystać je dopiero po otrzymaniu szczegółowych wskazówek metodycznych, które będą wspomniane tezy odpowiednio rozszerzać. Przy tej okazji padła propozycja, ażeby opublikować w formie pomocy dla nauczyciela materiały do historii tego okresu (np. stosowne artykuły z „Nowych Widoków” i z „Wolnej Polski”).

Mimo krytycznych uwag pod adresem projektu programu historii Polski, jego autorka nie spodziewała się zapewne, że jej opracowanie ukaże się drukiem dopiero w lecie 1944 r. W „Wolnej Polsce” z 16 października zamieściła bowiem bardzo optymistyczną informację, że „do szkół [...] [program ten – A. G.] zostanie rozesłany z końcem października lub z początkiem listopada [1943 r.]”<sup>25</sup>.

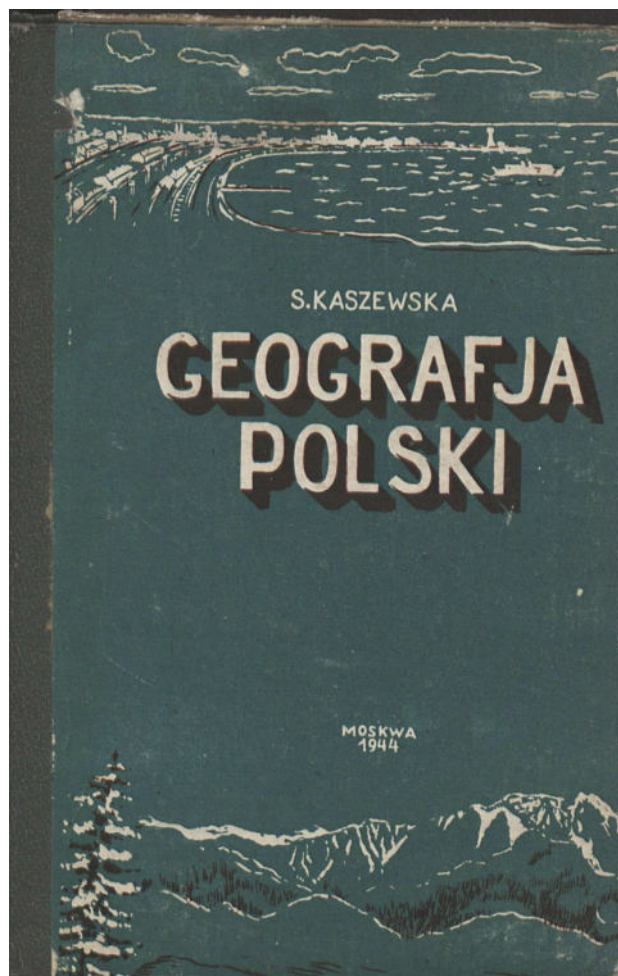
\*\*\*

Masowe wywózki setek tysięcy obywateli polskich z zaanektowanych ziem wschodnich II RP w głąb ZSRR służyły pozbyciu się stamtąd rzeczywistych i potencjalnych wrogów systemu bolszewickiego, zastraszeniu pozostałych, odizolowaniu w odległych rejonach „niepewnego elementu”, zapewnieniu nad nim pełnej kontroli ze strony aparatu represji, sowietyzacji deportowanych, a także zagwarantowaniu gospodarce taniej siły roboczej. Systematyczna, długotrwała praca oświatowo-propagandowa (indoktrynacja) zorganizowana przez funkcjonariuszy państwowych przynieść miała, zwłaszcza wśród dzieci, ich rusyfikację, zaszczepienie zesłańcom komunistycznej ideologii i uczynienie z nich „budowniczych społeczeństwa socjalistycznego”. Do czasu niemieckiej inwazji na ZSRR, czyli w latach 1940-1941, proces zmiany świadomości tej grupy osób realizowany był z użyciem różnych środków przymusu. Dzieci zesłańców, osiedlone wraz z rodzinami w niesprzyjających klimatycznie regionach, w ekstremalnie trudnych warunkach egzystencji, zaabsorbowane codziennymi zmaganiem o przetrwanie, o zdobycie jakiegokolwiek pożywienia, w zasadzie nie były zainteresowane realizowaniem obowiązku szkolnego, czyli uczęszczaniem do obcych im placówek rosyjskich czy kazachskich (jeśli takowe w ogóle istniały w odległych miejscach zsyłki), w których uczono po rosyjsku, gdzie szydzono z Polski.

Po zawarciu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski-Majski, oznaczającego ustanowienie „sojuszniczych” relacji polsko-radzieckich i zapowiadającego „amnestię” dla obywateli polskich w głębi terytorium ZSRR – opiekę nad nimi objął oficjalnie rząd RP. Dzięki wspomnianemu porozumieniu ludziom tym

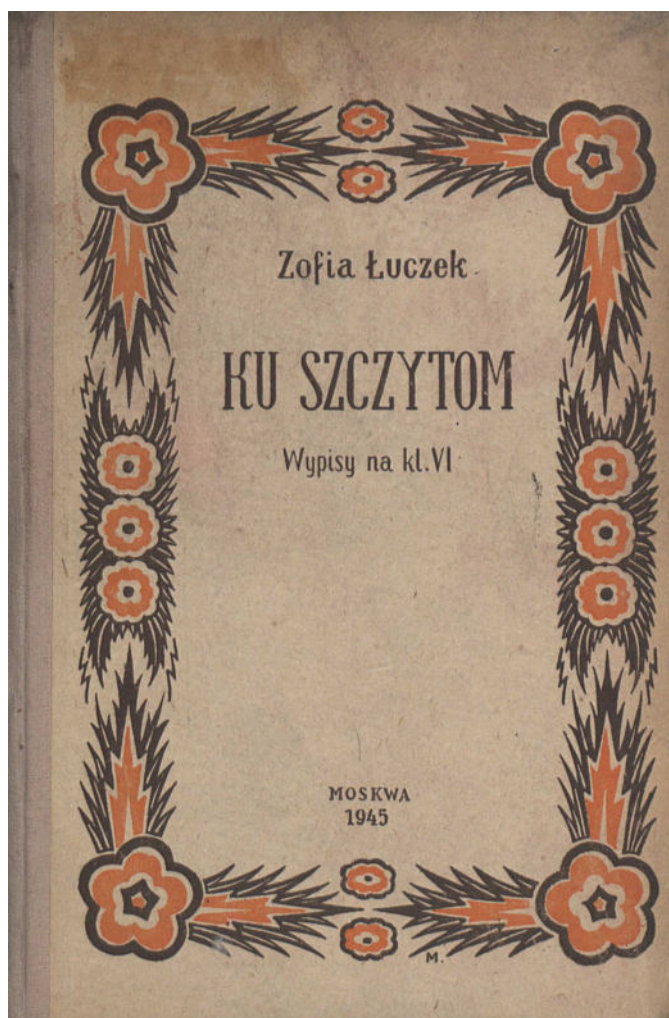
<sup>25</sup> Ż. Kormanowa, *Podręczniki i programy szkolne*, „Wolna Polska” 1943, nr 31, s. 4.

formalnie przywrócono wolność i przedwojenną przynależność państwową, otoczono ich opieką materialną władz polskich w Londynie, organizowano wśród nich pracę oświatową i kulturalną, mobilizowano ich do Armii Polskiej w ZSRR. Na formy, zasięg, rozmiary i efekty tej działalności opiekuńczo-oświatowej wpływały negatywnie ówczesne (bardzo ograniczone) możliwości okresu wojennego, żywiołowe przemieszczenia ludności oraz polityczny klimat w stosunkach polsko-radzieckich. W praktyce edukacja dzieci polskich, która objęła tylko niewielki ich odsetek, była w okresie po „amnestii” ledwie namiastką prawdziwego nauczania. Powstałym wtedy „szkółkom” brakowało wszystkiego: planów, programów, podręczników, zeszytów, artykułów piśmiennych, nauczycieli, lokali. Z konieczności były więc właściwie punktami dożywiania, w których usiłowano prowadzić naukę języka polskiego (pisanie i czytanie), rachunków oraz religii, czyli ratować (podtrzymywać) polskość i umacniać patriotyzm.



Wobec wzrostu napięcia (w drugiej połowie 1942 r.) między rządami ZSRR i RP stosunki radziecko-polskie niebezpiecznie pogarszały się. W styczniu 1943 r. doszło do przesilenia: Sowietci jednostronnie przywrócili sobie

w zasadzie pełną kontrolę nad ludnością polską w głębi ZSRR, ponownie narzucając jej obywatelstwo radzieckie (przymusowa paszportyzacja). Finalny akt tego konfrontacyjnego kursu politycznego miał miejsce 25 kwietnia 1943 r., kiedy to Kreml przerwał (zerwał) stosunki dyplomatyczne z rządem RP na uchodźstwie. Wydarzenie to nie oznaczało jednak automatycznego powrotu represyjnej polityki wobec polskich zesłańców – tej sprzed lipca 1941 r. Był to bowiem już okres, kiedy Moskwa, myśląc o urządzaniu powojennego porządku w Europie Środkowej (w tym zwłaszcza o kontrolowanym przez siebie odrodzeniu polskiej państwowości), postawiła na polskich komunistów i na pewne formy pomocy dla zesłańców. Świadectwem tego nowego kursu była zgoda J. Stalina na powstanie Związku Patriotów Polskich w ZSRR (ZPP) oraz na utworzenie Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki.



W nawiązaniu do podjętej tematyki wydawniczej, trzeba podkreślić, że wspomniane powyżej działania Kremla skutkowały m.in. korektą metod sowietyzacji, do której to wówczas wprzęgnięto: ZPP, aparat oświatowy Dywi-

zji, a także Komitet ds. Dzieci Polskich w ZSRR (*Kompoldiet*). Dlatego w tym właśnie kontekście należy postrzegać i funkcjonowanie szkolnictwa dla dzieci polskich zesłańców oraz oceniać merytoryczną zawartość przygotowanych dla nich programów nauczania i podręczników. Treści tych opracowań zostały bowiem świadomie ukierunkowane m.in. na propagowanie materialistycznego światopoglądu, klasowego pojmowania dziejów, przyjaźni polsko-radzieckiej oraz na kształtowanie świadomości obywateli przyszłej Polski – sojuszniczki ZSRR. I taką strawę duchową politycy postanowili zaordynować dzieciom zesłańców.

W 1943 r. okazało się, że opracowanie i wydanie oryginalnych planów nauczania oraz podręczników dla szkół dla dzieci polskich w głębi terytorium ZSRR było w warunkach wojennych przedsięwzięciem niełatwym i przy tym bardzo odpowiedzialnym. Zadanie takie miało, bowiem wtedy charakter nie tylko merytoryczny, metodyczny, pedagogiczny, ale przede wszystkim polityczny. Chodziło przecież o to, aby za pomocą tychże programów i podręczników konsekwentnie realizować inne niż przedwojenna polska szkoła założenia dydaktyczno-wychowawcze. Placówki oświatowe na zsyłce zobowiązane były do tego, aby spróbować zawładnąć sferą duchową uczniów i urzeczywistnić program ideowo-wychowawczy opracowany przez komunistów z ZPP. Oznaczało to, że miały one współuczestniczyć w przygotowaniu uczniów do życia już w nowym ustroju społecznym w powojennej Polsce. Zapewnienie takiej szkole odpowiednich narzędzi do tego wymagałoby w normalnych warunkach zaangażowania rzeszy specjalistów i dogłębnej dyskusji między nimi, a na obczyźnie nie było przecież ani liczniejszej grupy takich fachowców-pedagogów, ani możliwości prowadzenia szerokich debat, przede wszystkim zaś brakowało na to czasu. Związek Patriotów Polskich i Komitet ds. Dzieci Polskich powstały w czerwcu 1943 r., a już we wrześniu rozpoczynał się kolejny rok szkolny. I do tego właśnie momentu należało zdążyć ze stworzeniem programów nauczania – przynajmniej „polskich” przedmiotów – dla szkoły początkowej. Z takim wyzwaniem merytorycznym oraz organizacyjno-technicznym musiała zmierzyć się grupka pracowników *Kompoldietu*.

Pamiętać należy, że działalność wydawniczą przyszło im realizować w dramatycznie trudnym okresie wojennym, kiedy to powszechnie niemal wszystkiego brakowało, kiedy dotkliwie odczuwano niedostatki kadrowe, kiedy nie było na miejscu niezbędnych źródeł, materiałów i ilustracji, kiedy bezwzględnym priorytetem Sowietów było zaspokojenie różnych potrzeb frontu wschodniego, kiedy obowiązywały surowe biurokratyczne regulacje, a nad wydawnictwami czuwała – z poruczenia partii komunistycznej – wszechmocna cenzura.

Po latach Stanisław Skrzyszewski tak wspominał ów czas:

Wykonanie zadań nie było łatwe. Mnożyły się trudności. Brak było źródeł, odpowiednich opracowań. Ludzi, którzy mogli te prace wykonać, było bardzo niewiele; wszak trzeba było kadrę dzielić między armię, ZPP, prasę polską, radio na kraj i *Kompoldiet*. [...] Przy wydawaniu podręczników i literatury dla polskich placówek natrafialiśmy na przeszkody, zdawałoby się niemożliwe do pokonania; nagle wyrastały przed nami nieoczekiwane kłody, na które nie byliśmy nastawieni. Oprócz [wspomnianych – AG] niedomagań [...] brak było np. papieru. Jak się znalazł papier, to wychodził na wierzch brak polskich zecerów. Skoro rozwiązaliśmy sprawę druku, to stawaliśmy przed niedostatkiem tektury na okładki. Znalazł się i ten surowiec, to się okazywało, że nie ma środków transportu do jego przywiezienia z bazy

do introligatorni. [...] Koniachina [deputowana Rady Najwyższej RFSRR – AG] i Gierasimowa przemierzały ulice w Moskwie, odwiedzając różne jednostki wojskowe, prosząc o wypożyczenie samochodu ciężarowego. [...] Wreszcie [...] uzyskiwały to, czego było trzeba. Czyż można się dziwić, że byliśmy zmęczeni, a nawet wydręczeni [!] tymi przeszkodami?<sup>26</sup>

Natomiast Ż. Kormanowa napisała w 1946 r. następujące słowa:

Stosunek władz radzieckich do polskich wydawnictw był równie życzliwy, jak stosunek do szkół. Nie było papieru na podręczniki rosyjskie, nakłady wojenne bito na lichym gazeciarskim papierze – na polskie podręczniki znalazł się papier biały i gładki, przydatny do ilustracji siatkowej. Drukarnie były zawalone pracą na front, brakło w Moskwie czcionek polskich – zdejmowano z maszyn plakaty i ulotki dla elementarza, odlano umyślnie polskie czcionki. Podręczniki rosyjskie szły w świat lichy zbrozdurowane, w szarych kartonowych obwolotach – nasze miały piękne płócienne grzbiety i wielobarwne radosne okładki<sup>27</sup>

Mimo rozmaitych przeciwności *Kompoldiet* już pod koniec 1943 r. dostarczył (z poślizgiem) pierwsze programy nauczania, a na początku 1944 r. także pierwsze czytanki i podręczniki gramatyki dla szkoły początkowej. Dzięki temu dzieci polskie mogły być wreszcie legalnie, w zorganizowany, instytucjonalny sposób nauczone i wychowywane na zsyłce w ojczystym języku oraz w ojczystej kulturze. Irena Olecka tak o tym napisała:

We wszystkich tych wydawnictwach [Kompoldietu – AG] biało-czerwoną nicią przewija się jeden motyw – polskość: motyw tęsknoty i umiłowania ojczyzny, poszanowania postępowych tradycji narodowych, głębokiego postępowego [!] patriotyzmu<sup>28</sup>.

Najpierw przygotowano i wydrukowano plany godzin lekcyjnych oraz programy nauczania. W sumie było to dziewięć pozycji (14,5 arkuszy drukarskich) w nakładzie 10 tys. egzemplarzy: sześć tytułów w 1943 r., dwa w 1944 r. i jeden w 1945 r. (zbiorczy). Przytłaczającą większość z nich zredagowała Ż. Kormanowa (siedem tytułów – niemal 78%; po jednym tytule – B. Skrzyszewska i G. Pauszer). Ponadto w latach 1943-1946 *Kompoldiet* opublikował dla dzieci polskich w ZSRR ogółem 19 podręczników i dwa śpiewniki (188,6 ark. drukarskich) o łącznym nakładzie 115 100 egzemplarzy (średni nakład: 5 481 egz.). Największa ich liczba ukazała się w 1944 r. – 12 tytułów (w 1943 – zaledwie jeden, w 1945 – pięć, w 1946 – trzy). Redaktorką aż 17 z nich (ponad 80%) była Ż. Kormanowa (po jednym podręczniku zredagowały B. Skrzyszewska i G. Pauszer, a dwa śpiewniki – M. Iordanski). Natomiast na potrzeby terenowej administracji oświatowej Komitet wydał w październiku 1943 r. w języku rosyjskim w nakładzie 1 tys. egzemplarzy niewielką objętościowo informacyjno-instruktażową broszurkę (40 stron) pt. *Материалы по организации учреждений для польских детей в СССР*.

<sup>26</sup> S. Skrzyszewski, *Słowo wstępne*, [w:] *Szkolnictwo polskie w ZSRR 1943-1947. Dokumenty i materiały*. Opracował R. Polny. Pod redakcją S. Skrzyszewskiego, Warszawa 1961, s. 8-9

<sup>27</sup> Ż. Kormanowa, *Szkolnictwo polskie w ZSRR*, „Głos Nauczycielski” 1946, R. XXV, nr 19, s. 313.

<sup>28</sup> I. Olecka, *Szkola Polska [!] w Związku Radzieckim (1943-1947)*, „Nowa Szkoła” 1963, nr 7-8, s. 38.



Plany wydawnicze były znacznie ambitniejsze, jednakże – z różnych powodów – nie udało się ich zrealizować. Dążąc do tego, aby możliwie szybko dostarczyć szkołom dla polskich zesłańców nie tylko programy nauczania, ale i podręczniki, *Kompoldiet* zdecydował się skorzystać z części spośród tych wydawnictw, którymi powszechnie posługiwały się szkoły w ZSRR („stabilne podręczniki”). Przygotowanie ich polskich przekładów oznaczało zarazem akceptację zawartych w nich założeń ideowo-politycznych i wychowawczych, kształtujących światopogląd uczniów w duchu marksistowskim. W rzeczywistości zdołano opublikować tylko kilka (osiem tytułów) spośród przetłumaczonych podręczników (zbiór zadań i ćwiczeń arytmetycznych dla kl. I; geografię dla klas III, IV i V; przyrodę dla klas III i IV; botanikę dla klas V-VI oraz historię starożytną)<sup>29</sup>.

Słuszne przekonanie, co do potrzeby opracowania oryginalnych podręczników i pomocy naukowych najpierw na potrzeby polskich szkół początkowych (w nich kształciła się najliczniejsza grupa dzieci) znalazło wyraz w zapewnieniu w latach 1944-1946 fundamentalnych 13 wydawnictw do nauki przedmiotów „ojczystych”: elementarza, czytanek dla klas II-IV, gramatyki języka polskiego (kl. I-IV), geografii Polski, wypisów z literatury dla klas V-VI oraz projektu programu historii Polski.

Do tego dorobku trzeba dodać dwa śpiewniki. Równocześnie jednak większość przedmiotów w klasach I-X była nauczana, niestety, bez programów i bez podręczników w języku polskim. Zabrakło programów choćby biologii, fizyki, chemii, matematyki czy literatury (dla klas VIII-X), a więc takich, które przecież były już w 1940 r. wydane po polsku we Lwowie i po niezbędnej modyfikacji mogłyby zostać opublikowane na potrzeby tych placówek oświatowych, którym patronował *Kompoldiet*.

Podręczniki do nauki języka polskiego (elementarz, gramatyki, czytanki) oraz wypisy z literatury ojczystej należy traktować jako samodzielne, oryginalne dokonania polskiej lewicowej myśli pedagogicznej. Opracowano je starannie i opublikowano w ładnej artystycznie szacie edytorsko-typograficznej. Zostały bogato ozdobione rysunkami i portretami, zapewniono im ciekawe okładki w polskim stylu narodowym. Wzrok cieszyły motywy polskiej sztuki ludowej, widoki miast polskich, reprodukcje obrazów polskich malarzy i portretów wybitnych Polaków. Zawarty w tych książkach materiał wpajał uczniom wiarę w zwycięstwo w wojnie z Niemcami, w odzyskanie przez Polskę niepodległości, tchnął optymizmem, popularyzował społeczno-gospodarcze „osiągnięcia” Sowietów i ich sukcesy militarne na froncie, stronił od wzbudzania w dzieciach ponurych nastrojów. Natarczywie propagował ideę przyjaźni polsko-radzieckiej. W szkolnych wydawnictwach brakowało natomiast (z oczywistych powodów) jakichkolwiek wzmianek o tragicznym losie na zsyłce, prawdy o przyczynach „znalezienia się” w głębi ZSRR, o agresji ze wschodu we wrześniu 1939 r., o podziemiu niepodległościowym (np. o Armii Krajowej) na okupowanych ziemiach polskich. W czytankach i wypisach zamieszczono

---

<sup>29</sup> Warto dodać, że wśród przekazanych do Wydziału Archiwów Ministerstwa Oświaty RFSRR akt *Kompoldietu* znalazły się m.in. rękopisy ogółem aż 52 podręczników, Sprawozdanie z działalności Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR za trzy lata, GARF, sygn. A 304-1-209, k. 60.

wyselekcjonowane teksty wybranych (najlepszych – zdaniem wydawcy) polskich pisarzy, ale i niektórych radzieckich. Fragmenty prozy i wierszy podebrano nadzwyczaj uważnie, wychodząc z artystycznych, pedagogicznych i ideowych przesłanek. Starano się zadbać o to, ażeby świadczyły o wielkich tradycjach ojczystej kultury. Odzwierciedlały one m.in. historyczne momenty bohaterskiej walki narodu polskiego o demokrację i wolność, dotyczyły też jego zmagania z wielowiekowym naporem germańskim. W odniesieniu do współczesnej rzeczywistości opisywały gospodarczą eksploatację okupowanych ziem polskich przez III Rzeszę, germanizację, niszczenie szkolnictwa, tępienie kultury polskiej, znęcanie się Niemców nad ludnością Polski.

O ile jednak podręczniki dla klas I-II były odpowiednio przerobionymi, poprawionymi (błędy językowe) i przeredagowanymi wznowieniami lwowskich z 1940 r., to te dla klas III i IV przyszło tworzyć od nowa – zgodnie z wymogami programu języka polskiego zatwierdzonego przez *Kompoldiet*. Pod względem metodycznym wzorowano je na rosyjskich, ale uwzględniając np. cechy polskiej fonetyki i ortografii. Teksty o komunistycznym zabarwieniu zamieniono innymi, w znacznej większości neutralnymi ideologicznie. Polityczna aktualizacja czytanek polegała też na tym, że wprowadzono w kilku przypadkach nowe – takie, które ukazywały przyjaźń narodów polskiego i radzieckich oraz tęsknoty Polaków, walczących wraz z Armią Czerwoną przeciwko faszystom. Z myślą o zróżnicowaniu materiału zamieszczono wiersze, zagadki i nowe ilustracje.

Nowe podręczniki przygotowywali i opiniowali doświadczeni polscy nauczyciele (komuniści), którzy zadbali zarówno o metodyczną ich poprawność, jak i o ideowe przesłanie tekstów, o właściwy układ materiału i o dostosowanie stopnia trudności do możliwości uczniów, aby nie był monotony i w odpowiednim stopniu odzwierciedlał ówczesną rzeczywistość. W podręcznikach tych śmiało i po nowemu stawiano szereg problemów politycznych, ustrojowych i społecznych – na podstawie przekonania, że w tamtym czasie trwał bój o powojenną, „sprawiedliwą i postępową” Polskę, w której będzie wolność, chleb, ziemia dla chłopów, praca dla robotników i inteligentów, oświata dla wszystkich.

Intensywna praca nad wydaniem ostatecznie 30 różnych tytułów planów lekcyjnych, programów nauczania, podręczników szkolnych oraz pomocy naukowych została sfinalizowana dzięki współpracy z Państwowym Wydawnictwem Szkolno-Pedagogicznym (*Uczpiedgiz*) resortu oświaty RFSRR. Z kolei dzięki umowie z Księgarnią nr 64 w Moskwie możliwe było w miarę sprawne wysyłanie podręczników i pomocy naukowych do szkół i placówek dla dzieci polskich. Książki ekspediowano niewielkimi partiami na wskazane adresy. W 1946 r. *Kompoldiet* wyraził wdzięczność za tę pracę personelowi wspomnianej wyżej księgarni: dyrekcji (K. A. Gil, W. W. Zinowjewa), księgowej (K. D. Mierzlakowa) i pozostałym pracownikom (Je. Korbowa, M. I. Diergaczewa, I. M. Łajtus, T. F. Zajcewa, F. I. Zawjałowa)<sup>30</sup>.

Podręczniki wydane przez *Kompoldiet* służyły w ZSRR nie tylko szkole dla dzieci polskich zesłańców. Zaopatrywano w nie również dorosłych – żołnierzy jednostek polskich tworzonych przez gen. Z. Berlinga. Trafiały też do szkół oficerskich i podoficerskich. Część nakładu posłano nawet na ziemie polskie –

<sup>30</sup> Ibidem, k. 71.

na Lubelszczyznę<sup>31</sup>, a duże zapasy magazynowe w 1946 r. – także do szkół z polskim językiem nauczania na zachodnich obszarach ZSRR. W polskojęzycznej prasie z satysfakcją pisano: „Dzień otrzymania książki polskiej był dla naszej diatwy wielkim i radosnym świętem, z niemałym wzruszeniem witali książkę także dorośli”<sup>32</sup>

Niestety, niskie nakłady podręczników odbiegały od rzeczywistych potrzeb placówek oświatowych, co wynikało początkowo z niedokładnej ewidencji dzieci w wieku szkolnym. Niebawem po zakończeniu repatriacji Dorota Parnas napisała:

Cudem prawdziwym i nieoczekiwanym były podręczniki dla niższych klas, które dyrektorzy szkół polskich trzymali »w wacie i pod kluczem«, rozdzielając je jako premie dla najpilniejszych. [...] Ale pierwszy głód był, jeśli niezaspokojony, to przynajmniej oszukany<sup>33</sup>

Natomiast opóźnienia w wydaniu broszur i książek, wynikające ze zbyt wolnego tempa prac redakcyjnych oraz z niedostatków bazy poligraficznej, skutkowały zakłóceniami w szkolnym procesie dydaktycznym. Nie powinno bowiem ulegać wątpliwości, że dysponowanie zarówno programami, jak i podręcznikami, służyło usprawnieniu oraz podnoszeniu poziomu nauczania i pracy wychowawczej. Podręczniki w języku polskim stały się też źródłem repertuaru chórów i zespołów dramatycznych, co pozwalało urządzać obchody rocznic polskich, świąt narodowych, przygotować przedstawienia i akademie. Tym samym zesłańcza szkoła stała się na obczyźnie ogniskiem kultury polskiej.

Książka w języku ojczystym ułatwiała nauczycielom przekazywanie szkolnej wiedzy, pozwalała na krzewienie i podtrzymywanie ducha polskości, dawała zesłańcom poczucie opieki ze strony czynników polskich (Ambasada RP, ZPP), oddziaływała terapeutycznie na uczniów, których gwałtem wyrwano i wywieziono z ojcowizny na bezkresne obszary ZSRR. Obok głębokiej wiary, to właśnie drukowane słowo polskie pozwalało im przetrwać zsyłkę oraz zachować nadzieję i siły moralne na powrót do kraju.

Mimo określonego przesłania ideowego, programy nauczania i podręczniki szkolne nie mogły skutecznie przysłużyć się sowietyzacji i komunistycznej indoktrynacji uczniów. Zarówno bowiem oni sami, jak i ich rodziny oraz nauczyciele, wbrew sobie uwikłani w ówczesne wydarzenia wojenne i polityczne, zbyt boleśnie doświadczyli „dobrodziejstw realnego socjalizmu”, aby dać się przekonać do idei ustroju „sprawiedliwości społecznej”, aby bezkrytycznie zaakceptować wszystkie treści narzucone im w procesie dydaktycznym przez komunistów. Zdecydowanie ważniejsze było to, że dzięki działalności ZPP i *Kompoldietu* w ogóle funkcjonowała na zsyłce szkoła z polskim językiem wykładowym, w której uczono ojczystej historii, geografii, języka i literatury.

---

<sup>31</sup> Stenogram uroczystego posiedzenia Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR z okazji dwulecia jego powstania 26 VII 1945 r., ibidem, sygn. A 304-1-147, k. 25. H. Wolpe napisał: „Wszystkie szkoły podoficerskie zaopatrywaliśmy w podręczniki i niejako objęliśmy patronat nad wojskiem, Referat wiceprzewodniczącego Komitetu ds. Dzieci Polskich w ZSRR H. Wolpego”, [w:] *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich*, t. IX: *styczeń 1946-grudzień 1949*, [Warszawa] 1974, s. 112.

<sup>32</sup> *Oświata polska w ZSRR*, „Wolna Polska” 1945, nr 21, s. 2.

<sup>33</sup> D. Parnas, *Książka i prasa polska w ZSRR w latach 1940-1945*, „Odrodzenie” 1947, R. IV, nr 1, s. 3.

\*

### O zesłańczej edukacji

We wrześniu 2017 r. nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego ukazała się doskonale przygotowana monografia autorstwa profesora Albina Głowackiego, wybitnego znawcy losów obywateli polskich na Wschodzie w czasie II wojny światowej, badacza stosunków polsko-radzieckich oraz współczesnej Rosji.

Publikacja zatytułowana *Na pomoc zesłańczej edukacji. Działalność wydawnicza Komitetu do spraw Dzieci Polskich w ZSRR (1943-1946)*, Łódź 2017 stanowi interesujące kompendium i jest pierwszym na rynku wydawniczym pełnym opracowaniem, które prezentuje polskojęzyczne wydawnictwa książkowe w ZSRR wydawane z inicjatywy Komitetu do spraw Dzieci Polskich w ZSRR (Kompoldietu). To znakomity materiał naukowy, który posłuży nie tylko uczniom, studentom, nauczycielom, historykom, pedagogom i znawcom tematu. Dodam, że na tę książkę wiele lat czekało pokolenie Sybiraków, które doświadczyło okropności wojny, totalitaryzmu, represji reżimu stalinowskiego i okrutnych lat zsyłki na rozległym obszarze ZSRR. Deportowani w głąb Związku Radzieckiego wegetowali w skrajnie trudnych warunkach bytowych. Zostali poddani indoktrynacji w każdej dziedzinie życia i wychowania. Poza tym radziecka machina propagandowa w scentralizowanym państwie miała ogromny wpływ na edukację najmłodszych i dostęp do słowa drukowanego. Dzieci zmuszano do uczęszczania do miejscowych szkół i nauczania w języku rosyjskim.

Zakres prezentowanej książki obejmuje lata 1943–1946 r. Należy podkreślić, że autor rozszerzył je i uwzględnił ramy czasowe obejmujące lata wcześniejsze (1939–1942). Naszkicował realia w jakich ta edukacja odbywała się wcześniej na obczyźnie, w obliczu totalitaryzmu, w państwie rządzonej przez komunistów. Przypominał w jakim stopniu zmieniło się to po krótkiej normalizacji stosunków polsko-radzieckich (30.07.1941 r.). Ukazał w jak skrajnie trudnych warunkach funkcjonowało szkolnictwo uruchomione z inicjatywy Ambasady RP w latach 1942–1943. Niestety w roku 1943 nastąpiło zerwanie stosunków z rządem RP na uchodźstwie. Strona radziecka utworzyła Związek Patriotów Polskich (ZPP) złożony z polskich komunistów. Sprawy wydawnicze i edukacji oddano w gestię nowej instytucji jaką był Komitet do spraw Dzieci Polskich w ZSRR.

Albin Głowacki przypomniał, że kolejne lata na „niełudzkiej ziemi” bez szkoły i nauczania w języku polskim groziły wynarodowieniem i zupełną sowietyzacją najmłodszych zesłańców. Warto dodać, że zorganizowanie działalności wydawniczej i szkolnictwa w pełni zależało od stanu relacji ze stroną radziecką. Nie można byłoby o niej w ogóle mówić, bez wcześniej podejmowanych zabiegów, zgody urzędników radzieckich i rozmów na najwyższym szczeblu w państwie ogarniętym wojną i ogromnymi kłopotami aprowizacyjnymi. W bardzo celny sposób kładzie nacisk na machinę propagandową, której zależało, by święcić swój triumf i ukazać pilną potrzebę działalności wydawniczej i edukacyjnej podjętej przez środowiska lewicowe.

Działalność wydawnicza Komitet do spraw Dzieci Polskich w ZSRR prowadził w Moskwie w latach 1943-1946. Kompoldiet był opiekuńczą instytucją radziecką. Jego szczegółowe zadania zostały zawarte w statucie, gdzie odnotowano, że będzie zajmował się m.in. organizacją domów dziecka, żłobków, przedszkoli, grup polskich, szkół oraz działalnością wydawniczą.

Był swego rodzaju „ministerstwem edukacji”, które zajęło się sprawami edukacji i wychowania polskich uczniów. Organizował wydawanie w języku

polskim programów nauczania, podręczników szkolnych i pomocy naukowych. Uratował i przybliżył edukację polską dzieciom przebywającym na zesłaniu.

Mając na uwadze inicjatywę komunistów, aspekt lewicowy i działalność instytucji na terenie ZSRR z pełnym przekonaniem podkreślę, że „mimo określonego przesłania ideowego, programy nauczania i podręczniki szkolne nie mogły skutecznie przysłużyć się sowietyzacji i komunistycznej indoktrynacji uczniów. Zarówno bowiem oni sami, jak i ich rodziny oraz nauczyciele, wbrew sobie uwikłani w ówczesne wydarzenia wojenne i polityczne, zbyt boleśnie doświadczyli »dobrodziejstw realnego socjalizmu«, aby dać się przekonać do idei ustroju »sprawiedliwości społecznej«, aby bezkrytycznie zaakceptować wszystkie treści narzucone im w procesie dydaktycznym przez komunistów. **Zdecydowanie ważniejsze było to, że dzięki działalności ZPP i Kompoldietu w ogóle funkcjonowała na zesłaniu szkoła z polskim językiem wykładowym, w której uczono ojczyznej historii, geografii, języka i literatury**”.

Przygotowanie publikacji okazało się możliwe dzięki dostępowi do archiwów radzieckich przechowywanych w Moskwie. Zestawiono z nim spuściznę z Archiwum Akt Nowych w Warszawie, materiał archiwalny z placówek polskich, radzieckich i anglosaskich. W powstaniu tej pracy pomogły również opublikowane zbiory dokumentów, opracowania, wspomnienia, relacje, pamiętniki i prasa.

W publikacji zamieszczono 62 ilustracje, 28 tabel, w których przedstawiono informacje dotyczące działalności i struktury wydawniczej Komitetu do spraw Dzieci Polskich w ZSRR, 10 pełnych biogramów przybliżających życiorysy jego działaczy, indeks nazw osobowych oraz nazw geograficznych.

Należy podkreślić, że okładki opisywanych podręczników szkolnych i programów nauczania zostały po raz pierwszy w tak szerokim zakresie zaprezentowane polskiemu czytelnikowi. Archiwalny materiał ilustracyjny w doskonały sposób oddaje i pozwala czytelnikowi „poczuć specyficzną atmosferę czasu narodzin i ducha tych wydawnictw”<sup>\*</sup>.

*Lilianna Ladorucka*

\*

### **Nowe spojrzenie na lata zesłańczej edukacji**

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego uraczyło nas interesującą i potrzebną monografią, której autor profesor Albin Głowacki, wybitny znawca losów Polaków na Syberii „przedstawił działalność wydawniczą Komitetu do spraw Dzieci Polskich w ZSRR w latach 1943-1946. Na tle stosunków polsko-radzieckich nakreślił dramatyczny stan edukacji dzieci zesłańców do 1943 r. Na podstawie archiwaliów posowieckich omówił polityczne uwarunkowania i konteksty pracy wydawniczej Komitetu, która miała służyć kształtowaniu świadomości ucznia, pożądaną z punktu widzenia polskich komunistów.

Czytelnik poznaje od kuchni ich wysiłki na rzecz dostarczenia szkołom z polskim językiem wykładowym programów nauczania oraz podręczników nasyconych odpowiednią treścią merytoryczną i ideowopolityczną. Szczególnie interesujące uwagi autora dotyczą przygotowania i wydania takich oryginalnych opracowań jak: elementarz, czytanki, wypisy z literatury ojczyznej oraz geogra-

---

<sup>\*</sup> Zainteresowani tą książką mogą ją nabyć pod adresem: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, ul. Lindleya 8, 90-131 Łódź; email: ksiegarnia@uni.lodz.pl tel. (42) 665 58 63.

fia Polski program nauczania historii Polski. Nie stroni on od krytycznych refleksji na temat rozmaitych przeszkód w prowadzeniu działalności edytorskiej Komitetu, które wynikały głównie z ograniczeń okresu wojennego i uwarunkowań polityczno-cenzuralnych”, czytamy na czwartej stronie okładki tej interesującej książki zatytułowanej *Na pomoc zesłańczej edukacji. Działalność wydawnicza Komitetu do spraw Dzieci Polskich w ZSRR (1943-1946)* Łódź 2017.

Książka ta wzbogaca dorobek polskiej historiografii o wartości godne ocalenia i pamięci, dotyczącej losów Polaków na syberyjskim zesłaniu w okresie drugiej wojny światowej. Jest to szczęśliwy oraz trafny sposób uporządkowania i scalenia bogatej faktografii z zakresu zesłańczej edukacji. Odczytywany współcześnie z długiej perspektywy czasowej, gdy wygasły zapisy cenzuralne dzieło charakteryzuje się solidnym warsztatem naukowym, bogatą faktografią i komunikatywnością. Zachęcamy nauczycieli historii do lektury tej książki. Mamy obecnie wiele szkół noszących imię „Zesłańców w Sybiru”, w których bibliotekach nie powinno zabraknąć tej interesującej i jakże potrzebnej monografii. Prosimy też członków Związku Sybiraków o nadsyłanie do redakcji „Zesłańca” swoich wspomnień dotyczących „zesłańczej edukacji”! A jest to – dodać trzeba bardzo dobra droga do wzbogacenia wiedzy z zakresu naszej historii na syberyjskim zesłaniu. Czekamy na te wspomnienia, chętnie je opublikujemy, prosimy też o podzielenie się swoimi refleksjami z lektury tej interesującej publikacji.

*Redakcja „Zesłańca”*

---

---

WOJCIECH MARCINIAK

## PROBLEM REPATRIACJI POLSKICH ZESŁAŃCÓW Z ZSRR W STOSUNKACH POLSKO-RADZIECKICH W LATACH 1944-1947\*

Zerwanie stosunków dyplomatycznych przez władze ZSRR z polskim rządem na uchodźstwie w kwietniu 1943 r. stwarzało Stalinowi dogodne warunki do realizacji własnych planów dotyczących politycznej przyszłości Polski. Z pomocą utworzonego już w marcu 1943 r. (choć formalnie istniejącego dopiero od czerwca 1943 r.) Związku Patriotów Polskich (ZPP) przygotowywał on kadry dla „ludowej” państwowości polskiej. 1 marca 1943 r. ukazał się pierwszy numer organu prasowego ZPP – „Wolna Polska”. W początkowych numerach tego tygodnika, przeznaczonego dla polskiego czytelnika w ZSRR, znalazły się artykuły szkalujące politykę narodowościową władz sanacyjnych oraz podważające prawo rządu RP do wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej. Teksty te – w sporej części autorstwa Wandy Wasilewskiej, szefowej ZPP – zwiastowały zmiany terytorialne i będące ich konsekwencją przesiedlenia ludności. Problem repatriacji Polaków, którzy w wyniku wojny zostali zmuszeni do opuszczenia kraju pojawił się w tym „programowym” periodyku polskich komunistów w ZSRR (i środowisk z nimi związanych) już latem 1943 r., jednak wkrótce został zarzucony na rzecz wieści z frontu i oczywiście komentarzy o bieżących stosunkach polsko-radzieckich<sup>1</sup>.

Temat powrotów do Polski powrócił do publicznego dyskursu ZPP dopiero w lipcu 1944 r. wraz z pojawieniem się nowych okoliczności politycznych, do których należało przede wszystkim sformowanie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN). W ogłoszonym 22 lipca 1944 r. w Chełmie (a zredagowanym dwa dni wcześniej w Moskwie) manifestie PKWN znalazły się zapowiedzi istotnych zmian terytorialnych Polski, projektowanych według zasady: „ziemie polskie – Polsce, ziemie ukraińskie, białoruskie i litewskie – Radzieckiej Ukrainie, Białorusi i Litwie”. Oznaczało to masowe przesiedlenia ludności polskiej ze wschodnich województw II Rzeczypospolitej, nazywane potem błędnie „repatriacją”. Te ruchy migracyjne odbywały się na podstawie

---

\* Pełniejsze omówienie problematyki zawartej w artykule znajduje się w książce autora pt. *Powroty z Sybiru. Repatriacja obywateli polskich z głębi ZSRR w latach 1945-1947*, Łódź 2014.

<sup>1</sup> W. Marciniak, *Problematyka repatriacyjna na łamach „Wolnej Polski” (1943-1946)*, [w:] *Polityka i politycy w prasie XX i XXI wieku*, pod red. M. Dajnowicz i A. Miodowskiego, Białystok 2016, s. 273-291.

porozumień zawartych przez powstały z inicjatywy Stalina i w pełni wobec niego dyspozycyjny „rząd” Edwarda Osóbki-Morawskiego, który 1 sierpnia 1944 r. zainstalował się w Lublinie. Układy o obustronnych transferach ludności podpisane z Białorusią i Ukrainą (9 września 1944 r.) oraz Litwą (22 września 1944 r.) rozpoczęły proces kolejnych fal migracji naszych rodaków ze Wschodu, który oficjalnie zakończył się dopiero w 1959 r. Szczegóły przygotowywania tych tzw. umów republikańskich nie są na razie znane. Można przypuszczać, że Sowieci po prostu przekazali ekipie Osóbki-Morawskiego gotowe projekty, nie spodziewając się nawet podjęcia z jego strony prób pertraktacji. Podległość importowanego z ZSRR ośrodka politycznego w Lublinie (a od lutego 1945 r. w Warszawie) była dla Moskwy oczywista i nie zmieniały tego faktu oficjalne deklaracje o szanowaniu suwerenności jedynych uznawanych przez Kreml polskich władz<sup>2</sup>.

Administracja PKWN w pierwszych miesiącach swojego funkcjonowania usiłowała podjąć pewne kroki w celu uregulowania sytuacji prawnej, a następnie repatriacji Polaków przebywających w głębi ZSRR – przede wszystkim zesłańców lat wojny. Były one konsekwencją decyzji władz radzieckich o odstąpieniu od stosowania dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 29 listopada 1939 r.<sup>3</sup> wobec mieszkańców anektowanych wówczas terytoriów Polski („Zachodniej Białorusi” i „Zachodniej Ukrainy”), a także analogicznych aktów dotyczących ludności Wileńszczyzny (w sierpniu 1940 r. wcielonej jako część Litwy do ZSRR). 22 czerwca i 14 lipca 1944 r. ten sam radziecki organ wydał dekrety umożliwiające ubieganie się przez żołnierzy polskich formacji wojskowych w ZSRR, pochodzących z tych obszarów, oraz ich rodziny (a także osoby zaangażowane w inny sposób w walkę z Niemcami) o przywrócenie im obywatelstwa polskiego. Zainteresowani mieli zgłaszać się z podaniami do stosownej Komisji Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. 8 lipca 1944 r. na łamach „Wolnej Polski” zamieszczono informacje, które sugerowały, że czerwcowa decyzja radzieckich władz przybliżyła perspektywę „reewakuacji” do kraju tych, którzy zostaną pozytywnie zweryfikowani jako polscy obywatele (dodatkowym warunkiem była ich polska narodowość). Cztery dni później w gronie Prezydium Zarządu Głównego (ZG) ZPP dyskutowano o delegowaniu działaczy tej organizacji do mającej wkrótce rozpocząć pracę komisji opcyjnej<sup>4</sup>. Do rozmów z Kremlem została upoważniona wówczas Wanda Wasilewska. 15 lipca 1944 r. przekazała „towarzyszom” z ZPP pozytywne wieści: Sowieci godzili się na trzech przedstawicieli. W gronie władz Związku panowało wówczas przekonanie, że sprawa opcji zostanie wkrótce rozstrzygnięta w drodze polsko-radzieckiego porozumienia na najwyższym szczeblu. Warto zwrócić uwagę na to, że szefowa Związku Patriotów Polskich (a zarazem wiceprzewodnicząca PKWN) odgrywała kluczową rolę w relacjach między proradzieckimi władzami w Lublinie a Stalinem. Cieszyła się bowiem sporym zaufaniem radzieckiego dyktatora<sup>5</sup>.

<sup>2</sup> J. Pisuliński, *Przesiedlenie ludności ukraińskiej z Polski do USRR w latach 1944-1947*, [Rzeszów 2017], s. 80-89.

<sup>3</sup> O narzuceniu obywatelstwa radzieckiego.

<sup>4</sup> Opcja – procedura zmiany obywatelstwa.

<sup>5</sup> *Archiwum Ruchu Robotniczego*, t. II, pod. red. F. Tycha, Warszawa 1975, s. 138-139, 141, 151-153; A. Głowacki, *Sytuacja prawna obywateli polskich w ZSRR w latach 1939-1945*, [w:] *Położenie ludności polskiej na terytorium ZSRR i wschodnich*



Tymczasem w Moskwie na początku sierpnia 1944 r. powołano Przedstawicielstwo PKWN – pierwszą placówkę dyplomacji „lubelskiej” Polski. Formalnie na jej czele stanął Wincenty Rzymowski (szef Resoru Kultury i Sztuki PKWN), jednak urażony odmową przyjęcia przez Sowieców listów uwierzytelniających (Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych ZSRR – LKSZ – uznał to za zbyt wysokie) wrócił do kraju, a w radzieckiej stolicy pełniącym obowiązki szefa ekspozytury został Stefan Jędrychowski. Latem 1944 r. podjął on mało skuteczne działania zmierzające do uregulowania statusu prawnego ludności polskiej na Wschodzie, co było warunkiem jej przyszłej repatriacji. Zabiegał także o przyjazd specjalistów potrzebnych w odbudowie kraju. Inicjatywy te były jednak powstrzymywane przez Osóbkę-Morawskiego, który ocenił je jako przedwczesne. Mimo to wśród członków administracji PKWN i wojskowych narastała presja na sprowadzenie swoich rodzin z ZSRR. Niektórzy z nich decydowali się nawet na wyjazdy do Moskwy, by tam czynić starania o repatriację bliskich. Od sierpnia-września 1944 r. do Polski przyjeżdżały niezbyt liczne grupy osób związanych z nową władzą w kraju, działaczy lewicowych, żydowskich, a także fachowców, ale sprawy ogólnej repatriacji stały w miejscu. Natomiast Jędrychowski w korespondencji z Lublinem coraz częściej zwracał uwagę na konieczność przywrócenia Polakom w ZSRR polskiego obywatelstwa. Pod koniec września 1944 r. skierował do radzieckiego resortu spraw zagranicznych prośbę o przyspieszenie powołania komisji opcyjnej, do której wytypowani zostali przedstawiciele ZPP. Zwracał przy tym uwagę na to, że gdyby Sowieci zgodzili się na masowe przywracanie obywatelstwa polskiego przebywającym na ich terytorium Polakom, wówczas konieczne stałoby się powołanie w ZSRR sieci konsulatów RP. 22 września 1944 r. problem obywatelstwa Jędrychowski poruszył także podczas rozmowy z Władysławem Mołotowem (szefem radzieckiej dyplomacji). Pytał wówczas o możliwości załatwienia tej kwestii w drodze obustronnego porozumienia zbudowanego „na szerszej niż dotychczas podstawie”. Władze ZSRR nie godziły się jednak na uregulowanie statusu polskich zesłańców, łagierników i więźniów, a tym bardziej na ich masową repatriację<sup>6</sup>.

Do końca 1944 r. do Polski z głębi ZSRR legalną drogą i trybem indywidualnym przyjeżdżali jedynie nieliczni – głównie ci, o których zabiegał aparat PKWN i którym stalinowskie władze zezwalały na opuszczenie swych granic. Warto dodać, że w kraju coraz częściej o swoich bliskich na Wschodzie upominali się żołnierze, milicjanci oraz cywile. Różnymi „kanałami” starali się dotrzeć do władz polskich i radzieckich, które mogłyby dopomóc w wydostaniu

---

*ziemiach II Rzeczypospolitej w czasie II wojny światowej*, pod red. A. Marszałka, Toruń 1990, s. 44-46; „Wolna Polska” 1944, nr 25, s. 1.

<sup>6</sup> Raport S. Jędrychowskiego do E. Osóbki-Morawskiego z 15.08.1944 r., Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych (dalej: AMSZ), sygn. 27-2-15, k. 1; Pismo E. Osóbki-Morawskiego do S. Jędrychowskiego z 18.08.1944 r., ibidem, k. 5; Raport S. Jędrychowskiego do E. Osóbki-Morawskiego z 30.08.1944 r., ibidem, k. 9-9 verso; Pismo M. Ciechanowskiego (p.o. drugiego sekretarza Przedstawicielstwa PKWN w ZSRR) do Sekretariatu Prezydyjnego PKWN z 30.08.1944 r., ibidem, sygn. 27-2-24, k. 37; S. Jędrychowski, *Przedstawicielstwo PKWN w Moskwie. Materiały i studia historyczne*, t. I, Warszawa 1987, s. 67-69, 75.

się ich krewnym z ZSRR. Jednak o losie ludności polskiej przebywającej w kraju „robotników i chłopów” jednostronnie decydował przecież Kreml, a ponawiane przez Jędrzychowskiego interwencje nie były działaniami suwerennej dyplomacji. Warto dodać, że komisja Prezydium Rady Najwyższej ZSRR ds. obywatelstwa z udziałem delegatów ZPP ostatecznie nie zebrała się. W drugiej połowie 1944 r., gdy przygotowywano się do realizacji układów o przesiedle niach z Kresów Wschodnich II RP, ogólna repatriacja Polaków z głębi ZSRR była zatem nierealna<sup>7</sup>.

31 grudnia 1944 r. PKWN został przekształcony w Rząd Tymczasowy. Premierem został Edward Osóbka-Morawski, który objął w nim (podobnie jak w PKWN) także resort spraw zagranicznych. Natomiast w Moskwie w styczniu 1945 r. w miejsce Przedstawicielstwa PKWN powołana została Ambasada RP. Na jej czele stanął Zygmunt Modzelewski. Placówka posiadała szereg informacji o nastrojach panujących wówczas wśród ludności polskiej nerwowo oczekującej na wieści o repatriacji. Wielu naszych rodaków, zesłańców z lat 1940-1941, ogarniała tzw. gorączka wyjazdowa. Ci najbardziej zniecierpliwieni decydowali się na podjęcie ryzykownej próby samodzielnej i nielegalnej podróży do Polski. By nieco uspokoić te emocje, Z. Modzelewski i W. Wasilewska wygłosili pod koniec marca 1945 r. radiowe przemówienia, w których zapowiadali rychłą, masową i zorganizowaną repatriację, z której mieli skorzystać wszyscy zainteresowani<sup>8</sup>.

Tymczasem 6 marca 1945 r. ambasador „ludowej” Polski w ZSRR przesłał do Warszawy prośbę o wyrażenie zgody na wszczęcie oficjalnych rokowań w sprawie zawarcia umowy. Sprawą priorytetową w przyszłym porozumieniu miało być uregulowanie kwestii obywatelstwa. Do pisma dołączony był wstępny, jeszcze nieoficjalny projekt układu, który zawierał istotne propozycje. Najważniejszą z nich było powołanie „Głównej Komisji Mieszanej Polsko-Radzieckiej dla Spraw Repatriacji” z bardzo szerokimi uprawnieniami. Do jej najważniejszych kompetencji należałoby ostateczne decydowanie o przyznaniu danej osobie obywatelstwa polskiego i prawa do repatriacji. W terenie miały tym zajmować się przedstawicielstwa komisji, w skład których w praktyce wchodziłoby członkowie ZPP. Komisja i jej miejscowe ekspozytury pełniłyby według tego projektu w zasadzie rolę polskich placówek konsularnych (o powołaniu konsulatów z prawdziwego zdarzenia na razie nie było mowy<sup>9</sup>). Była to koncepcja bardzo śmiała ale jednocześnie nie mająca szans

<sup>7</sup> Raport S. Jędrzychowskiego do E. Osóbki-Morawskiego z 07.10.1944 r., AMSZ, sygn. 27-2-15, k. 35; Raport S. Jędrzychowskiego do E. Osóbki-Morawskiego z 26.10.1944 r., ibidem, k. 37; M. Wołosiewicz, *Wspomnienia z Syberii*, Archiwum Komisji Historycznej Oddziału Wojewódzkiego Związku Sybiraków w Łodzi (dalej: ZSŁ), sygn. 104, s. 15; S. Jędrzychowski, *Przedstawicielstwo PKWN w Moskwie...*, s. 77-79; C. Neuman, *Moja „Odysea“*; „My, Sybiracy” 1993, nr 4, s. 135; J. Prorok, *Skazani na zagładę. Wspomnienia z lat 1939-1945*, Wrocław 1992, s. 229-230, 234-235; A. Szulgacz, *Wspomnienia Sybiraka-Kościuszkowca*, [w:] *Wspomnienia Sybiraków. Zbiór tekstów źródłowych*, pod red. J. Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka 2008, s. 690.

<sup>8</sup> „Wolna Polska” 1945, nr 11-12, s. 1.

<sup>9</sup> M. Golon, *Moskwa, Kijów, Mińsk, Leningrad, Wilno...*, *Problem utworzenia i działalności polskich placówek konsularnych w ZSRR w latach 1944-1972*, [w:] *Pol-*

na realizację. Stosunek władz radzieckich do kwestii obywatelstwa polskich wygnańców był jednoznaczny: wszelkie zmiany statusu prawnego naszych rodaków przebywających na terytorium ZSRR były uważane przez Kreml za jego wewnętrzną sprawę<sup>10</sup>.

W następnych tygodniach ambasador Modzelewski uczestniczył w rozmowach z przedstawicielami LKSZ ZSRR na temat repatriacji. Stronie radzieckiej przesyłane były kolejne projekty porozumienia, które zawierały zapisy korzystne z punktu widzenia Polaków oczekujących na powrót do ojczyzny. Pierwszy z nich trafił na biurko Andrieja Wyszynskiego (wiceszefa radzieckiego resortu spraw zagranicznych) 2 kwietnia 1945 r. Powtórzono w nim zapisy o zakresie kompetencji komisji mieszanej oraz zasadach odzyskiwania przez przyszłych repatriantów polskiego obywatelstwa. Dodano też zapisy mówiące, że po sporządzeniu i zatwierdzeniu list wyjeżdżających – do czasu opuszczenia przez nich granic ZSRR – mogli oni swobodnie korzystać ze wszelkich uprawnień, które przynajmniej formalnie gwarantowało im państwo radzieckie. Prawną ochronę przyszłym repatriantom (jako obywatelom RP) zapewniać miała natomiast Ambasada Polski<sup>11</sup>.

20 maja 1945 r. do władz radzieckich została przesłana kolejna wersja umowy. W stosunku do propozycji z początku kwietnia 1945 r., w nowym projekcie wprowadzono kilka przeróbek językowych. Znacznie rozbudowano natomiast protokół do układu. Znalazły się tam m.in. zapisy dotyczące polskich studentów na radzieckich uczelniach oraz o mieniu, które mogliby zabrać ze sobą wyjeżdżający. Istotną nowością była propozycja unormowania sytuacji prawnej obywateli polskich pozbawionych wolności przez władze Związku Radzieckiego<sup>12</sup>.

W tworzenie projektów umowy repatriacyjnej zaangażowany był także Związek Patriotów Polskich. 23 maja 1945 r. Aleksander Juszkiewicz – sekretarz generalny ZG ZPP – przekazał ambasadorowi Modzelewskiemu propozycję brzmienia niektórych paragrafów porozumienia. Najważniejsza z nich dotyczyła tego, że repatriacji mieli podlegać obywatele polscy do 17 września 1939 r. narodowości polskiej lub żydowskiej bez względu na rodzaj posiadanych przez nich dowodów tożsamości. Innymi słowy: prawo do powrotu do Polski przysługiwałoby nawet tym wygnańcom, którzy nie mogli udowodnić posiadania obywatelstwa II RP. Wydaje się, że twórcy tego projektu już wówczas przewidywali komplikacje podczas procedury opcji. Warto zauważyć, że zrezygnowano w nim z kompetencji komisji mieszanej w zakresie nadawania obywatelstwa polskiego (podtrzymano jednak to, że w gestii tego gremium znajdowałoby się ostateczne rozstrzygnięcie o prawie do repatriacji)<sup>13</sup>.

---

*ska polityka wschodnia w XX wieku*, pod red. M. Wojciechowskiego, Włocławek-Toruń 2004, s. 201-237.

<sup>10</sup> Pismo Z. Modzelewskiego do MSZ RP z 06.03.1945 r., AMSZ, sygn. 27-10-155, k. 1; Projekt umowy repatriacyjnej z 06.03.1945 r., ibidem, k. 2-7.

<sup>11</sup> Pismo Z. Modzelewskiego do A. Wyszynskiego z 02.04.1945 r., AMSZ, sygn. 27-10-155, k. 15; Projekt umowy repatriacyjnej z 02.04.1945 r., ibidem, k. 16-24.

<sup>12</sup> Projekt umowy repatriacyjnej z 20.05.1945 r., AMSZ, sygn. 27-10-155, k. 33-38.

<sup>13</sup> Pismo A. Juszkiewicza do Z. Modzelewskiego z 23.05.1945 r., AMSZ, sygn. 27-10-155, k. 25; Projekt umowy repatriacyjnej z 23.05.1945 r., ibidem, k. 26-31.

Ostatni z projektów umowy do LKSZ ZSRR wpłynął 20 czerwca 1945 r. W dołączonym do dokumentu piśmie przewodnim Modzelewski zwracał się do Wyszynskiego z prośbą o podjęcie działań w celu przyspieszenia zawarcia porozumienia i zaakceptowania propozycji układu opracowanej przez Ambasadę RP. Nowa i wydaje się finałowa wersja powielana w zasadzie tę sprzed równo miesiąca. Uwzględniono w niej jednak propozycję wysuniętą przez ZPP, aby repatriacji podlegały także te osoby, które nie posiadały dokumentów jednoznacznie stwierdzających ich polskie obywatelstwo we wrześniu 1939 r. Podtrzymano także kompetencje komisji mieszanej w zakresie nadawania repatriantom obywatelstwa polskiego i decydowania o ich prawie do powrotu do ojczyzny. Ponadto stwierdzono, że Polacy pozbawieni przez radzieckie organy bezpieczeństwa, ale schwytane na terytorium Polski, powinny zostać przekazane władzom polskim<sup>14</sup>.

W dniach 17-21 czerwca 1945 r. w Moskwie przebywała delegacja Krajowej Rady Narodowej i Rządu Tymczasowego RP, która brała udział w rozmowach na temat realizacji porozumień jałtańskich w kwestii powołania rządu jedności narodowej. Ekipa Bieruta poruszała także problem umowy repatriacyjnej. Nie uzyskała jednak żadnych konkretów, a 23 czerwca 1945 r. Aleksander Juskiewicz skierował prezydenta KRN list z apelem o przyspieszenie finalizacji „pertraktacji”. Wskazywał na narastające zniecierpliwienie ludności polskiej w głębi ZSRR oraz uciekający czas. Jego zdaniem lato 1945 r. to ostatni moment na zawarcie porozumienia, gdyż repatriacja z północnych i wschodnich obszarów ZSRR jesienią i zimą będzie już praktycznie niemożliwa<sup>15</sup>.

Tymczasem propozycje przedkładane za pośrednictwem ambasadora Modzelewskiego nie były przez Sowietów brane pod uwagę. Przedstawili oni bowiem własny projekt umowy, który nie uwzględniał korzystnych dla przyszłych repatriantów rozwiązań zaproponowanych przez Polaków. Strona radziecka narzuciła rządowi polskiemu tekst zawierający szereg zapisów utrudniających repatriację (o czym niżej). Podporządkowane Stalinowi władze nad Wisłą jednak nie protestowały<sup>16</sup>.

Układ został zawarty 6 lipca 1945 r. w Moskwie. Podpisy pod dokumentem złożyli Zygmunt Modzelewski i Andriej Wyszynski. Bez jednoznacznej odpowiedzi pozostaje pytanie dlaczego, mimo gotowego projektu, Kreml długo zwlekał z zawarciem umowy. Być może Stalinowi nie chodziło o Polaków znajdujących się w ZSRR, a o obywateli radzieckich przebywających w Polsce.

<sup>14</sup> Pismo Z. Modzelewskiego do A. Wyszynskiego z 20.06.1945 r., AMSZ, sygn. 27-10-155, k. 39; Projekt umowy repatriacyjnej z 20.06.1945 r., ibidem, k. 40-47.

<sup>15</sup> Pismo A. Juskiewicza do B. Bieruta z 23.06.1945 r., Archiwum Akt Nowych w Warszawie (dalej: AAN), zespół akt: Zarząd Główny Związku Patriotów Polskich w ZSRR (dalej: ZG ZPP), sygn. 216/30, k. 62; A. Głowacki, *Trudna repatriacja obywateli polskich z głębi ZSRR w latach 1945-1946*, [w:] *Władze komunistyczne wobec ziem odzyskanych po II wojnie światowej. Materiały z konferencji*, pod red. S. Łacha, Słupsk 1997, s. 175; K. Kersten *Repatriacja ludności polskiej po II wojnie światowej (studium historyczne)*, Warszawa 1974, s. 98; E. Kołodziej, *Polityka Rządu RP w Warszawie wobec repatriacji i reemigracji obywateli polskich z ZSRR w latach 1944-1948*, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1994, nr 1 (203), s. 327.

<sup>16</sup> Projekt umowy repatriacyjnej, AAN, ZG ZPP, sygn. 216/20, k. 8-15.

Umowa zezwalała bowiem na obustronne transfery ludności. Tymczasem w Szczecinie i w jego okolicach po zakończeniu wojny mieszkało wielu Rosjan, którzy znaleźli się tam z różnych przyczyn w latach 1941-1945. Władzom polskim miasto zostało przekazane przez Armię Czerwoną dopiero 5 lipca 1945 r. Zatem jeśli umowa repatriacyjna zostałaaby zawarta wcześniej, wówczas nie objęłaby obywateli radzieckich, których Sowieci chcieli zmusić do powrotu na Wschód. W świetle układu osoby te znajdowałyby się w chwili jego podpisania na terytorium państwa trzeciego<sup>17</sup>.

Umowa o prawie zmiany obywatelstwa i repatriacji podpisana 6 lipca 1945 r. dawała formalną możliwość powrotu do ojczyzny (choć w większości nie na ojcowiznę) rzeszom mieszkańców II Rzeczypospolitej, deportowanym w głąb ZSRR w okresie pierwszej okupacji radzieckiej. Porozumienie oraz dołączony do niego protokół określały tryb i terminy planowanej akcji repatriacyjnej. Wyjazd od kraju przysługiwał tylko osobom narodowości polskiej i żydowskiej – obywatelom polskim do 17 września 1939 r. Podpisując ten dokument władze powojennej Polski ostatecznie wyrzekły się obywateli II Rzeczypospolitej pochodzenia białoruskiego, litewskiego, rosyjskiego i ukraińskiego oraz tych Polaków i Żydów, którzy pod presją Sowietów zadeklarowali obcą narodowość. Warto zauważyć, że wobec obywateli radzieckich, chcących wyjechać z Polski do ZSRR, nie zastosowano ograniczeń narodowościowych. Porozumienie dotyczyło także osób, o których była mowa w decyzjach Prezydium RN ZSRR z 22 czerwca i 14 lipca 1944 r. i nie zmieniało układów o przesiedleniach z Białorusią, Litwą i Ukrainą<sup>18</sup>.

Umowa przewidywała dobrowolne zwrócenie się w terminie do 1 listopada 1945 r. przez zainteresowanych z podaniami o zmianę obywatelstwa (z radzieckiego na polskie) do komisji ds. obywatelstwa Prezydium Rady Najwyższej ZSRR. Pomyślne przejście procedury opcji dawało prawo do udziału w zorganizowanej akcji repatriacyjnej, która miała zakończyć się do 31 grudnia 1945 r. Wraz z repatriantem mogła wyjechać jego rodzina. Osobom pozbawionym wolności porozumienie umożliwiało przystąpienie do opcji w terminie do trzech miesięcy po uwolnieniu. Studenci, którzy zechcieli kontynuować naukę w ZSRR i władze tego kraju wyraziłyby na to zgodę, mogli – po poddaniu się procedurze opcji – kształcić się w radzieckich uczelniach na zasadach przewidzianych dla cudzoziemców.

Umowa przewidywała powstanie sześciuosobowej „Radziecko-Polskiej Komisji Mieszanej”<sup>19</sup> z siedzibą w Moskwie. Zadania tego międzyrządowego

<sup>17</sup> Por. w: W. Marciniak, *Polskie interpretacje umowy z ZSRR z 6 lipca 1945 roku w kwestii obywatelstwa osób przebywających na terytoriach państw trzecich*, „Echa Przeszłości” 2016, [t.] XVII, s. 211-227.

<sup>18</sup> „Porozumienie między Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej RP i Rządem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich o prawie zmiany obywatelstwa radzieckiego i ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej, zamieszkałych w ZSRR oraz prawie zmiany obywatelstwa polskiego osób narodowości rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, rusińskiej i litewskiej, zamieszkałych na terytorium Polski, i ich ewakuacji do ZSRR”, *Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich, t. VIII, styczeń 1944-grudzień 1945*, [Warszawa] 1974, s. 500-505.

<sup>19</sup> W latach 1945-1947 funkcjonowała ona pod nazwą Polsko-Radziecka Komisja Mieszana ds. Ewakuacji.

organu określono bardzo ogólnie: miały nimi być przygotowanie i nadzór nad akcją przesiedleńczą. W terenie oraz na stacjach granicznych mieli operować polscy i radzieccy pełnomocnicy Komisji. Koszty podróży i opieki nad repatriantami umowa nakazywała rozliczyć pomiędzy rządami sygnatariuszy w drodze oddzielnego porozumienia<sup>20</sup>.

21 lipca 1945 r. LKSZ ZSRR przekazał Ambasadzie RP w Moskwie listę członków Radzieckiej Delegacji w Komisji Mieszanej. Byli to: Aleksiej M. Aleksandrow<sup>21</sup> (przewodniczący), Iwan A. Prokofiew (zastępca przewodniczącego, członek) i płk Iwan W. Antipow (członek). Sześć dni później Edward Osóbka-Morawski zatwierdził następujący skład Polskiej Delegacji: dr Henryk Wolpe<sup>22</sup> (przewodniczący), Aleksander Juszkiewicz (zastępca przewodniczącego), Irena Kuczyńska<sup>23</sup> (członek). Stanowiska sekretarzy odpowiedzialnych pełnili natomiast: po stronie polskiej – Leonard Pohoryles, zaś radzieckiej – A. Moczafow. Polska Delegacja urzędowała w Ambasadzie RP przy ul. Tołstoja 30 w Moskwie. Tam też mieściła się jej kancelaria, w której początkowo zatrudniono jedynie sześć osób<sup>24</sup>.

W skład Polskiej Delegacji weszły osoby ściśle powiązane ze Związkiem Patriotów Polskich ale nieposiadające doświadczenia w dyplomacji. Mimo to dobór jej członków, a w szczególności przewodniczącego, okazał się trafny. Henryk Wolpe wykazał się bowiem determinacją w załatwianiu spraw repatriacyjnych, co miało niebagatelny wpływ na realizację umowy z 6 lipca 1945 r.<sup>25</sup>

W założeniach umowy repatriacyjnej, Komisja powinna obradować na wspólnych posiedzeniach, którym przewodzić mieli na zmianę przewodniczący Delegacji. Tymczasem w pierwszym okresie swojej działalności obie jej części pracowały oddzielnie, a na zebraniach omawiano jedynie kwestie sporne. W spotkaniach uczestniczyli również doradcy i eksperci stron, a także przedstawiciel ZPP. W stałym kontakcie byli jedynie sekretarze odpowiedzialni i przewodniczący.

Sprawozdania Polskiej Delegacji z pierwszego okresu działalności Komisji zawierają listę trudności, które stanęły na przeszkodzie sprawnych przygotowań do repatriacji. Strona polska zabiegała o jak najszybsze rozpoczęcie procedury opcji oraz powołanie terenowych pełnomocników Komisji Mieszanej. Sprawom tym poświęcone były pierwsze jej posiedzenia (do 30 sierpnia 1945 r. odbyły się cztery, a do końca września Komisja zebrała się jeszcze dwukrotnie). Polacy przedstawili projekty instrukcji m.in. w sprawie zakresu obowiązków terenowych pełnomocników Komisji. Członkowie

<sup>20</sup> Zostało ono sfinalizowane dopiero 21 lipca 1952 r.

<sup>21</sup> A. Aleksandrow był zastępcą, a następnie kierownikiem IV Wydziału Europejskiego Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR.

<sup>22</sup> Działacz komunistyczny, historyk literatury, od 1945 r. charge d'affair w Ambasadzie RP w Moskwie.

<sup>23</sup> Kierowniczką Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Głównego ZPP.

<sup>24</sup> Pismo LKSZ ZSRR do Ambasady RP w Moskwie z 21.08.1945 r., AMSZ, sygn. 27-10-155, k. 99; *Polska Delegacja w Polsko-Radzieckiej Komisji Mieszanej do Spraw Ewakuacji. Wybór dokumentów (1945-1947)*, wstęp i opracowanie W. Marciniak, [Łódź 2016], s. 21-23.

<sup>25</sup> Zob. biografie [w:] *Polska Delegacja...*, s. 13-18.

Radzieckiej Delegacji kategorię przeciwności się jednak mianowaniu pełnomocników w okresie trwania opcji. Argumentowali, że procedura zmiany obywatelstwa naszych rodaków była „wewnętrzną sprawą ZSRR” i nie leżała w kompetencjach Komisji Mieszanej<sup>26</sup>.

Podczas jednego z pierwszych posiedzeń Komisji Mieszanej, Radziecka Delegacja zapoznała stronę polską z instrukcją dotyczącą trybu i zasad opcji. Warunkiem jej pozytywnego przejścia było udowodnienie przez zainteresowanego posiadania polskiego obywatelstwa sprzed 17 września 1939 r. Chętni do repatriacji byli zobligowani do okazania w tym celu stosownych dokumentów – „dowodów polskości”. Były to m.in.: dowód osobisty, legitymacja służbowa, książeczka wojskowa lub ubezpieczeniowa, dyplom uniwersytecki, świadectwo szkolne, metryka urodzenia. Osoba nieposiadająca takich dokumentów w zasadzie nie miała prawa do repatriacji. Sowieci zapewniali jednak Polaków, że jeśli miejscowe władze nie będą miały wątpliwości, co do pochodzenia osoby niemającej wymaganej dokumentacji, to zostanie jej wydana zgoda na wyjazd do Polski. Aleksandrow odmówił jednak włączenia takiego zapisu do instrukcji<sup>27</sup>.

Tymczasem jesienią 1945 r. w skupiskach polskich wygnańców rozpoczęło się przyjmowanie podań opcyjnych. Z uwagi na określone w umowie terminy, akcję zainicjowano zbyt późno (w drugiej połowie września, a w wielu miejscach dopiero w październiku 1945 r.). Ponadto do Polskiej Delegacji docierały informacje o licznych nieprawidłowościach – braku opublikowania szczegółowego trybu procedury, błędnych instrukcjach miejscowych organów NKWD i milicji, opóźnieniach w przesyłaniu blankietów podań itp.<sup>28</sup>

Najpoważniejszą trudnością był jednak brak wymaganych przez Sowieców dokumentów u większości przystępujących do procedury. Według szacunków Polskiej Delegacji problem dotyczył ok. 70-80% zainteresowanych. Ich podania były odrzucane bez rozpatrzenia. Alarmowana przez ogień terenowe ZPP Polska Delegacja postawiła tę palącą kwestię na porządku dziennym podczas obrad Komisji Mieszanej i przedstawiała propozycje jej rozwiązania. Wolpe postulował, aby za wystarczający dowód polskiego pochodzenia uznawane były zeznania świadków oraz opinie wydawane przez ZPP, a nawet przesłuchania zainteresowanych przez miejscowe władze administracyjne. Członkowie Radzieckiej Delegacji konsekwentnie odrzucali jednak te propozycje jako „godzące w interesy ZSRR”<sup>29</sup>.

Sytuacja wydawała się kuriozalna – oto bowiem polscy wygnańcy musieli udowodnić władzy radzieckiej, że posiadali obywatelstwo polskie. Ta sama władza bezprawnie pozbawiła ich przecież tego obywatelstwa i deportowała w głąb ZSRR. Tymczasem zbliżał się termin zakończenia opcji

<sup>26</sup> Ibidem, s. 22-40; „Wolna Polska” 1945, nr 37, s. 1.

<sup>27</sup> Ibidem.

<sup>28</sup> Sprawozdanie z działalności ZPP w obwodzie południowokazachskim (01.10 - 31.12.1945 r.), AAN, zespół akt: Związek Patriotów Polskich w ZSRR (dalej: ZPP), sygn. 82, k. 73; Sprawozdanie z pracy Zarządu Obwodowego ZPP w Połtawie w listopadzie i grudniu 1945 r., ibidem, sygn. 1334, k. 84; Sprawozdanie z akcji opcji w obwodzie kżyłordyńskim, ibidem, sygn. 1588, k. 22.

<sup>29</sup> *Polska Delegacja...*, s. 22-23.

i zachodziła uzasadniona obawa, że większość zainteresowanych nie przejdzie jej pomyślnie. Nierealne stawało się także przeprowadzenie repatriacji do końca 1945 r. W wielu regionach ZSRR, zwłaszcza północnych i wschodnich, już w październiku-listopadzie rozpoczynała się bowiem zima, do której większość wygnańców nie była przygotowana. Duża część z nich wierzyła bowiem, że jeszcze przed nadejściem mrozów stanie na ojczyściej ziemi i nie gromadziła zapasów odzieży i żywności. Ale sprawy opcji i repatriacji utknęły w „martwym punkcie”. W obliczu nieprzejednanego stanowiska strony radzieckiej, przewodniczący Wolpe postulował w polskim MSZ rozpoczęcie działań interwencyjnych na szczeblu międzyrządowym<sup>30</sup>.

Tymczasem nastąpiła zmiana ambasadora Polski w Związku Radzieckim. 20 sierpnia 1945 r. Bolesław Bierut mianował na to stanowisko zoologa i działacza socjalistycznego prof. Henryka Raabego. Wkrótce przybył on do ZSRR i objął moskiewską placówkę. Nowy ambasador nie był zawodowym dyplomatą, nie posiadał doświadczenia w rozmowach z radzieckimi politykami, a mimo to wykazał się dużą determinacją w umożliwieniu repatriacji nie tylko wygnańcom z lat II wojny światowej, ale także tym naszym rodakom, którzy w głąb ZSRR trafili już po jej zakończeniu.

Swoją służbę Raabe rozpoczął od serii spotkań z radzieckimi dyplomatami we wrześniu 1945 r. Towarzyszył mu pierwszy sekretarz ambasady Władysław Matwin. Podczas rozmów ambasador omawiał szereg spraw ze stosunków polsko-radzieckich, jednak nas interesują poruszane wówczas kwestie repatriacyjne.

6 września 1945 r. Raabe spotkał się w Mołotowem w związku ze złożeniem listów uwierzytelniających. Nawiązał wówczas do zbyt powolnego toku realizacji umowy z 6 lipca 1945 r. Mołotow przyznał swojemu rozmówcy rację, ale winą za trudności obarczył „czynniki wykonawcze”. Miał tu na myśli zapewne urzędników niskiego szczebla. Tymczasem problem tkwił w radzieckiej interpretacji zasad lipcowego układu i związanych z nią rozporządzeń wysyłanych w teren<sup>31</sup>.

Zadowalających efektów nie przyniosła także rozmowa Raabego z Wyszynskim, która miała miejsce 14 września 1945 r. Ambasador (także w towarzystwie Matwina) poruszył problem osób (o szacowanej liczbie ponad 100 tysięcy), które nie dysponowały wystarczającymi dowodami na posiadanie obywatelstwa polskiego sprzed radzieckiej inwazji. Wyszynski odrzucił wysuwaną propozycję uwzględniania zeznań świadków, dopuścił jednak możliwość komisyjnego orzekania o pochodzeniu takich optantów w wyniku rozmowy z przedstawicielami administracji i przy udziale delegata ZPP. Raabe przypomniał także o komisji opcyjnej, która miała rozpocząć pracę na podstawie dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 22 czerwca 1944 r. Wyszynski odpowiadał jednak wymijająco i ostatecznie nie zajął jednoznacznego stanowiska w poruszanych kwestiach<sup>32</sup>.

---

<sup>30</sup> Ibidem.

<sup>31</sup> Sprawozdanie H. Raabego dla Z. Modzelewskiego z rozmów z W. Mołotowem, A. Wyszynskim i A. Pawłowem z 30.09.1945 r., AMSZ, sygn. 6-29-447, k. 1-3.

<sup>32</sup> Ibidem, s. 4-6.



Trzecie z kolei spotkanie Raabego z radzieckim dyplomatą, podczas którego poruszał ważne dla repatriacji sprawy, odbyło się 19 września 1945 r. Tym razem rozmówcą ambasadora był Aleksiej Pawłow – naczelnik IV Wydziału Europejskiego LKSZ ZSRR. Zajmowane przez niego stanowisko zasadniczo rozmiękało się z polskimi oczekiwaniami. Odrzucił propozycję wysuwaną przez polskiego ambasadora, aby w rozwiązaniu problemu osób bez dokumentów wziąć pod uwagę wariant przesłuchiwanie ich przez organy radzieckie (np. milicję) w obecności przedstawiciela ZPP. Pawłow twierdził, że to stworzyłoby pole do nadużyć – np. „propagandy i intryg antyradzieckich”. Sposób jego argumentacji (kategoryczny ton) oddalał perspektywę rozwiązania problemów repatriacyjnych. „Sprawa ludzi bez dokumentów polskich jest obecnie centralnym zagadnieniem repatriacji. Jeśli nam tutaj nie uda się skłonić strony radzieckiej do przyjęcia naszego poglądu na tę sprawę, to w ciągu najbliższego czasu będzie bezwzględnie potrzebna interwencja Rządu” – pisał Raabe do Modzelewskiego – wówczas podsekretarza stanu w MSZ RP<sup>33</sup>.

Pod koniec września 1945 r. ambasador Raabe dysponował już szerokim rozeznanieniem w problemach związanych z realizacją podpisanego niemal trzy miesiące wcześniej układu. Wiedział, że repatriacja polskich wygnańców z głębi ZSRR była ściśle uzależniona od pomyślnego przejścia przez nich procedury opcji, a przy tak niekorzystnej interpretacji zapisów porozumienia przez urzędników radzieckich, okaże się to niemożliwe. Sytuacja była tym trudniejsza, że Sowieci odrzucali polskie propozycje, ale nie wysuwali własnych rozwiązań problemu. Jedynym wyjściem z sytuacji było konsekwentne postulowanie stwierdzenia obywatelstwa polskiego na podstawie przesłuchań optantów przez radziecką administrację i przy udziale pracownika ZPP. Ambasador prosił jednak Warszawę o instrukcję w tej sprawie. Jego obawy wiązały się także z koniecznością organizowania wyjazdu naszych rodaków w okresie zimowym. Uważał, że z powodu warunków atmosferycznych, odprawienie pociągów z ośrodków położonych na wschodzie i północy ZSRR będzie niemożliwe. Zadania nie ułatwiały mu stosunki panujące w placówce – działania Raabego były bowiem uważnie obserwowane przez Władysława Matwina, który negatywnie recenzował je władzom w Warszawie. Zabiegi Raabego o umożliwienie Polakom powrotu do ojczyzny były ponadto z niezadowoleniem przyjmowane na Kremlu. Warto zauważyć, że Ambasada RP w Moskwie w wielu przypadkach była ignorowana przez polskie MSZ w kontaktach z Kremlm, a jej szef coraz bardziej izolowany<sup>34</sup>.

Mimo wielu trudności, Raabe uparcie podejmował starania o zmianę radzieckiego stanowiska w kwestii repatriacji. Do LKSZ ZSRR z polskiej placówki wysyłane były kolejne noty (sygnowane nazwiskiem ambasadora lub przewodniczącego Polskiej Delegacji), które zawierały propozycje rozwiązania problemów opcyjnych, np. uwzględniania dokumentów o nieco mniejszej „wartości” urzędowej. Kłopotliwe dla polskich dyplomatów było także negatywne stanowisko członków Radzieckiej Delegacji w sprawie powołania pełnomocników Komisji Mieszanej. Ich mianowanie jeszcze w czasie trwania

<sup>33</sup> Ibidem, s. 6-8.

<sup>34</sup> Raport H. Raabego do Z. Modzelewskiego z 30.09.1945 r., AMSZ, sygn. 6-30-452, k. 1-2.

opcji mogłoby znacznie przyspieszyć i usprawnić przygotowania do repatriacji. Strona radziecka ignorowała jednak te argumenty<sup>35</sup>.

W połowie października 1945 r. do Ambasady RP w Moskwie dotarła instrukcja MSZ ze wskazówkami postępowania w sprawach opcji i repatriacji. Szef resortu – Wincenty Rzymowski – instruował w niej, aby w rozmowach z Sowietami forsować postulat udziału w opcji przedstawicieli ZPP i domagać się przesunięcia terminu jej zakończenia nawet do 31 maja 1946 r. Rozważane było także zaopatrywanie osób bez jakichkolwiek „dowodów polskości” w dokumenty przysyłane z Polski<sup>36</sup>.

Ambasador Raabe starał się wcielać w życie treść wytycznych nadesłanych z Warszawy. Wsparcia w rozmowach z Sowietami udzielił mu Jakub Berman, który w październiku 1945 r. gościł w Moskwie. Władze radzieckie oprócz deklaracji o dobrej woli w rozwiązaniu problemów z opcją, nie podejmowały jednak wiążących decyzji<sup>37</sup>.

Problemy z opcją oraz niepewność repatriacji wzbudzały u wygnańców poczucie rozgoryczenia i frustracji. Wielu z nich uważało, że zapowiadany zorganizowany wyjazd nie dojdzie do skutku. U niektórych rodziła się myśl o samodzielnym wyjeździe do ojczyzny. Nasi rodacy szukali różnych sposobów na opuszczenie miejsca zsyłki i udania się na wschodnie obszary II RP, skąd mogliby wyjechać do Polski w jej nowych granicach. Szansę na to dawało uzyskanie zgody na przesiedlenie się do innego obwodu ZSRR (w tym wypadku na „Zachodnią Białoruś” lub „Zachodnią Ukrainę”) na podstawie pisemnych zaproszeń od mieszkających tam krewnych (tzw. wyzowów). Uprawnieni do „przeprowadzki” byli jedynie członkowie rodziny zapraszającego, ale na listę wyjeżdżających dopisywano także osoby niespokrewnione, a radzieckich urzędników po prostu przekupywano. Ci, którzy nie mogli liczyć na zaproszenia decydowali się na wyjazd ukryci w wagonach towarowych czy węglarkach. Była to ryzykowna i niebezpieczna podróż. Oprócz zagrożeń wynikających z niebezpiecznej jazdy, „dzikiem repatriantom” groziły także konsekwencje karne.

1 listopada 1945 r. upłynął termin składania przez wygnańców podań o zmianę obywatelstwa. Z powodu wymagań stawianych przez Sowietów, większość wniosków została odrzucona. Wasilij Czernyszow (zastępca szefa NKWD) skierował wówczas do Ławrientija Berii (stojącego na czele resortu spraw wewnętrznych) pismo, w którym stwierdził, że przeprowadzenie procedury opcji było niewykonalne w ówczesnych warunkach prawnych. Według danych radzieckiego resortu spraw wewnętrznych, do 30 października 1945 r. zarejestrowano jedynie 13 673 podania, z czego do komisji Prezydium Rady Najwyższej skierowano zaledwie 791. To ok. 8% spodziewanej liczby wniosków. Czernyszow proponował przedłużenie przyjmowania podań do 1 lipca

---

<sup>35</sup> Notatka M. Olechnowicza z rozmów przeprowadzonych w Moskwie, AMSZ, sygn. 22-10-246, k. 5; *Pamiętna zapiska* z 14.09.1945 r. w sprawie problemów repatriacyjnych, ibidem, sygn. 27-10-155, k. 102-104.

<sup>36</sup> Pismo W. Rzymowskiego do H. Raabego z 16.10.1945 r., AMSZ, sygn. 6-30-452, k. 6.

<sup>37</sup> A. Sobór-Świdarska, *Jakub Berman. Biografia komunisty*, Warszawa 2009, s. 146-147; *Historia dyplomacji Polskiej, t. VI, 1944/1945-1989*, pod red. W. Materskiego i W. Michowicza, Warszawa 2010, s. 134-136.

1946 r., ale wątpił, że przy obowiązujących wymaganiach i ten termin byłby dotrzymany<sup>38</sup>.

9 listopada 1945 r. Wyszynski przekazał Berii projekt postanowienia KC WKP(b) „O trybie przesiedlenia do Polski byłych obywateli polskich narodowości polskiej i żydowskiej i wyzbyciu się przez nich obywatelstwa radzieckiego”. Dzień później zostało ono zatwierdzone przez władze partii bolszewickiej i radziecki rząd. Decyzja przewidywała przedłużenie terminu opcji do 1 stycznia, a repatriacji do 15 czerwca 1946 r. Polecono także przesłać terenowym organom milicji (i dowódcom jednostek wojskowych) nową instrukcję, w której nakazywano przyjmowanie podań od wszystkich osób narodowości polskiej i żydowskiej, które oświadczą, że do 17 września 1939 r. posiadały obywatelstwo polskie, także wówczas, gdy nie przedstawią stosownych potwierdzeń w postaci dokumentów. Ponadto w miejscach skupisk „byłych obywateli polskich”, przy rządach republik związkowych i autonomicznych, krajowych radach delegatów pracujących oraz obwodowych komitetach wykonawczych, zamierzano powołać komisje do przyjmowania, rozpatrywania i zatwierdzania próśb od wygnańców o zmianę obywatelstwa i wyjazd na stałe do Polski. Organy te miały informować naszych rodaków o trybie repatriacji i koordynować jej przeprowadzanie w terenie. Na szczeblu rządowym niebawem utworzono centralną komisję. Na jej czele stanął Aleksiej Kosygin – szef Rady Komisarzy Ludowych Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. W składzie komisji znaleźli się także następujący przedstawiciele resortów radzieckiego rządu: W. Czernyszow (NKWD), Piotr Fiedotow (NKGB), Aleksander Lubimow (Ludowy Komisariat Handlu), E. Arutionow (Ludowy Komisariat Kolei) oraz Aleksiej Aleksandrow (przewodniczący Delegacji Radzieckiej w Komisji Mieszanej, LKSZ). Uchwała radzieckiego rządu z 10 listopada 1945 r. upoważniała także resort finansów ZSRR do wydzielenia środków na zabezpieczenie kosztów związanych z wyżywieniem, opieką medyczną i podróżą repatriantów, a resort kolejnictwa do opracowania do 15 stycznia 1946 r. grafiku transportów<sup>39</sup>.

Warto dodać, że 10 listopada 1945 r. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR zadecydowało, że repatrianci nabędą obywatelstwo polskie dopiero z chwilą opuszczenia Związku Radzieckiego, a nie w konsekwencji pomyślnego przejścia opcji. Władze tego kraju ostatecznie odrzuciły także koncepcję mianowania pełnomocników Komisji Mieszanej w okresie opcji<sup>40</sup>.

Konsekwencją decyzji władz radzieckich o zmianie repatriacyjnych terminów i uproszczeniu procedury opcji było podpisanie 20 listopada 1945 r. (z datą 11 listopada) przez H. Raabego i A. Wyszynskiego protokołu dodatkowego do umowy z 6 lipca 1945 r. Na jego podstawie nasi rodacy jeszcze przez ponad półtora miesiąca mogli składać podania o zmianę obywatelstwa i powrót do ojczyzny, a organizatorzy repatriacji zyskali czas na odpowiednie przygotowanie przesiedlenia (miało się ono zakończyć do 15 czerwca 1946 r.)<sup>41</sup>.

<sup>38</sup> *Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski 1944-1947. Wybór dokumentów*, wybór, oprac. i red. S. Ciesielski, Warszawa 1999, s. 306-308.

<sup>39</sup> *Ibidem*, s. 309-311; N.F. Bugaj, *Specjalnateczka Stalina: deportacje i reemigracja Polaków*, „Zeszyty Historyczne” 1994, z. 107, s. 129-130.

<sup>40</sup> N.F. Bugaj, *Specjalna teczka Stalina...*, s. 122-123.

<sup>41</sup> *Dokumenty i materiały...*, s. 639.

Wkrótce do terenowych organów radzieckiej administracji dotarła instrukcja nakazująca przyjmowanie wniosków od wszystkich uprawnionych do repatriacji. W razie braku dokumentów, jednoznacznie potwierdzających posiadanie obywatelstwa polskiego przed 17 września 1939 r., dopuszczono możliwość uwzględnienia zeznań świadków lub materiałów NKWD z paszportyzacji w 1943 r. Pod uwagę miała być brana wszelka dokumentacja przedkładana przez wygnańców, nie tylko ta wystawiona przez urzędy i instytucje II Rzeczypospolitej. Listopadowa decyzja radzieckiego rządu dała podstawę do powoływania na szczeblach republikańskich, krajowych i obwodowych „komisji ds. przesiedlenia z ZSRR byłych obywateli polskiej narodowości polskiej i żydowskiej do Polski”. W gremiach tych zasiadali przedstawiciele terenowych władz wykonawczych, reprezentanci milicji, prokuratury, NKWD i NKGB oraz urzędnicy administracji państwowej. Zadaniem komisji było zbieranie, ewidencjonowanie i rozpatrywanie wniosków opcyjnych oraz zatwierdzanie list osób zakwalifikowanych do repatriacji, a także czuwanie nad przebiegiem przesiedlenia<sup>42</sup>.

Przełom w sprawach realizacji umowy z 6 lipca 1945 r. był przedmiotem rozmów ambasadora Raabego z Wyszynskim 14 i 20 listopada 1945 r. Na spotkaniach obecny był również W. Matwin. Wyszynski powiadomił polskich dyplomatów o zmianach w zasadach opcji naszych rodaków, powołaniu terenowych komisji repatriacyjnych oraz trwających pracach nad organizacją transportów, do udziału w których zaprosił przedstawicieli Ambasady. Ponadto stwierdził, że „rząd radziecki po zebraniu wszechstronnych informacji w terenie stanął na stanowisku, że dotychczasowe instrukcje wykonawcze, rozesłane w związku z Umową władzom prowincjonalnym, są niewystarczające”. Wyszynski zapewniał, że repatriacja zakończy się terminowo, a w przypadku trudności władze radzieckie były gotowe do współpracy z polską placówką w celu ich usunięcia. Odrzucił jednak koncepcję udziału przedstawicieli ZPP w pracach radzieckich komisji repatriacyjnych<sup>43</sup>.

21 listopada 1945 r. Raabe ponownie rozmawiał z Mołotowem. Spotkanie odbyło się z inicjatywy ambasadora, który otrzymał od Modzelewskiego polecenie uzyskania zgody od władz radzieckich na uruchomienie jeszcze przed końcem roku przynajmniej dwóch-trzech transportów z repatriantami z głębi ZSRR (rodzin wojskowych ze wschodniej Ukrainy). Szef radzieckiej dyplomacji wyraził na to zgodę, czyniąc stosowną notatkę na wręczonej mu przez Raabego notatce „pro memoria” (z odrębnej informacji na marginesie sprawozdania z rozmowy wynika, że ze wschodnich obwodów Ukraińskiej SRR faktycznie odprawiono transport z czterema-pięcioma tysiącami osób). Raabe

<sup>42</sup> N.F. Bugaj, *Specjalnateczka Stalina...*, s. 127-128; A. Głowacki, *Władze kirgiskie a repatriacja obywateli polskich (1945-1946)*, „My, Sybiracy” 2006, nr 17, s. 25; *Obywatele polscy w Kirgizji. Wybór dokumentów (1941-1946)*, red. A. Głowacki, Warszawa 2010, s. 272-273; *Z dziejów Polaków w Kazachstanie (1936-1956). Zbiór dokumentów z Archiwum Prezydenta Republiki Kazachstanu*, Warszawa 2006, s. 197-200.

<sup>43</sup> Sprawozdanie W. Matwina dla Z. Modzelewskiego z rozmowy z A. Wyszynskim 14.11.1945, AMSZ, sygn. 6-29-447, k. 9-11; Sprawozdanie H. Raabego dla Z. Modzelewskiego z rozmowy z A. Wyszynskim 20.11.1945 r., ibidem, k. 19-20; Sprawozdanie H. Raabego dla Z. Modzelewskiego z rozmowy z A. Wyszynskim 14.11.1945 r., ibidem, sygn. 6-30-452, k. 9-10.

upominał się także o repatriację Polaków wywiezionych „prewencyjnie” w głąb ZSRR w latach 1944-1945 i przetrzymywanych tam w łagrach. W odpowiedzi Mołotow cynicznie zapytał swojego rozmówcę: „chcecie, żeby wam ich wszystkich zwrócić?”. Z przebiegu rozmowy i jej wyniku Raabe nie był zadowolony. Nie uzyskał bowiem niczego więcej, ponad to, na co wcześniej zgodził się Stalin<sup>44</sup>.

W lutym 1946 r. do Polski odprawiono z głębi ZSRR pierwsze transporty repatriacyjne. Ogółem do lipca 1946 r. trybem zorganizowanym powróciło do ojczyzny ponad 250 tys. zesłańców lat wojny. Latem 1946 r. władze radzieckie uznały repatriację obywateli polskich, odbywającą się na podstawie umowy z 6 lipca 1945 r. za zakończoną. Tymczasem według informacji wpływających do Ambasady RP w Moskwie wielu rodaków nie zdołało skorzystać z możliwości wyjazdu do Polski. Byli wśród nich tacy, którym niesłusznie odrzucono podania opcyjne oraz ci, którzy w ogóle nie wiedzieli o zawarciu polsko-radzieckiego porozumienia repatriacyjnego, a ponadto m.in. Polacy zdemobilizowani z Armii Czerwonej (od marca 1946 r. Radzieckiej), osoby zwolnione z łagrów i więzień oraz sieroty przebywające w radzieckich domach dziecka. Polska Delegacja ujawniała kolejne skupiska Polaków, którzy nie zostali objęci zorganizowaną akcją wyjazdową. Począwszy od lipca 1946 r. aparat Ambasady RP aktualizował liczbę i kategorie obywateli polskich znajdujących się w ZSRR i podlegających działaniu lipcowego układu. Władze ZSRR nie zamierzały jednak kontynuować zagadnienia repatriacji. W połowie lipca 1946 r. radzieckie komisje przesiedleńcze zostały zlikwidowane, a Komisja Mieszana przestała obradować. Kierowana przez dra Wolpego Polska Delegacja wraz z Ambasadą RP rozpoczęła długotrwałą akcję interwencyjną na rzecz wznowienia repatriacji. Do resortu spraw zagranicznych ZSRR nadsyłano kolejne noty zawierające wykazy osób oczekujących na powrót do ojczyzny. Delegacja Radziecka konsekwentnie odmawiała jednak podjęcia działań w ich sprawach, zarzucała stronie polskiej złą wolę, zaniedbania podczas repatriacji obywateli radzieckich i sprzeciwiała się wznowieniu pracy terenowych komisji przyjmujących podania<sup>45</sup>.

Dodatkowym ciosem dla Polskiej Delegacji było odwołanie do kraju ambasadora Henryka Raabego we wrześniu 1946 r. Warszawa na jego miejsce nie przysłała nowego szefa placówki, za to z inicjatywy MSZ przeprowadzono w niej kontrolę. Wielomiesięczne dyskredytowanie Raabego przez Matwina przyniosło skutki – niestety bardzo negatywne dla Polaków w ZSRR.

11 października 1946 r. po kilku miesiącach przerwy zebrała się Komisja Mieszana. Podczas posiedzenia Polska Delegacja przedstawiła szereg argumentów przemawiających za wznowieniem masowej akcji repatriacyjnej. Sowieci po raz pierwszy od dłuższego czasu wyrazili zgodę na umożliwienie wyjazdu z ZSRR osobom, które z różnych przyczyn nie zrobiły tego w terminie i trybie określonym w lipcowej umowie. Kolejne tygodnie pokazały jednak, że za deklaracjami Radzieckiej Delegacji nie podążały konkretne decyzje. W Amba-

<sup>44</sup> Sprawozdanie H. Raabego dla Z. Modzelewskiego z rozmowy z W. Mołotowem 21.11.1945 r., AMSZ, sygn. 6-29-447, k. 16-18; *Pamiętna zapiska* z 21.11.1945 r., ibidem, sygn. 6-30-461, k. 76.

<sup>45</sup> *Polska Delegacja...*, s. 77-82.

sadzie RP w Moskwie zaczęto zatem gromadzić materiał o Polakach w ZSRR. Na podstawie korespondencji od samych zainteresowanych oraz ich rodzin, a także innych dostępnych materiałów, utworzono kartotekę faktycznych i potencjalnych repatriantów. Zawierała ona imienny wykaz osób, w sprawie których podejmowano interwencje. Bardzo obszerną częścią kartoteki był zbiór nazwisk Polaków, którzy wyjechali w ramach masowej akcji repatriacyjnej. Objął on ok. 125 tys. kart ewidencyjnych rodzin, zgromadzonych w 75 skrzyniach. Do 1 stycznia 1947 r. radzieckiemu resortowi spraw zagranicznych Polacy przekazali 25 not z wykazami osób uprawnionych do repatriacji, które wciąż znajdowały się na terenie ZSRR. Na przełomie jesieni 1946 r. i zimy 1947 r. Henryk Wolpe nieustępliwie zabiegał u Sowieców o repatriację różnych grup ludności polskiej: więźniów, łagierników, zesłańców, deportowanych mieszkańców Górnego Śląska, Polaków na Łotwie i Kowieńszczyźnie, sierot. Przewodniczący Polskiej Delegacji był jednak osamotniony – nie miał bowiem należytego wsparcia ze strony MSZ, które na jego działania patrzyły coraz bardziej nieprzychylnie<sup>46</sup>.

Przełom w sprawie repatriacji nastąpił podczas wizyty premiera Józefa Cyrankiewicza w Moskwie na przełomie lutego i marca 1947 r., kiedy to 5 marca zostało zawarte porozumienie (w formie wymiany korespondencji) o przedłużeniu działalności Komisji Mieszanej do 1 sierpnia 1947 r. i wznowieniu przyjmowania podań opcyjnych (przez organy milicji i Oddziały Wiz i Rejestracji Cudzoziemców). Będące konsekwencją ustaleń Cyrankiewicz-Wyszynski posiedzenie Komisji Mieszanej 25 kwietnia 1947 r. otworzyło ostatni etap w działalności tego gremium. Formalnie Sowieci godzili się na rejestrację na wyjazd do Polski osób podlegających umowie z 6 lipca 1945 r. (ale z repatriacji wykluczyli np. Polaków aresztowanych po 1945 r. i wywiezionych w głąb ZSRR), lecz w praktyce wznowiona akcja tak na szczeblu centralnym, jak i terenowym napotykała szereg trudności. Obstrukcję powodowała niechęć radzieckich władz, tych w Moskwie i tych na prowincji, do „wypuszczania” Polaków do ojczyzny. Protokoły z posiedzeń Komisji Mieszanej z wiosny 1947 r. pełne są zapisów sporów i nieporozumień pomiędzy delegacjami w kwestiach formalnych i w sprawach organizacji wyjazdów repatriantów<sup>47</sup>.

W kwietniu 1947 r. nowym ambasadorem Polski „ludowej” w Moskwie został Marian Naszkowski. Z racji sprawowania urzędu kontaktował się on z pracownikami LKSZ ZSRR w sprawach repatriacji, jednak wydaje się, że raczej dążył do zamknięcia tej sprawy. Wolpe jeszcze przez kilka tygodni kontynuował swoją działalność interwencyjną przekazując Sowiecom kolejne wykazy Polaków oczekujących na wyjazd do Polski, ale na początku czerwca 1947 r. został zwolniony z funkcji przewodniczącego Polskiej Delegacji, a wkrótce także radcy Ambasady RP. Odwołano go do kraju w okresie dramatycznych zabiegów o repatriację każdego Polaka nim minie termin określony w marcowym porozumieniu. Pod wnioskiem do MSZ podpisał się Naszkowski. Miejsce Wolpego zajął Juskiewicz, a do Polskiej Delegacji wszedł w charakterze członka Leonard Pohoryles. Od spraw repatriacji odsunięto też Irenę Kuczyńską – na początku 1947 r. odwołano ją ze stanowiska pracownika Am-

<sup>46</sup> Ibidem, s. 83-98.

<sup>47</sup> Ibidem, s. 99-126.

basady, a pracę w dyplomacji zakończyła 31 maja 1947 r. Tymczasem na początku lipca 1947 r. Radziecka Delegacja zakomunikowała Juszkiewiczowi, że zaprzestano przyjmowania podań o zmianę obywatelstwa i repatriację, gdyż „przecież kiedyś to trzeba zakończyć”<sup>48</sup>.

Polsko-Radziecka Komisja Mieszana ds. Ewakuacji zakończyła swoją pracę w sierpniu 1947 r. We wrześniu Polska Delegacja zdołała jeszcze wydać 148 antydatowanych zaświadczeń ewakuacyjnych. Ogółem od zakończenia masowej akcji repatriacyjnej latem 1946 r. do końca działalności Komisji Mieszanej z ZSRR zdołało wyjechać zaledwie ok. 6-8 tys. naszych rodaków, a według danych MSZ na repatriację oczekiwało jeszcze niemal 40 tys. obywateli polskich. Były to oczywiście szacunki niepełne. Roczne zabiegi przewodniczącego Polskiej Delegacji o wznowienie repatriacji pozwoliły na przyjazd do ojczyzny tylko niewielkiej grupie Polaków<sup>49</sup>.

W latach 1944-1947 Polska przeszła głębokie zmiany polityczne, społeczne, gospodarcze, ludnościowe i terytorialne. O tej metamorfozie nie zdecydowali Polacy, ale siła oręża Armii Czerwonej i wpływów Stalina na kształtowanie rzeczywistości politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej. Narzucona naszemu krajowi władza stworzyła własny aparat dyplomatyczny, który nie był ani profesjonalny, ani samodzielny. Niemniej jednak to jego udziałem stała się próba sprowadzenia do Polski rodaków żyjących nadzieją na powrót do ojczyzny po wieloletniej tułaczce po „niełudzkiej ziemi”. Powojenna Polska miała znacznie ograniczone możliwości o decydowaniu o losie swoich obywateli represjonowanych przez jej programowego „przyjaciela”, ale wśród zagranicznych przedstawicieli podporządkowanego Moskwie kraju, znaleźli się tacy, którym nie sposób odmówić determinacji i zaangażowania w działalności na rzecz Polaków na Wschodzie. Prof. Henryk Raabe i dr Henryk Wolpe, mimo oczywistego politycznego uczestnictwa w obozie władzy dyspozycyjnej Kremlowi, zasługują przynajmniej na wyważoną ocenę ich postawy i miejsce w historii stosunków polsko-radzieckich.

---

<sup>48</sup> Ibidem, s. 16-18, 127.

<sup>49</sup> Notatka J. Zambrowicza z 10.09.1947 r., AMSZ, sygn. 6-34-535, k. 158.

---

---

**ANDRZEJ NIEDZIELA**

## **POWRÓT Z MANDŻURII W 1921 ROKU. PRZEZ MORZA I OCEANY DO OJCZYZNY**

Autor wspomnień Dziadek Andrzej Niedziela (1883-1969), od 1907 roku mieszkał z rodziną w Wanne w Westfalii. Był górnikiem w kopalni węgla. Pochodził z poznańskiego, a pojechał tam za pracą. W Wanne udzielał się społecznie w organizacjach polskich i wkrótce został wybrany sekretarzem w Towarzystwie Oświata, a później pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Wyborczego w Wanne.

Kiedy wybuchła wojna w 1914 roku, jako poddany cesarza Wilhelma II został zmobilizowany do armii pruskiej. Przydzielony do 3. Batalionu Fizyliarów w 2. Pułku Grenadierów w Szczecinie został wysłany na Front Zachodni. Gdy po ciężkich walkach we Francji pod Soissons i Witzelde batalion został rozbity i wycofany z boju, pozostałych przy życiu żołnierzy przeniesiono do dywizji rezerwowej, którą przerzucono na Front Wschodni. Ponad rok walczył na ziemiach polskich, w Prusach Wschodnich i na Litwie aż doszli do Rygi. Stamtąd walki przeniesiono pod Kurszany, potem Szawle i jeszcze dalej na wschód na Dyneburg (Dźwińsk) gdzie w listopadzie 1915 roku dostał się do niewoli rosyjskiej. W obozie jenieckim w Katazinie nad Wołgą i innych obozach pracował przy wyrębie lasów w śniegu metrowej grubości, przy silnych mrozach i na głodowych racjach żywnościowych. Po przewrocie bolszewickim Andrzej Niedziela przedostał się za Ural. W Czelabińsku spotkał pierwszego emisariusza armii polskiej, który skierował go do Omska, gdzie znajdował się Komitet Organizacyjny Legionu Omskiego. Legioniści omscy ochraniaли magazyny i transporty kolejowe z produktami spożywczymi przed grabieżą bolszewików.

W połowie czerwca 1918 roku jako ochotnik wstąpił do Wojska Polskiego. Został plutonowym 1-go Pułku Ułanów V Dywizji Strzelców Polskich, nazywaną Dywizją Syberyjską. Z początkiem lipca wyjechał z 1-szym szwadronem ułanów, jako pierwsze kadry bliżej frontu, tj. do Ufy i Bugurusłana, a potem do Nowonikołajewska, gdzie był stały garnizon Wojsk Polskich w centrum Syberii. Przez całą zimę 1918/1919 roku brał udział w ochronie kolei transsyberyjskiej przed napadami band chłopskich i bolszewickich. W grudniu 1919 roku rozpoczęła się ewakuacja całości wojska Dywizji Syberyjskiej z Nowonikołajewska na Daleki Wschód. Dywizja była tylną strażą cofających się wojsk sprzymierzonych. Eszelony czeskie, rosyjskie i polskie dotarły do Krasnojarska, a potem do stacji oddalonej o 20 km Klukwiennaja, gdzie tory były już zablokowane czeskimi transportami i zamrożonymi lokomotywami. W tym czasie w Krasnojarsku władzę zdobyli bolszewicy i otoczyli polską straż tylną ewakuowanych transportów. W takiej sytuacji 10 stycznia 1920 roku pod Klukwienną, dowództwo Dywizji Syberyjskiej podpisało kapitulację. Bolszewicy nie dotrzymali warunków kapitulacji. Oficerów i żołnierzy zamknęli w obozie jenieckim w Krasnojarsku, gdzie czekał ich tragiczny los.

Andrzej Niedziela uciekł z obozu w Krasnojarsku. Mając fałszywe dokumenty wyjechał do Aczyńska, a stamtąd przebył jeszcze 240 km. w Góry Altaju do kopalni złota. Pracował w sztolni górniczej przy zakładaniu ładunków wybuchowych do rozszarpania skał. Kiedy we wrześniu 1920 roku nadarzyła się okazja powrotu do kraju



chorych jeńców niemieckich, zorganizowana przez Amerykański Czerwony Krzyż, wydostał się z kopalni, dotarł do Aczyńska i zaryzykował stanąć przed komisją lekarską. Gdy zakwalifikowano go do powrotu do Niemiec, wyjechał najbliższym transportem koleją transsyberyjską przez Krasnojarsk, Irkuck, Wierchnieudzińsk i Czytę do Harbina w Mandżurii.

Dziadek swoje przeżycia z walk na frontach 1-szej wojny światowej, niewoli rosyjskiej i niewoli bolszewickiej, służby w Wojsku Polskim na Syberii, ucieczek z obozów i powrotu z Harbina przez egzotyczne porty do Ojczyzny, opisał później w grubym brulionie, który przez długie lata był ukrywany w rodzinie. Z obszernego tekstu wspomnieniowego dwa fragmenty związane z syberyjskimi doświadczeniami zostały wcześniej opublikowane w „Zesłańcu” nr 50 – Andrzej Niedziela, *Od Kłukwiennej do Harbina*” i w numerze 59 – Andrzej Niedziela, *Od niemieckiej lotnej dywizji do V Dywizji Strzelców Polskich na Syberii*.

Przedstawiony poniżej fragment jest trzecią częścią pozostawionych wspomnień o swym tułaczym losie oraz zapisem w dzienniku podróży z Harbina do Polski (1920/1921r.).

*Elżbieta Gruchot*

\*\*\*

### **Mandżuria. Kolonia Polska w Charbinie<sup>1</sup>**

W Mandżurii stał nasz Pociąg Sanitarny, pociąg V Dywizji Strzelców Polskich, by każdy, kto tu pojedzie widział go i przypomniał sobie, że tu jest już wolność.

Zrobiło mi się mokro na nosie, na to wspomnienie, gdy ujrzałem oficera, który tu po to pełnił służbę, by dalej kierować Polakami. Zabrałem swój tłumoczek, pożegnałem Niemców i 3-cią klasą pociągu odjechałem do Charbina, a ze mną 34-ech wojaków, natomiast reszta jechała aż do Charbina z Niemcami i zdaje się po tygodniu dojechali, a było nas razem 84-ech z V-tej Dywizji Syberyjskiej. Wracało wielu Polaków, lecz bojąc się wojny polsko-bolszewickiej, o której tutaj dokładnie nie wiadomo, woleli jechać z Niemcami. Transport ich skierowano później na Władywostok.

Mój powrót z niewoli bolszewickiej trwał od początku września, do połowy października 1920 roku. Z kopalni złota Andriejewski Rudnik w Górach Ałtaju do stacji kolejowej Aczyńsk, prawie trzy tygodnie szliśmy pieszo z nielicznymi i krótkimi podwodami. Z Aczyńska przez Krasnojarsk, Irkuck, Wierchnieudzińsk i Czytę kilku pociągami przyjechaliśmy szczęśliwie 16-go października 1920 roku do Charbina.

Ponieważ jeszcze nie wszyscy jeńcy przybyli, długo czekaliśmy spodziewając się przyjazdu następnych pociągów. Lecz stało się inaczej, gdyż następny pociąg nie dotarł już do Charbina, bo rozpoczęły się walki, a on został w środku; ludzie uciekali z pociągu i jedni zdążający na wschód zostali ranni w gradzie kul, inni zostali cofnięci, a dużo poległo. Tak zakończyła się ewakuacja [V Dywizji Syberyjskiej], w której wielu Polaków przedostało się na Daleki Wschód. Ostateczny rezultat był taki, że razem z naszą grupą 84-ech woja-

---

<sup>1</sup> W tekście autora wspomnień, pisownia „Charbin” zgodna z dawniejszą pisownią. Obecnie obowiązuje nazwa Harbin.

ków dotarło do Charbina. Tutaj w Kolonii Polskiej w Charbinie z otwartymi rękami i szczerym sercem witano wszystkich Polaków, którzy wracali do Ojczyzny. Muszę zaznaczyć, że tutejsza Kolonia Polska również zorganizowała Szwadron Ułanów Polskich, który walczył na froncie bolszewickim. Nasz przyjazd odbił się dużym echem w Charbinie. Zrobiliśmy dobre wrażenie na każdym, kto zetknął się z nami. Panie z Charbina urządziły wieczorek powitalny we własnym Domu Polskim, gdzie był też przedstawiciel Rządu Polskiego Józef Targowski, a Konsul Generalny Michał Morgulec, wygłosił do nas szczerze, patriotyczne przemówienie o miłości Ojczyzny. Przemówienie to na długo pozostanie w pamięci tam obecnych. Nie była to ambasada, gdyż ta znajdowała się w Japonii, w Tokio. Pierwszym organizatorem naszych placówek dyplomatycznych tam na wschodzie, był Wysoki Komisarz Rzeczypospolitej Polskiej pan Józef Targowski. (Ścisłego kontaktu z krajem, zdaje się jeszcze nie było, gdyż mówił mi w rozmowie potocznej jeden z pracowników placówki dyplomatycznej, iż by P. Marszałek Piłsudski za daleko nie zapuszczał się na Kijów, gdyż to może w ogóle szkodzić sprawie, a nawet może być zbytecznym przelewaniem krwi polskiej, stąd wnioskowałem, że ściśle nie wiadano o sprawach Polski, gdyż i powątpiewano o tym czy zdążymy na czas do kraju.)

Wieczorek wspólny dał dużo umilenia, jedzono i pito, wznoszono toasty na cześć Rzeczypospolitej Polskiej, na cześć Kolonii Polskiej i władz, Konsula pana Morgulca i jego poświęcenia w pracy. Te Matki Charbina ze swymi mężami robiły wszystko, aby dać naszej Polsce wszystko, co z serca dać było można; to też bawiono się i tańczono, śpiewano „Rotę” i „Jeszcze Polska”; bawiono się tak jak potrafił bawić się naród, który odzyskał utraconą wolność.

Żołd, jako dla byłych wojskowych, otrzymywaliśmy jedną jenę dziennie, za którą można było się wyżywić. Pieniądze, które mieliśmy jeszcze z Rosji, tutaj nie miały już ważności, ale życie szło jakoś wesoło. Spotykałem często tamte Panie, Polki i często u różnych Państwa byłem w gościnie, a byli bardzo gościnni. Byli to przeważnie urzędnicy i inżynierowie, ludzie raczej zamożni. Charbin w moich oczach to istne mrowisko ludzkie, ruch, handel od wczesnego ranka do późnej nocy, niepodobna to określić, wszystkiego w bród, czego tylko dusza zapagnie.

Okres czterech tygodni, to dość długi, a tyle czasu trzeba było czekać na następny transport drogą morską, gdyż miejsca na wszystkich okrętach płynących do Europy, były wykupione. Czas upływał szybko, trzeba było się gotować do dalszej podróży przez lądy i morza, a droga daleka. Przygotowano nam dokumenty i paszporty, aż do granic Polski. Nie zapomniano też o zakupieniu Mszy św. i wspólnej Komunii św. przed odjazdem. Jeżeli mnie pamięć nie myli to zdaje się, że wówczas w Charbinie był ks. Echaust z Omska, który musiał opuścić kościół omski z nakazu bolszewickiego i przeniósł się na Daleki Wschód. Pamiętam jak dziś, gdy do Mszy św. służył mały Chińczyk. Kogo tam jeszcze spotkałem, oto około 70-letniego Janusza Kowalskiego z miejscowości Jaworów koło Lwowa, biedny musiał się tułać, a nawet z rodziną się nie pożegnał, gdyż niespodziewanie zabrali go Rosjanie jako podejrzanego.

Przed wyjazdem z Charbina Kolonia Polska zorganizowała nam wieczorek pożegnalny. Gościli również przedstawiciele Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej. Były przemówienia, toasty, śpiewy, podziękowania i tańce. Konsula i

Pana Targowskiego, jako przedstawiciela Rządu Polskiego, po jego serdecznym przemówieniu, uhonorowaliśmy okrzykiem na cześć Polski oraz jej Wodza Józefa Piłsudskiego. Potem nastąpiła wymiana toastów i z naszej strony okrzyk na cześć Konsulatu R.P. na Syberii. Wspólnie zaśpiewano Rotę i hymn: „Jeszcze Polska nie zginęła” i popłynęły nasze polskie pieśni narodowe i łzy i różne piosenki. Nadszedł czas na wesołe tańce oraz podziękowania za wszystko, w imieniu żołnierzy V Dywizji Syberyjskiej, Obywatelkom i Obywatelom Kolonii Polskiej, a szczególnie Paniom, które przyczyniły się do wyprawienia wieczorku pożegnalnego.

\*\*\*

Przed wyjazdem zapisałem nazwiska osób z Kolonii Polskiej i członków Koła Polek, którzy gościli nas w swoich domostwach, przyjmowali serdecznie i udzielali wszelkiej pomocy podczas pobytu w Charbinie: 1. Nieruchcimowie S.B.; 2. Dąbrowscy G.K.; 3. Dobrowolscy B.H.; 4. Lesieccy I.S.; 5. Łazowscy T.M.; 6. Weberowie K.D.; 7. Nowkiescy T.G.; 8. Brener A.M.; 9. Hieczcko W.; 10. Heinrich K.; 11. Głębscy; 12. Jankowscy W.W.; 13. Izdebscy; 14. Szymonolewicz K.; 15. Zakrzewscy; 16. Żabo; 17. Rundo W.W.; 18. Golanowscy Z.; 19. Gordon T.K.; 20. Grochólski S.Z.; 21. Plisowscy T.C.; 22. Józefa Golanowska; 23. Zofia Plisowska.

\*\*\*

## **Dziennik podróży**

### **Z Charbina w Mandżurii do portu Dalian**

**Dnia 16-go listopada 1920 roku**, Polki z Charbina wyposażyły nas również na podróż, ofiarując masę pieczeni i różności, za co ja sam osobiście im podziękowałem, rozdzielając później między wszystkich żołnierzy równomiernie. Byliśmy żegnani przez licznych Obywateli i Obywatelki. Widziałem zdejmowanie polskiego sztandaru, godła i znaków Konsulatu Polskiego, a zawieszanie innych. Wieczorem, o godzinie 7. – odjazd z Charbina. Zawieziono nas do stacji Szan-Szun, która była w rękach Japończyków.

**17/XI.1920.** Jest z nami Konsul pan Morgulec, przedstawiciel polskiego rządu pan Targowski i przedstawiciel z Japonii. Bilet kosztuje 1840, – jenów. Japończycy są bardzo uprzejmi względem Polaków. Odprawa przez Japończyków rzetelna. Panuje karność i porządek. Przydzielono nam olbrzymi wagon trzeciej klasy, mieszczący osiemdziesięciu polskich żołnierzy.

Odjazd z Szan-Szun o 10-tej rano. Jazda pociągiem jest wyśmienita. Okolica śliczna, równiny, pagórki, drzewa, topole, na polach obsiew kukurydzą. Wioska od wioski oddalona o 4 kilometry, między nimi pojedyncze osady otoczone fortem, kamiennym murem. Jazda mułami po 8 sztuk w zaprzęgach. Domy, które położone są bliżej żelaznych dróg – z cegły, w wioskach – lepianki. Rola dobrze uprawiona.

**Stacja Fa-Tun.** Władza w ręku japońskim. Japończyk, żołnierz dumny. Niewiasty małe, czarne włosy, sandaliska ze sznurka konopi. Dzieci noszą na barkach; dziewczynki – małe nóżki i mało ich widać.

**Stacja Fan-Hje-Tun.** Miasteczko z farbiarniami. Niewiasty na wózku o dwóch kołach, zaprzęgi po sześć mułów lub dwa konie. Mur ze słomy i gliny jako płot. Kanalizacja przeprowadzona.

**Tsai-Hia.** Pociąg stanął na stacji tylko na dwie minuty.

**Kuo-Hia-Ten.** Na południowy wschód idą strumyk i kolej.

**Siu-Hia-Pu.** Warty na posterunkach w pełnym rynsztunku. Żołnierze są niewysocy.

**Su-Pink-Kai.** Ogromne magazyny zboża; natłok pasażerów, których urząd kolei nie dopuścił dołączyć do naszego wagonu. Młoda generacja już nie ma takich małych nóg.

**Szuang-Miao-Tzu.**

**Man-Hing.**

**Chin-Kou-Zu.** Południowy zachód. Dzień śliczny. Ognista luna zachodu słońca. Pomnik z chińskim napisem – wygląd zadziwiający, a na nim żywy nalot.

**Kay-Juan.** Miasto z pełnym elektrycznym oświetleniem i wielu fabrykami z sodą...

**Then-Lind.** Godzina 6-ta wieczorem. Odwiedził nas japoński redaktor.

**Mugden.** Godzina 7-ta wieczorem. Stacja ogromna. Koreańczycy, długie białe suknie, rosły szczep.

**Liado-Ang.** Miasteczko.

**Chian-Chen.** Wysłanie telegramu, że dwóch pozostało.

**18/XI.1920. Chon-Chin-Li-Pu.** Godzina 6.15. Okolice górzysta pokryta małymi świerkami. Rola u podnóża uprawna. Przed wschodem słońca pracują na roli.

**Chin-Chou.** Widno. Odnogą morską dzień piękny się ukazuje.

**Tha-Fang-Shen.** Szeroki wylew jakiejś odnogi rzecznej; górami obok idzie droga żelazna na wschód, a na wodzie widać dużo statków parowych. Wesele chińskie – 2 kołowa czerwona bryczka, wioząca młodą parę.

**Chou-Shui-Tzu.** Ostatnia stacja przed Dau-Ren.

**Dau-Ren czyli Dalian**

\*\*\*

### Japońskim statkiem „Kobe – Maru” do Szanghaju

**18 listopada 1920.** O godzinie 8-mej rano jesteśmy w mieście portowym Dalian. Potem dowożą nas do portu i wsiadamy na statek japoński „Kobe-Maruru”. Dwa okręty amerykańskie stoją w porcie. Wypływamy na Morze Żółte. O godzinie 12-tej podano obiad na statku. Z boków sterczą skały, w zatoce zaś widać mnóstwo żaglowców. Na prawym boku, daleko widać pojedynczą skałę. Po lewej, kilka po sobie oddzielnych skał, na których stoją białe domki. Byliśmy już na pełnym morzu, a przed nami płynęły 2 małe łodzie, które okazywały drogę; śliczny dzień ukazywał nam szybką orientację. Pierś statku rozbijała fale, które krzęły jak śmietana na powierzchni zaś białe ptaki, unosiły się poza okrętem, a czasami nawet go wyprzedzały i fruwały z przodu. W oddaleniu było widać dym z okrętu płynącego przed nami. Tu i ówdzie widziano jak Chińczycy wychodzili z kajut, dotknięci chorobą morską, a morze śmiało się ze wszystkich, bo niemal wszystkich pokonywało. Słońce zachodzi, morze jest spokojne. Przed nami płynie statek, za nami również. Płynie w odległości 8 kilometrów. Potem nastąpiła noc.

**19/XI.1920.** Nazajutrz rano, był piątek, o godzinie 6-tej wstałem, zjadłem śniadanie, wyszedłem na pokład, z którego było widać skały ościennych gór, lecz bardzo daleko; wypuszczono również małe ptaszę ze statku, które przeleciało statek wokoło kilka razy i wróciło z powrotem. Ptaszę należało do jednego Japończyka, który woził je ze sobą. Morze było dziś spokojne. Dużo rodaków wyszło również na pokład, jechaliśmy w kierunku południowo-wschodnim. Po prawym brzegu było widać skały sterczące z morza w bliskiej odległości, a między nimi małe żaglowce. Niebo było pochmurne. Później wypuszczono gołębia, który również wywijał nad naszymi głowami odfruwając dość daleko od statku i przylatując na statek. O godzinie 10-tej nasi wojacy zebrali się masowo i nie czując już choroby morskiej, zaczęli śpiewać „Rotę”, „Jeszcze Polska nie zginęła”, „Warszawiankę” i różne polskie piosenki, razem z uszną harmonijką. Zagrano walca i wzięło się kilku do tańca, czemu przyglądała się załoga i Chińczycy z dziećmi; kapitan statku śmiał się z dowcipnych zabaw żołnierzy polskich i był ogólny podziw. Przy spoglądaniu na morze ciągle widać sterczące skały, które oznaczane są przez żaglowce stojące w miejscu, bo umocowane u skał; z dala widać olbrzymie góry prawego brzegu, po lewej stronie sterczą skały z wieżyczkami oraz pomnikami. O godzinie 10-tej, jak podpłynęliśmy już ku prawemu brzegowi, widać zupełnie ląd i wioski okolicznych mieszkańców, a na lewym brzegu z oddalenia widać czerwone skały.

Na prawym brzegu widać miasto Czindau (Tszin-Tsau) i śliczną okolicę z willami i zagajenia lasów sosnowych, oraz ogromne miasto z kominami fabryk, przed którym uwija się cała masa łódek rybackich u wybrzeża. Okręt „Kobe-Maru” stanął i przybył doktor japoński, dla zbadania pasażerów i w ciągu pół godziny okręt wpłynął do portu Czindau. Jest godzina wpół do 12-tej, za dnia. Miasto Czindau zbudowane jest w stylu europejskim, przedstawiając śliczny widok. Rozkaz: nie wolno nikomu z żołnierzy wychodzić w port. W porcie stoją 4 statki nowszego typu do wyładowania. W porcie aż kipi praca rządowa z Organizacjami Żeglugi Japońskiej. Wyruszamy w dalszą podróż o godzinie... Niestety, z portu Czindau nie wyruszamy z powodu burzy, która się rozszalała.

**20/XI.1920.** Dopiero o godzinie 8-mej rano wypływamy z portu Czindau i płyniemy do Szanghaju. Dzień jest słoneczny, nie ma wiatru. Dalian, pobliski Port Artur i Czindau to dawne kolonie niemieckie, odebrane Niemcom przez Japończyków już w 1914-tym roku. O godzinie 12-tej był obiad dla naszych żołnierzy, talerzyk dobrej strawy każdy otrzymał. Morze zaczynało być niespokojne, lecz „Kobe-Maru” nie zważał, jakby go nie obchodziło, szedł dalej. Na statku znajdowała się Japonka z dzieckiem, które tak z nami sympatyzowało, że przez dwa dni naszego przejazdu z Dalian rozmawiała cośkolwiek po polsku: „dziękuję, proszę” – mądry chłopczyk. Od godziny 8-mej rano 20-go, do 8-mej rano 21-go listopada, przemierzyliśmy 410 mil morskich, minęliśmy 4 statki w tym okresie, oraz z oddalenia widać było wiele statków morskich płynących w różnych kierunkach. Lądu nie było już widać zupełnie.

**21/XI.1920.** O godzinie 10-tej, w niedzielę, ukazała się skała na Morzu Żółtym; spotkałem na pokładzie tego chłopczyka japońskiego, z którym nasi żołnierze bawili się i uczyli go mówić po polsku – powiedział do mnie: „dzień dobry panu”. O 12-tej w południe dopłynęliśmy do statku obserwacyjnego „Tungsh’a”. Od godziny 1-szej zaczął się wiatr na morzu, lecz burzy nie było.

Woda żółta, tak jak nazywa się morze. Była godzina 3-cia po południu, gdy dopływając do portu Szanghaj zauważamy z prawej strony śliczną wyspę, na której znajdują się domy oraz drzewa pokryte bujną zielenią. Po lewej stronie stoją żaglowce wskazujące linię jazdy. O godzinie 5-tej wieczorem, wpływamy do portu po przepłynięciu 1100 km. Stoją parowce: „Stoktorn”, „Alpiwa” i wiele łodzi oraz statków morskich. Rozszalała praca w porcie aż kipi.

Tutaj obejmuje nas Konsul pan Otton Hubicki z Konsulatu R.P. w Szanghaju. O 10-tej wieczorem przyjeżdżają trzy automobile i zabierają nas razem z pakunkami. Przed nami dwoma automobilami jedzie Konsulostwo Polskie wskazujące drogę. Jedziemy przez miasto pełne przepychu, zwane Wschodnim Paryżem; jest to część francuska z roku 1885-go, która rozwija się coraz bardziej. Przybyliśmy do francuskich koszar. To duże koszary ze stacją radiotelegraficzną. Francuski sierżant rozmieszcza nas po 25 osób. O godzinie 11-tej w nocy, otrzymujemy pyszną kolację z francuskim winem, którego Francji nie brakuje i wznosimy okrzyk na cześć Francji; potem był smaczny sen.

**22/XI.1920.** Nazajutrz rano o godzinie 8-mej, kawa biała z cukrem. Rano wyszedłem zwiedzić tzw. Wschodni Paryż, francuską część miasta. Oglądam nadzwyczaj ślicznie urządzone Radio i uroczy Ogród Botaniczny – kwiaty, drzewa, wszystko bardzo piękne. Ulice miasta są asfaltowe, domy murowane i wszędzie bardzo czysto. Francuzi mają tutaj swoje władze, sądy, szkoły, swoją policję i narzucony porządek oraz władze wojskowe. Wojska francuskiego mało, ale Azjatów dość dużo i pełnią stałą straż francuskiego kwartału, czyli francuskiej części Szanghaju. Na ulicy widziałem jak więźniowie, około 40-tu ludzi, Chińczyków, ciągnęło walec szosowy. W innym miejscu spotkałem aresztantów: dwóch związanych razem żołnierzy i pilnującego ich strażnika – Azjatę. Przestępcy schwytani we francuskiej części, odbywają swą karę pod dozorem francuskim. Szanghaj żyje w pełnym słowa tego znaczeniu, jest śliczny i widać w nim nieustanny i kolosalny ruch. O godzinie 2-giej przybył pan Konsul Hubicki i byliśmy z nim fotografowani. Tak upłynął dzień 22-gi listopada 1920r.

**23/XI.1920.** Minał dzień spokojnie. Bawimy tu trzy dni z całym utrzymaniem francuskim.

\*\*\*

### **Francuskim statkiem „Cordillere” do Marsylii**

**Dnia 24/XI.1920.** O godz. 7-mej rano przyjeżdżają trzy automobile, przysłane przez Konsula Hubickiego, zabierają nas i wiozą na przystań. Siadamy na parowiec i ten dowozi nas do okrętu francuskiego „Cordillere”. Tu umieszczają nas w przedziale dla wojsk i o godzinie 12-tej w południe, dnia 24 listopada 1920r. żegnani przez Sekretarza Konsulatu Polskiego, który przybył na statku „Aleksandra”, wypływamy z Szanghaju na Morze Chińskie. Obiad dostaliśmy już na statku „Cordillere”, obsługa francuska, wikt dobry i wino do każdej strawy. Na statku było 1800 pasażerów do różnych części świata; Francuzi również byli bardzo grzeczni do nas, jak Japończycy.

Płynęliśmy całą noc, a nad ranem, na prawym brzegu i potem przez cały dzień spotykaliśmy skały, lecz burza się nie zmieniła.

**Dnia 25/XI.1920.** Powietrze straszne, deszcz pada i grzmi. Statek się pochyla. Wieczorem, odbyło się powitanie marynarzy francuskich z naszymi żołnierzami. Oczywiście wznoszono okrzyki na cześć Francji i od marynarzy francuskich na cześć Polski. Śpiewano pieśni narodowe, „Rotę”, „Boże coś Polskę”, „Jeszcze Polska nie zginęła”. Pierwsze dni padał deszcz, czasami ulewny. Płynęliśmy dwa dni nim dotarliśmy do portu Hong-Kong.

**Dnia 26/XI.1920.** Z rana przepływalimy dość blisko wybrzeża z prawej strony. Masa skał sterczała na morzu. Od godziny 9-tej widzieliśmy pierwsze żagle, które co jakiś czas spotykaliśmy. Do godziny 11-tej morze było niespokojne. Statek „Cordillere” pochylał się z boku na bok do tego stopnia, że nie można było przejść z jednego boku na drugi, a zwykle pasażerowie przechodzili na stronę wyspy, której ze statku nie było widać. Siedzącym na pokładzie, słońce doskonale przypiekało przebijając się nieco przez chmury. O godzinie 11-tej przed południem dostrzegliśmy znowu mnóstwo żagli, które tworzyły jakby szpaler do dalszej podróży. Żaglowce widocznie należały do jakiegoś Stowarzyszenia Rybackiego, łowiącego ryby na pełnym morzu. Od 12-tej w południe płynęliśmy wielkim morzem, prosto na Zachód Słońca. Od 2-giej po południu znowu płynęliśmy przy wybrzeżu, widząc ciągle skały nadbrzeżne. Słońce przyświecało i dopiekało. Klimat jest porównywalny do tego u nas w maju.

**Dnia 27/XI.1920.** O 7-mej rano przy płynęliśmy do Hong-Kongu; z pokładu naszego okrętu miasto jest malowniczo położone od wybrzeża, aż do samych wierzchołków otaczających gór. Ponieważ cały port jest między ogromnymi skałami, więc wygląd jest nadzwyczajny i zadziwiający. Port znajduje się w rękach Anglików. Dzień jest pochmurny, ale ciepły. Dla opuszczenia kotwicy podpłynęła do statku łódź, na której pracowała Chinka z dzieckiem na plecach, w woreczku. Porządek, który trzymają Anglicy jest wzorowy. Łodzi i statków maszynowych jest dużo, lecz wszystkie mniejszego typu. O godzinie 8-mej, jak tylko statek był umocowany na kotwicy, wokół naszego „Cordillere” stanęło małych chińskich łódek jak mrówek, z różnymi towarami jak pomarańcze, banany, ptaki, ryby oraz ryż, którego Chińczycy używają najczęściej, na każdą porę dnia jako swój ulubiony pokarm. Ładowanie statku trwało osiem godzin. O 5-tej po południu wyruszyliśmy w dalszą podróż przebywszy dotąd 1300 kilometrów. Widziałem dwie fabryki, które sporządzają statki morskie (stocznie). Płynęliśmy na zachód. Do 8-mej wieczorem z obu stron towarzyszyły nam skały, a statek pędził z ogromną prędkością.

**Dnia 28/XI.1920.** Płyniemy na pełnym morzu; dzień słoneczny, upał doskonały. Zadziwiły nas rybki wyskakujące z wody i unoszące się w powietrzu jak ptaki, miejscami było ich mnóstwo, wyglądały jak stado ptactwa. Kierunek na południowy wschód. Wiatr dość silny, morze spokojne. Płynąc z Hong-Kongu przez Morze Chińskie w dniach 28 i 29-go listopada, na pełnym morzu poruszaliśmy się z prędkością 26 km/godz.

**Dnia 29/XI.1920.** Płynęliśmy nie widząc lądu, minęliśmy jeden statek, lecz skał ani lądu zupełnie nie widać. Wiatr z zachodu. Okręt sunie z szybkością 26km/godz., deszcz nieco pada. Kierunek rejsu południowy. O godzinie 10-tej z rana ogromny deszcz przez półtorej godziny. Od godziny 11-tej do ciemnej nocy, płynęliśmy przy wybrzeżu Francuskich Kolonii. Przybliżając się do portu

Sajgon, o godzinie 2-giej w nocy, zarzucono kotwicę, ponieważ wpłynięcie statku do portu było niemożliwe z powodu odpływu morza. Postój trwał do godziny 5-tej rano. Aby zawinąć do portu, płynęliśmy chyba kanałem jak przez Rajski Ogród.

**Dnia 30/XI.1920.** O godz.9-tej rano wpływamy do portu Sajgon, przez cieśninę o długości 26 km, płyniemy jak przez rajski ogród pełen zakrętów. Port nie jest taki śliczny jak okolice, należy do Francuzów. Po przycumowaniu statku, żołnierze wypuścili się do zwiedzania miasta, lecz szybko wrócili, ponieważ upał nie pozwolił na spacer po Sajgonie. Zobaczyli tylko obfitość palm, pomarańczowych i różnego rodzaju drzew. Palmy były tak ogromne, że sięgały ponad domy. Miasto jest piękne, a zieleń kwitnąca jak u nas w maju. Rozpoczęła się praca załadunkowa trwająca przez cały czas do odjazdu. Pracują tu Indochindusi.

**Dnia 1/XII.1920.** Spaliśmy nieomal wszyscy na pokładzie. O godzinie 5-tej rano wstałem, umyłem się, wypilem kawę i wybieram się na zwiedzanie miasta. O 6-tej schodzę ze statku, lecz na mieście praca już w pełni. Ludność żółto-skórna, dorożki i automobile uwijają się jak mrowie. Szczęście, że dzień był pochmurny, lecz upał i tak trudny do wytrzymania w ulicach miasta; szedłem z kolegami przez kilka ulic, w których ogrodzenia wysadzone są drzewami podobnymi do akacji lub włoskich orzechów, lecz wysokie jak u nas topole i gładka u nich kora, a u góry koronami złączone, że słońce nie prześwieca. Na ulicach rośnie rodzaj klonu, w sadach kokosy, pomarańcze i cytryny. Ulice piękne, czyste, asfaltowe; idziemy jak altanami. Kilka razy minęliśmy również kolej miejską, która jeździ po różnych częściach miasta tzn. w różnych kierunkach. Maszynka jest francuska, mała, ciągnie cztery wagony pasażerskie.

Idąc przez różne ulice, widzimy wiele składów, handel kwitnie, a wracając, była to widocznie dla Azjatów pora obiadowa, bo spostrzegamy, że prawie wszyscy jedzą ryż smażony. Ich kuchnia to raki, małe robaczki, żywność podobna do raków, różne potrawy przyrządzane z różnych cebul i pomidorów, a ulice tak przepełnione, że trudno przejść. Europejczyków spotyka się bardzo mało. Jeździ się dorożkami, lecz konie małe, jak u nas źrebięta. Również ciągną się woły; jest za to obfitość licznych ryksz, które ciągną Wietnamczycy lub do nich podobni.

Weszliśmy na perony uliczne, gdzie po obu stronach stały koszary francuskich wojsk kolonialnych. Kilka ulic dalej minęliśmy maszerujące wojsko kolonialne. Francuscy oficerowie przewodzą. Żołnierze dziarscy, lecz bosi. U każdego duża manierka. Oficerowie na małych mułach, wszyscy w pełnym porządku i dyscyplinie.

Natrafiamy na kościół katolicki, przed którym jest kamienny posąg św. Józefa ze stojącym obok dwunastoletnim Chrystusem. Weszliśmy do Katedry. Na zwiedzanie nie było nikogo chętnego. Pomodliłem się, lecz nikt z mych kolegów nawet kolana nie ugiął. Wychodząc, zauważyłem ołtarz św. Antoniego z Dzieciątkiem, a z boków dwie ogromne tablice, na których widniały cztery rzędy nazwisk ofiarodawców i wota; wśród nazwisk najwięcej było francuskich.

Szliśmy dalej przez kilka ulic by dojść do Ogrodu Botanicznego. W drodze trafiliśmy na Muzeum, lecz było jeszcze zamknięte, więc zwiedziliśmy



Ogród. Ogród Botaniczny ślicznie wygląda, znajduje się tam pierwsza łódź przyjeżdżająca do Sajgonu, są różne gatunki drzew cytrynowych, pomarańczowych, chleba świętojańskiego, palm kokosowych, fig itp. – drzewa wielkie, jak w lesie. Jest tutaj przyjemnie chłodno i są różne zwierzęta, ptaki i krokodyle. Idąc z powrotem zwiedziłem Muzeum. Były tam starożytne płyty z napisami, szczątki różnych ryb, ślimaków, muszli, armat ręcznych, okrętu oraz posągi, żmije w spirytusie, hafty ręczne, wyroby ręczne porcelanowe, kotły miedziane, sztylety piki, fuzje, łuki, pieniądze różnych wieków i wypchane różne zwierzęta, sieci do ryb, głowa słonia, zęby mamuta jak i różne naczynia starożytnej kuchni.

Po zwiedzaniu Sajgonu, wracam bardzo zmęczony. Od upału, a szedłem w butach, chodniki strasznie parzyły w stopy, lecz o odpoczynku nie mogło być mowy, ponieważ wszędzie taki sam upał nie do wytrzymania.

Załadunek okrętu trwa dalej; drobny, wynędzniały i wychudły to szczep indochiński. Dźwigają węgiel we dwoje w koszach, bez przerwy, aż do załadowania statku; nawet widać nędzne niewiasty dźwigające, widocznie ze swymi mężami lub braćmi. Aż wzdryga się człowiek na widok tak ciężkiej pracy, którą niewiasty wypełniają.

**Dnia 2/XII.1920.** O godzinie 5-tej rano, w czwartek, płyniemy w dalszą podróż, opuszczamy Sajgon. Przebyliśmy już 1681 km. Kanał, który prowadzi do Portu Sajgon, jest 26 km długi z szalonymi zakrętami (to odnoga delty Mekongu); pada ulewny deszcz, później roz pogodziło się. Wieczorem śpiewaliśmy piosenki narodowe, którym przysłuchiwali się Francuzi (jak co dnia). Patrzyliśmy na rzucanie przez pasażerów monety do wody i wydobywanie jej przez nurków. Natrafiliśmy na skały w morzu w dużym oddaleniu od lądu. Płyniemy dalej, dzień staje się upalny, ponieważ jest cisza na morzu, a słońce wschodzi jak kula ognista. Tego dnia widzieliśmy ogromne mnóstwo ryb uchodzących przed statkiem, jak stado wieprzy, wyrzucających się z morza. Również rybki stadami jak jaskółki, ulatują powietrzem w dal przed okrętem. Odtąd ciągle je widziano, ponieważ morze było takie spokojne, że wytwarzało jedno przezroczyście lustro.

**Dnia 3/XII.1920.** Słońce wschodzi krwisto, okazuje się upalny dzień, lecz jest dość silny wiatr, ale gorący. W południe widziane były ogromne ryby, nazywane rekinami. Morze takie spokojne, jakiego jeszcze dotąd nigdy nie było. Widziano również stado uciekających ryb; wyglądały jak stado dzików na wodzie.

**Dnia 4/XII.1920.** W sobotę o 4-tej rano, zmierzamy w Przelew Malajski, a o godzinie 7-mej wpłynęliśmy w port Singapur, dzień był pogodny, po lewej stronie była wyspa Sumatra, po prawej stronie półwysep Malaka. Zaczęło się ładowanie naszego parowca; wychodzić ze statku nie wolno, ponieważ port jest w rękach Anglików. Gorączka ogromna, miasto widziane z pokładu statku jest wspaniałe, wille na wzgórzach i przepych widać wszędzie, a Anglicy chodzą jak królowie, nawet nie spoglądają na olbrzyma francuskiego „Cordillere”.

Spotkaliśmy tutaj statek „Steigerwald”, a na nim powracających jeńców niemieckich i austriackich. Wyjechali z Władywostoku 12-go listopada 1920 roku; wracało 1200 ludzi i wszyscy z wojny z 1914-go roku.

Również w porcie Singapur widzieliśmy nurków wydobywających monetę rzuconą do wody, tak jak w Sajgonie. Po południu o 4-tej, opuściliśmy Singapur, pokonując 1166 kilometrów. Płyniemy obok wyspy Sumatra. Cała wyspa ma długość około 1800 kilometrów. Jest wielkości Niemiec, a zamieszkała przez Malajów. Wyspy Borneo i Jawa są najpiękniejsze, lecz zaludnione są wszystkie. O godzinie 1-szej w nocy podniosła się burza, połączona z grzmotami.

**Dnia 5/XII.1920.** W niedzielę, na statku była odprawiona msza św., przez Misjonarza Franciszkanina, w której bardzo mały udział wzięli żołnierze polscy; nawet niektórzy zwyrodniali - bluźniąc, naśmiewali się. Rozmowa przez radio ze statkiem idącym z przeciwnej strony – niezwykle wydarzenie. Morze spokojne, nadal płyniemy wzdłuż wyspy Sumatra.

**Dnia 6/XII.1920.** Przepłynęliśmy 1000 kilometrów wzdłuż wyspy Sumatra i o 12-tej w południe wypływamy na wody Zatoki Bengalskiej. Dzień śliczny, ocean spokojny, wiatr z zachodu, kurs statków zupełnie mały.

**Dnia 7/XII.1920.** Płyniemy na pełnym Oceanie Indyjskim.

**Dnia 8/XII.1920.** Nadal na pełnym oceanie, dzień słoneczny, słaby wiatr od zachodu. Rano, o godzinie 10-tej statek trafił na taką masę ryb, jakich dotąd nie widzieliśmy. Te ogromne rybnie ławice uciekały od statku na lewo i prawo.

**Dnia 9/XII.1920.** O 3-ciej rano, dopłynęliśmy do Skał Bengalskich; widać z oddalenia przed portem Colombo poczwórne schody Skał Bengalskich, oraz masę świateł morskich. Oświetlają szlaki Oceanu Indyjskiego.

Jest czwartek, o 10-tej rano, przyływamy do portu Colombo na wyspie Cejlon. Statkiem płynie się poza mur (falochron) zbudowany z ciosanego kamienia. Ponieważ morze bije w port, więc dla obrony przed falami, zbudowano tamę z muru. Port nie jest taki śliczny, lecz dodaje mu wielkości i uroku mnóstwo okrętów zagranicznych. Widać okręty japońskie, angielskie, holenderski, amerykański i francuski. Stoi również wojenny okręt angielski. Port jakiego dotąd nie widzieliśmy podczas podróży. Ruch w porcie doskonały. Port jest w rękach Anglików. Statek nie dopłynął do brzegu, nie zacamował, więc dowozono do niego wszystkie ładunki. Z oddalenia widać miasto piękne. Palmy sterczą wysoko ponad domy. Marynarze Francuscy zachowują się bezwzględnie wobec Hindusów.

Tu można spostrzec różne rzeczy, tak czarnych ludzi jak i czarne kawki, pierwsi jedzą ryż rękami, a drugie dziobami, śmiało targają za napełnione miechy, pomagają jeść czarnym na jednej szkucie, lecz nic nie dźwigają, zdaje się mądrzejsze jeszcze od Anglików, bo śmiałki same biorą, co Anglicy muszą dopiero mozolną pracą zdobywać. Przepłynęliśmy 4101 km. O godzinie 10-tej wieczorem, opuszczamy Port Colombo na wyspie Cejlon.

**Dnia 10/XII.1920.** Spędziliśmy dzień na oceanie, minęliśmy cztery statki morskie, Kapitanowie statków wzajemnie sygnalizowali do siebie światłami; dzień śliczny.

**Dnia 11/XII.1920.** Dzień piękny, wiatr z północnego zachodu.

**Dnia 12/XII.1920.** Niedziela na pełnym morzu, dzień spokojny. O godzinie 9-tej odprawione było nabożeństwo, udział pasażerów mały. O 2-giej po południu,

widzieliśmy wynurzoną łódź podwodną. O 4-tej morze zaczęło być niespokojne i trwało tak do rana dnia następnego (ludzie chorowali).

**Dnia 13 i 14/XII.1920.** Po lewej stronie Wyżyna Somalijska.

**Dnia 14/XII.1920.** O godzinie 12-tej w południe, minęliśmy wyspę **Abelkury** leżącą po prawej stronie przed portem Dżibuti; od 6-tej wieczorem płyniemy przez Przelew Adeński do Morza Czerwonego; tutaj statek nas wykłosał jak nigdy matka dzieci. Odtąd można spostrzec dziwne rzeczy, dziwny objaw księżycowy – u nas przyrost Księżyca widać prostopadły do Ziemi, a Wenus znajduje się po lewej stronie i nieco wyżej, natomiast tutaj oglądamy przyrost Księżyca równoległy do Ziemi, a Wenus położoną dużo wyżej, po lewej stronie i nie wznosi się na niebie lecz zachodzi! Księżyc, który świeci na niebie wygląda tak jak mahometanie przedstawiają na swych meczetach, to jest leżący i wyżej nieco gwiazdę Wenus.

**Dzień 15/XII.1920.** Minał spokojnie.

**Dnia 16/XII.1920.** W czwartek, o 6-tej rano, wchodzimy do portu Dżibuti. Przez 7 dni przepłynęliśmy 2100 kilometrów. Port Dżibuti jest w rękach francuskich. O godzinie 8-mej wyjechaliśmy na zwiedzanie miasta Dżibuti; część miasta od strony portu, ma piękny widok. Są tam liczne instytucje handlowe i urzędowe w stylu europejskim, oraz ogromne magazyny z wyrobami francuskimi. Stąd Francuzi czerpią szalone zyski. W części zamieszkałej przez tubylców miasto jest marne i brudne, za to handel ogromny. Tam można kupić wszystko, nawet dzikie zwierzęta, skóry różnego rodzaju, strusie pióra, białe orły i sokoły; są tego straszne ilości. Arabowie to szczep rosły i również dziarski mają wygląd. Arabki są ślicznymi niewiastami, ale na widok obcych zasłaniają twarze i z zakrytymi twarzami idą przez ulice. W składzie gdzie kupowałem widokówki, Arabka się zakryła, aby jej twarzy nie widzieć. Reszta to Afrykanie, żółtoskóry szczep wychudły, lecz bardzo pracowity, ale ogromnie chciwy. Skały okoliczne są zupełnie gołe; gorączka tu wszystko wypala. O 6-tej wieczorem opuszczamy port Dżibuti.

**Dnia 17/XII.1920.** W piątek, o 12-tej w nocy, przepłynęliśmy przez cieśninę łączącą Zatokę Adeńską z Morzem Czerwonym, a morze było w tym wąskim przesmyku bardzo wzburzone. Poza tym o 7-mej rano, mijaliśmy skały nadbrzeżne leżące po lewej stronie; morze niespokojne lecz dzień śliczny, wiatr ze wschodu. Ruch statków jest tutaj ogromny. Następnego dnia minęliśmy aż 10 statków handlowych.

**Dnia 18/XII.1920.** Sobota na Morzu Czerwonym.

**Dnia 19/XII.1920.** Również na Morzu Czerwonym. Dzień piękny, woda jak lustro. Wybadanie przez kontrolę francuską Żyda z Łodzi jadącego z Dżibuti, udającego Polaka; posiadał paszport z wizą konsulatu włoskiego, na co zwrócili uwagę marynarze francuscy. Płyniemy tak całą dobę, a teraz silny wiatr i chłód nie pozwoliły już wystawać na pokładzie statku. Od 7-mej wieczorem poruszamy się przez zwężenie ku Kanałowi Sueskiemu, widząc ciągle po obu stronach, spiczaste skały wybrzeży.

**Dnia 20/XII.1920.** Poniedziałek. Byliśmy na cieśninie łączącej Morze Czerwone i Kanał Sueski. Nadal widać spiczaste skały na wybrzeżach, wiatr silny i zimny. Płynąc całą noc z 19/20-go, aż do 5-tej wieczorem dzisiaj dopłynęliśmy do Portu Suez. Statek zatrzymał się do dnia następnego.

**Dnia 21/XII.1920.** Port Suez opuszczamy o godzinie 6-tej rano. Płyniemy już przez Kanał Sueski, który ma 160 km długości. Kanał Sueski został zbudowany przez inżyniera francuskiego Ferdynanda de Lessepsa i używany jest od roku 1869-go, skracając drogę dookoła Afryki o czterdzieści dwa dni.

Na całej przestrzeni Kanału Sueskiego, po prawej stronie kanału są okopy z przeszkodami, a dalej widać tylko piaski. Obrona kanału jest w rękach angielskich. Niedaleko od Port Said, w odległość około 20 kilometrów, są ogromne koszary z wojskiem angielskim i arabskim, kawaleria. Kanał jest wąski, przy mijaniu trzeba tak zbaczać, że jeden statek musi zupełnie przystanąć, są to tzw. mijanki. Płynąc kanałem minęliśmy kilka statków francuski, angielski i niemiecki – wszystkie pasażerskie. Widać szczerze witania się narodów Europy.

Po lewej stronie kanału biegnie kolej żelazna od Port Suez do Port Said. Przebiega ona przez kilka mniejszych miast. Kanał jest szeroki do 40 metrów, lecz piaski go zanoszą, że ciągle wymaga ogromnej pracy poprawczej, co też widać było w przejeździe. To Arabowie mułami odwożą piasek lub wielbłąd kładzie się, a Arabowie sypią mu piasek w kosze umocowane na grzbiecie, z którymi wstaje to silne zwierzę i odnosi w dal od kanału. O 6-tej wieczorem, dopłynęliśmy do Port Said po przebyciu 2370-ciu kilometrów.

**Dnia 22/XII.1920.** O 1-szej w nocy opuszczaliśmy Port Said. Wyptywając z portu widzimy od strony Morza Śródziemnego, pomnik projektanta kanału wskazującego na Kanał Sueski. Cały dzień spędziliśmy na Morzu Śródziemnym. Po drodze, minęliśmy cztery statki.

**Dnia 23/XII.1920.** W czwartek, dopiero o godzinie 11-tej przed południem dopłynęliśmy linii wyspy Kreta, którą mamy po prawej stronie, a po lewej do linii wyspy Gafdo (Gavdos). Morze było bardzo niespokojne i bardzo wielu pasażerów brało w swą „opiekę”. Nie było widać ich na pokładzie – wyglądało jakby wymarli.

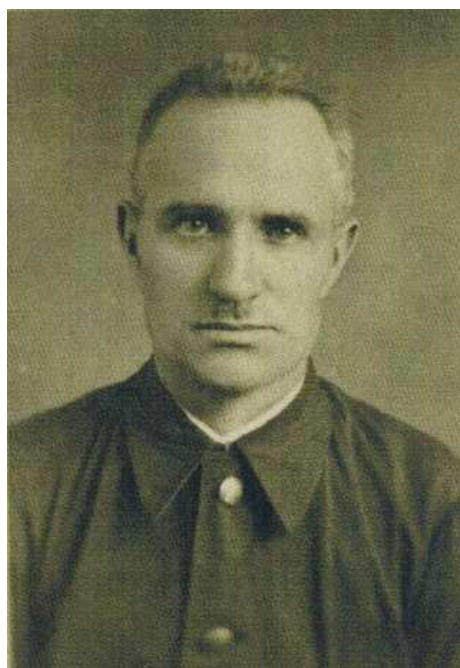
**Dnia 24/XII.1920.** Jesteśmy na pełnym morzu i dosięga nas ogromna burza – pamiętny dzień Wigilii Bożego Narodzenia. To siódma wigilia z dala od rodziny – bez żony i dzieci.

**Dnia 25/XII.1920.** W Boże Narodzenie, o 6-tej rano dopłynęliśmy do wyspy **Sycylia**; po lewej stronie miasto Messyna. Miasto ogromne, rozłożyste u podnóża skał. Z prawej strony Koranto (Reggio di Calabria) również położone na skałach. O 9-tej rano płynęliśmy obok wulkanu Strombola; widać dokładnie uchodzącą parę i gazy z wulkanu, ale podnóża są jednak zamieszkałe przez wyspiarzy. Płyniemy dalej w kierunku zachodnio-północnym; dzień śliczny, lecz wiatr się podnosi i morze zaczyna być niespokojne.

**Dnia 26/XII.1920.** O 10-tej rano dopłynęliśmy do kolebki Napoleona, wyspy Korsyka, a po prawej stronie widzimy włoską skałę Montecristo. Dzień jest śliczny, morze spokojne, płyniemy ostatnią dobę na statku „Cordillere” do portu w Marsylii.



Andrzej Niedziela  
z synem Stefanem  
(1929).



Andrzej Niedziela (1938).

**Dnia 27 grudnia 1920.** O 9-tej rano dopłynęliśmy do Portu Marsylii.

Obiad zjedliśmy u Pani Kierelewskiej, został on zorganizowany przez Konsulat Polski w Marsylii. Odjazd z Marsylii pociągiem o godzinie 7-mej wieczorem.

\*\*\*

### **Z Marsylii pociągiem do Polski**

**27 grudnia 1920.** O godz. 7-mej wieczorem odjazd pociągiem z Marsylii.

**Dnia 28** grudnia stacja Lyon.

**29-go** mijamy Dijon i Metz. **30-go** jesteśmy na stacji Mainz o godzinie 1-szej, potem Erfurt.

**31-go** Lipsk o godz. 6-tej rano, potem Kotbus i Żagań.

**1 stycznia 1921.** O godzinie 2-giej mijamy Kościan. Do Poznania przyjeżdżamy o godzinie 4-tej po południu.

W Poznaniu od godziny 4-tej do 7-mej stoimy na dworcu; o 7-mej rozpoczynamy pieszy marsz na punkt zborny do Fortu Rocha. Na kolację otrzymaliśmy tylko chleb. Rano na śniadanie – nic. Obiad jedliśmy w zardzewiałych miskach. W kantynie brano za pół funta kiełbasy 48 Marek Polskich, a na miesiąc funt kosztował 48 Marek Polskich. Jeńcy bolszewicy, Rosjanie, są umieszczeni w Forcie Rocha, lecz brak dozoru nad nimi i porządku, aby śledzono za zgnilizną bolszewicką, która się wkradła. Żołnierze stojący tam na posterunkach, stoją po 4 godziny bez zmiany, w nocy po zmianie warty kłótnie i sprzeczki z tego powodu w koszarach. W Poznaniu na dworcu robotnicy, Polacy, rozsiewają złe wieści o Ojczyźnie. Kradzieże i szachrajstwa przy sprzedaży gazet i handlu markami, wyzysk i lichwiarstwo panuje wszędzie dookoła.

Brak u Polaków poczucia obywatelskiego; na Wodza Najwyższego Rzeczypospolitej Polskiej, rzucają określenia: Germanofil. Na stacji w Lesznie usłyszeliśmy wyrażenie się urzędnika kolejowego, Polaka: „Jakie to dziady wróciły”; ale byliśmy przecież dobrze odziani.

Od 1-go do 4-go stycznia przebywaliśmy w Poznaniu.

**4/I.1921.** o godzinie 2-giej po południu wymarsz na dworzec, a o 8-mej odjazd do Grudziądza.

**5/I.21r.** o godzinie 10-tej rano jesteśmy w Grudziądzu. Mieliśmy być odesłani do Warszawy o godzinie 3-ciej po południu. Zmiana decyzji – z Grudziądza pojedziemy do koszar w Starogardzie.

**6/I.1921r.** Starogard. O godzinie 2-giej po południu, przybyła Orkiestra 2-go Pułku i z muzyką zśliśmy z dworca do koszar pod wodzą Pułkownika Józefa Werobeja, pierwszy odwdzięk [odwdzięczenie się?] Ojczyzny.

**Dnia 7-go i 8/I.1921r.** pozostajemy w koszarach w Starogardzie.

**Dnia 9-go stycznia** w Grudziądzu, w 64 zap. Pułku, zostajemy zwolnieni.  
**Zwolnienie z wojska 10/I.1921r.**

---

---

JOANNA ARVANITI

## POLSKIE DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Wiem ja, bo mi o tym mama powiadała,  
Żem dziecię tej ziemi, żem jest Polka mała<sup>1</sup>.

Wanda Arkadia Bagińska „Tamara” (1897-1987), późniejsza pani na Jaszczowie, urodziła się w Warszawie, przy ul. Żelaznej 37. Matka jej była córką bogatego przemysłowca (dziadek jej miał biuro sprzedaży obuwia dla wojska rosyjskiego z oddziałem w Kursku, gdzie był zatrudniony jego syn Waclaw), ojciec był synem ziemianina, posiadacza majątku Bagienko czy Bagno w Siedleckiem. Wśród jej najbliższych było wiele osób, które poświęciły swoje zdrowie lub nawet oddały życie dla odzyskania niepodległości Polski<sup>2</sup>. Pradziadek jej walczył w armii Napoleona, potem w powstaniu listopadowym pod dowództwem Józefa Bema i otrzymał za waleczność Krzyż Virtuti Militari. Pisze ojciec Wandy:

Pamiętam, jak mi ojciec pokazywał cenną relikwię, krzyżyk ten mały, a tak wielki, Krzyżyk Virtuti Militari, co zdobył pierś dziadka, a który ojciec przechowywał jako skarb największy, najdroższy...<sup>3</sup>.

Dwaj dziadkowie Wandy byli uczestnikami powstania styczniowego. Józef Bagiński, herbu Ślepowron, ojciec jej ojca, został ranny w potyczce w Sandomierskiem i trafił do niewoli. Na katordze w głębi Rosji był do 1868 roku, a majątek jego skonfiskowano. Po powrocie do kraju, ciężko chory na gruźlicę, został zatrudniony na stacji kolejowej przy wyładowywaniu węgla. Nigdzie nie mógł znaleźć innego, lepszego zajęcia jako „niebłagonadiożnyj”. Potem jednak otrzymał pracę w biurze kolejowym. Wkrótce zmarł, zostawiając żonie i małemu synkowi emeryturę w wysokości 22 rubli. Drugi dziadek Wandy Tadeusz Bagiński vel Bagieński (tę formę nazwiska traktowano w rodzinie jako właściwą, starszą, ale nieużywaną) był stryjecznym bratem jej „prawdziwego” dziadka Józefa. Pisze o nim Wanda:

---

<sup>1</sup> W. Bełza, *Modlitwa polskiego dziewczęcia*, [w:] *Katechizm polskiego dziecka*, Lwów 1912.

<sup>2</sup> Jest to rozszerzona i poprawiona wersja artykułu *Drogi do niepodległości Wandy Arkadii z Bagińskich Pisarkowej-Chaciewiczowej „Tamary” i jej rodziny*, opublikowanego w „Biuletynie Polskiej Akademii Nauk” nr 56, s. 248-278.

<sup>3</sup> W. J. S. Bagiński, *Pamiętnik mego życia*, Kraków 1912, s. 4.

Dziad „Ponury”, czyli Tadeusz Bagiński herbu Ślepowron, powstaniec [zesłaniec postyczniowy], emeryt. Zawsze nachmurzony, mało udzielał się ludziom, odludek. [...]. Miał on duże, krzaczaste brwi, wąsy szerokie, duże, łączone z brodą, przez co wydawał się ponurym. [...] Może [też] dlatego był taki, że dzieci mało dbały o niego. Żona umarła mu wcześniej (nie znałam jej), dzieci było troje: syn Jan, córki Wanda i Władysława. Wanda wyszła za hr. Świdę i wyjechała na Litwę. Władysława wyszła za hr. Hałomińskiego, żyli ze sobą krótko. Spadając z konia, złamał kręgosłup i w kilka godzin zmarł. Ona wyjechała do majątku na Podolu, dokąd zabrała brata Jana [późniejszego dyrektora Ogrodu Saskiego w Warszawie]. Jan ożenił się tam, miał dwoje dzieci, Zolę i Tadeusza, czyli „Ptasika”. Tak go nazywali Kozacy, którzy uczyli go jeździć konno<sup>4</sup>.

Jeśli chodzi o herb, to według wszystkich herbarzy Bagińscy pieczętowali się Ślepowronem, natomiast wśród rodów pieczętujących się Prawdzicem byli Sienkowscy (vel Sieńkowsy), a Sienkowską z domu była „Bunia”, czyli matka Walerego Jana Saturnina Cezaria, córka sierżanta z wojen napoleońskich. Waleremu Saturninowi mógł się bardziej podobać herb mamy (Prawdzic) niż taty (Ślepowron), którym się pieczętowali, nawiasem mówiąc, m.in. Jaruzelscy, ale nie przypuszczam, że była to przyczyna awersji Walerego Jana Saturnina Bagińskiego do herbu Ślepowron. I tak, w dokumentach pisanych pojawia się czasem, na przekór faktom, forma nazwiska Prawdzic-Bagiński zamiast Ślepowron-Bagiński. Pisze Wanda w *Pamiętniku*:

Drugiego dziadka nazywaliśmy Borutą, bo był bogaty. Miał długie bielusiękie wąsy i przepiękne, białe jak perły zęby do śmierci. Umarł, mając 82 lata. Do dziadka Boruty chodziliśmy często, choć było daleko, bo z Żelaznej, a potem Siennej ulicy na Wilczą 63. Z niewielką ochotą tam się chodziło. Trzeba było siedzieć sztywno na brzegu krzeselka, ani słowa, a broń Boże założyć nogę na nogę. Toteż wymykaliśmy się do kuchni, gdzie królowała Józia, służąca (ale dziadek nazywał ją guwernantką). Tam można było dokazywać. Ja gramoliłam się na kolana, mówiąc „Calna na lękę” (nazywała mnie Czarnulą), gdyż lubiłam siedzieć na kolanach. A ona bujała nogą i śpiewała: „Jedzie pani po obiedzie, sługa za nią ze śniadaniem, patataj, patataj”. Od dziadka zawsze wracaliśmy dorożką, na którą dawał dziadek 20 kop., tj. 40 groszy<sup>5</sup>.

Ojciec Wandy Walery Jan Saturnin Bagiński, nazywany w rodzinie „Walerusa”<sup>6</sup> (1870-1929), ukończył warszawską szkołę Jana Pankiewicza (od 14 sierpnia 1918 roku Królewsko-Polskie Gimnazjum im. Tadeusza Czackiego). Pisze o nim Wanda w *Pamiętniku*:

Tatus – szatyn niebieskooki o bardzo bujnej czuprynie. Zarost na twarzy: nosił bokobrody, później tylko małe angielskie wąsiki. Na kilkanaście lat przed śmiercią zapuścił duże wąsy. Miał krótki wzrok i nosił binokle na czarnym, wąziutkim sznurczku, założonym za ucho. Jak pamięć moja sięgnie, nigdy nie chorował<sup>7</sup>.

W 1888 roku wstąpił do Instytutu Technologicznego w Petersburgu, ale w tym samym roku, po śmierci swojego ojca, na prośbę matki i babki, które

<sup>4</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, *Pamiętnik*, Kraków 2017, s. 28.

<sup>5</sup> Ibidem, s. 18.

<sup>6</sup> Żartobliwe żeńskie formy męskich przydomków było często stosowane w rodzinie Bagińskich i Pisarków („Walerusa”, „Fluta”, „Dzidula”, „Maniana”); nawiązywały do rosyjskich zdrobniałych form imion męskich.

<sup>7</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, op. cit., s. 30.



zostały bez środków do życia, wrócił do Warszawy. Przez wiele lat był pracownikiem Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, od 1922 roku pracował w Dyrekcji Kolei Państwowych w Radomiu. Z zamiłowania był zbieraczem pamiątek starożytności, historykiem, literatem. Napisał m.in. cztery niewielkie prace, trzy z nich przechowywane są w zbiorach Biblioteki Narodowej: *Dawne guziki polskie* (1899)<sup>8</sup>, *Typy wiarusów napoleońskich* (1912)<sup>9</sup>, *Idzie żołnierz borem, lasem* (1914)<sup>10</sup> oraz *Pamiętnik mego życia*, znajdujący się w archiwum rodzinnym. We wstępie do *Pamiętnika* napisał:

Mogę jednak śmiało powiedzieć, że choć mnie losy bezlitosne strasznie smażyły, mężnie wytrzymałem, przechowawszy w duszy największy skarb po ojcach – wierną służbę ojczyźnie<sup>11</sup>.

W innym miejscu swojej książeczki autor pisze o popowstaniowej Warszawie, kilka słów poświęca nawet Pałacowi Staszica:

Przed oczyma staje mi, ile razy przechodzę koło pomnika Kopernika, stary pałac Karasia, gdzie na rogu mieścił się ów słynny szynk „Pod Karasiem”. Z drugiej strony pomnika stał Pałac Staszica, dawniej Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wtedy jeszcze nieoszepony przeróbką moskiewską, jaką uskutecznilo dopiero w połowie lat dziewięćdziesiątych<sup>12</sup>.

Książkę *Typy wiarusów napoleońskich* poświęcił Bagiński cichym bohaterom poległym w walce o niepodległość ojczyzny:

Sto lat dobiegło, gdy blask imienia Napoleona, przyćmiony chmurami północy, zaczął przygasać stopniowo, aż zgasł na polach Waterloo... Sto lat temu imię wielkiego Wodza było na ustach wszystkich... Liczne zastępy rodaków naszych, żądne lepszego jutra dla narodu, garnęły się tłumnie pod sztandary Napoleońskie, na polach chwały oddając swe życie. Nieubłagany czas zaciera powoli ślady ich czynów bohaterskich, tylko gdzieniegdzie na polach licznych pobojuwisk Europy wiatr rozwieje lub pracowity rolnik wyorze zbutwiałe kości lub rdzawy kawał oręża – jedyne ślady, jedyne pamiątki, jakie pozostały po owych rycerzach bez skazy. Nie wszyscy bowiem z nich pozostali w pamięci narodu, wielu z ich liczby, okrywszy sławą oręż polski, zeszło do grobu cicho i w zapomnieniu... Im to, temu szeregowi zapomnianych postaci, postanowiliśmy poświęcić niniejszą pracę w tem przeświadczeniu, że życie każdego z nich to dopełnienie epoki Napoleońskiej, to maleńka cząstka wielkiej całości<sup>13</sup>.

Dodam, że autor sam ilustrował swoje książeczki. Pisze Wanda w *Pamiętniku*:

W sobotę, gdy wracał z biura, po obiedzie, otwierał biurko, wyjmował sztychy, których miał bardzo dużo, i malował tych żołnierzyków. A było ich wielu, różnych formacji. Ułanów 4 pułki, które różniły się kolorem naszywek, czaka

<sup>8</sup> W. J. S. Bagiński, *Dawne guziki polskie*, Kraków 1899, BN, II.195.182.

<sup>9</sup> W. J. S. Bagiński, *Typy wiarusów napoleońskich*, Warszawa 1912, BN, II.63.894.

<sup>10</sup> W. J. S. Bagiński, *Idzie żołnierz borem, lasem. Szkice i obrazy z życia wiarusów polskich*, Warszawa 1914, BN, I.2.040.163.

<sup>11</sup> W. J. S. Bagiński, *Pamiętnik...*, s. 1.

<sup>12</sup> Ibidem.

<sup>13</sup> W. J. S. Bagiński, *Typy wiarusów...*, s. 1.

i bluzy: biały, niebieski, żółty i czerwony. Tatuś, malując, zawsze sobie podśpiewywał, np.:

Na kobyliim gównie  
Tańcowali wróble.  
A wrona im kracze,  
Co robicie, sracze.

Mamusia często zwracała uwagę Tatusiowi, mówiąc: „Czego Ty uczysz dziecko”, a on odpowiadał: „Tyle tylko pamiątki będzie miała od ojca, tego jej ani woda, ani ogień nie odbierze”. I prawdę powiedział, gdyż do tej pory śpiewałam to swym małym wnuczkom<sup>14</sup>.

To prawda. Te Babcine piosenki w niczym nam nie zaszkodziły.

Tekst broszurki *Dawne guziki polskie* wraz z rysunkami został opublikowany w Krakowie nakładem Towarzystwa Numizmatycznego. We *Wstępie* autor pisze:

Kolekcjonowanie jakichkolwiek przedmiotów bezsprzecznie przynosi pożytek, jeżeli tylko takie kolekcjonowanie nie jest maniactwem, lecz ma na celu w następstwie opracowanie przedmiotu naukowo. I tak, zbieramy dawne guziki polskie. Zdawałoby się, że dzieciństwem jest zbierać guziki – do czego podobna kolekcja może posłużyć, czego nauczyć? Otóż obecnie chcemy wykazać, że i zbieranie guzików również przynosi pożytek, mianowicie, jak w danym razie, odtworzy część umundurowań byłych wojsk polskich<sup>15</sup>.

I tak, autor opisał guziki na mundurach żołnierzy Księstwa Warszawskiego oraz Królestwa Kongresowego i zamieścił 59 rysunków guzików ze szczegółowymi opisami. Walery Jan Saturnin Bagiński publikował też na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” i „Biesiady Literackiej”. Jego żoną była Felicja Tekla z Kwiecińskich Bagińska, nazywana w rodzinie pieścizotliwie „Dadą” (1870-1959), córka właściciela kamienicy Józefa przy ul. Tamka w Warszawie, gdzie mieszkał wraz z matką ojciec Wandy. „Dada” była „wysoka, zgrabna, niebieskooka, o czarnych, kruczonych włosach, aż granatowych, czesała się w kok”<sup>16</sup>. Walery Jan Saturnin zmarł na raka, przeżywszy o 4 lata swojego syna Walerego Feliksa, latem, w szpitalu w Warszawie, dokąd został przewieziony z lotniska w Szczawnicy po ataku bólu przez Edwarda Władysława Pisarka, swojego zięcia. Jan Saturnin Bagiński zmarł 4 miesiące po narodzinach swojej pierwszej wnuczki, córki Wandy Arkadii – Felicji Edwardy. Los sprawił, że Walery Jan Saturnin Bagiński spoczywa w pięknej alei na Starych Powązkach w Warszawie razem ze swoją wnuczką, którą wprawdzie zdążył zobaczyć i nadać jej przydomek „Osesek”, ale której nie zdążył poznać, oraz zięciem Edwardem Władysławem Pisarkiem, którego grobu nigdy nie odnaleziono. Na cmentarzu Powązkowskim jest jego grób symboliczny jako tego, „który zginął tragicznie na nieludzkiej ziemi w 1940 roku”. Dodam jeszcze, że w Centralnym Archiwum Wojskowym jest wniosek skierowany w 1933 roku przez Edwarda Władysława Pisarka do Komitetu Krzyża i Medalu Niepodległości o pośmiertne odznaczenie Walerego Jana Saturnina Bagińskiego, który o niepodległość ojczyzny walczył nie szablą, lecz piórem. We wniosku z 30 grudnia 1933 roku czytamy:

<sup>14</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, op. cit., s. 21.

<sup>15</sup> W. J. S. Bagiński, *Dawne guziki...*, s. 1.

<sup>16</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, op. cit., s. 29.

Według otrzymanych przez mnie informacji wśród rozpatrywanych wniosków nie ma dotąd wniosku na odznaczenie zmarłego wprawdzie, tym niemniej zasłużonego idei niepodległości, niestrudzonego bojownika niepodległościowego w Warszawie, historyka, autora licznych szkiców z historii polskiej i prac na łamach „Tygodnika Ilustrowanego” oraz „Biesiady Literackiej” i jednego z najbliższych współpracowników pracy niepodległościowej śp. Artura Oppmana (Or-Ota) i [Jana] Grabca (*Rok 1863*), późniejszego peowiaka i strzelca (1920 r.). [...] Świadectwo prawdzie dać mogą Stanisław Thugutt, b. wicepremier (Warszawa), [...] [Feliks] Kopera, dyrektor [1901-1950] Muzeum Narodowego w Krakowie (śp. W. Bagiński, jednocześnie zbieracz i numizmatyk, zbiory całego życia przeznaczył Muzeum Narodowemu), [Marian] Gumowski, dyrektor [1919-1932] Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu, [...] Michał Butkiewicz, obecny minister komunikacji (o pracy w Związku Strzeleckim). [...] Bliższe dane z życia śp. Walerego Bagińskiego zapoda na żądanie pozostała wdowa Felicja z Kwiecińskich Prawdzic-Bagińska (Radom, ul. Świeża nr 7), posiadająca cenne zbiory pamiątek legionowych po śp. Walerym Bagińskim (odezwy, broszury etc.)<sup>17</sup>.

Wniosek został jednak odrzucony z powodu rzekomego „braku pracy niepodległościowej” Walerego Jana Saturnina Bagińskiego. Bagińscy mieli oprócz Wandy Arkadii jeszcze dwoje starszych dzieci: Halinę Leopoldę oraz Walerego Feliksa, zwanego w rodzinie „Flutą”. Halina Leopolda Bagińska (1896-1955) była przez trzy lata uwięziona w gorsecie, który trochę zniekształcił jej twarz i szyję i który założono jej we wczesnym dzieciństwie, po skręceniu kręgosłupa szyjnego w wyniku tragicznego upadku podczas zabawy z rodzeństwem w koniki i szarpnięciu, mającym ochronić ją przed uderzeniem o ciężki, metalowy kufer, który po wielu latach był również miejscem moich ulubionych zabaw w Jaszczowie. Pisze o tym Wanda w *Pamiętniku*:

W czwartym roku mego życia zdarzył się w domu wypadek z siostrą. Bawiliśmy się w konie. Siostra była koniem, brat furmanem, a ja jako mała żrebakiem. Siostra, biegnąc z przedpokoju do kuchni, zaczepiła nogą o dywanik, potknęła się i upadając szarpnęła głowę w tył, bojąc się uderzyć nosem o pakę. Krzyk, przybiegła Mamusia. Siostra kłęczy, nie daje się ruszyć, boli kręgosłup, szyja. Posłano po dr. Kurca, który zawyrokował, że skręcony kręgosłup, trzeba kupić i założyć gorset, który ma nosić przez trzy lata, albo garb. I założyli jej to chomać, musiała w nim spać, jeść, chodzić. Zdejmowała jej Mamusia tylko raz na tydzień do mycia. Gorset był okropny, od pupy do brody, z podpórką pod brodą na stalowych podporach. [...] Ja z bratem, bojąc się kary, schowaliśmy się do ustępu, ale rodzice nic nam nie zrobili<sup>18</sup>.

Po ukończeniu pensji Halina uczestniczyła w kursach dla urzędniczek; całe swe życie była zatrudniona jako pracownik państwowy w administracji kolejowej, ściślej w Radomskiej Dyrekcji Kolei Państwowych. Niezameżna i bezdzietna Halina, wstydliva i nieśmiała, nieco złośliwa, nazywana przez brata i siostrę „Czełowiek”, pozostająca w cieniu swojego aktywnie walczącego o niepodległość Polski rodzeństwa, zmarła na raka w 1955 roku i jest pochowana na cichym cmentarzu w Milejowie, gdzie również spoczywają doczesne

<sup>17</sup> Wniosek o przyznanie pośmiertnego odznaczenia Krzyżem i Medalem Niepodległości Walerego Jana Saturnina Bagińskiego, 1933, CAW, Komitet Krzyża i Medalu Niepodległości, I. 394. 1.

<sup>18</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, op. cit., s.10.

szczętki jej matki Felicji Tekli z Kwiecińskich, siostry Wandy Arkadii oraz jej drugiego męża Mariana Chaciewicza.

Walery Feliks Bagiński (1893-1925), brat „Tamary”, był porucznikiem Wojska Polskiego. „Wysoki, ciemny blondyn, czupryna bardzo duża, oczy zielone jak morska woda. Nosił baki i maleńkie wąsiki”<sup>19</sup>. Jego postać, niezwykle dokonania, bohaterstwo i strasznie niesprawiedliwe, okrutne i tragiczne losy wymagają bardziej szczegółowego omówienia. W roku 1905, w roku wybuchu rewolucji, rozpoczął „Fluta” naukę w Gimnazjum (obecnie nr 44) gen. Pawła Chrzanowskiego w Warszawie, założonym w 1903 roku, mieszczącym się początkowo przy ulicy Wielkiej (teraz Poznańskiej), potem (do chwili obecnej zresztą) przy ulicy Smolnej 30. Była to wówczas najnowocześniejsza (z własną kanalizacją, przestronnymi klasami i salą balową ze ścianami wybitymi adamaszkiem oraz nowoczesnym wyposażeniem pracowni), pierwsza szkoła z wykładowym językiem polskim, największa męska szkoła średnia we wszystkich trzech zaborach. W 1905 roku liczyła 1480 uczniów w 27 klasach. Felek należał do organizacji niepodległościowych, m.in. do Ligi Obrony Szkoły Polskiej. Bagiński był dwukrotnie aresztowany za działalność niepodległościową. Był członkiem Komendy Skautingu. W 1913 roku rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, które przerwał w następnym roku, a potem rozpoczął ponownie w roku 1917 na Uniwersytecie Warszawskim. W latach 1914-1915 był działaczem Związku Strzeleckiego „Strzelec” i Polskiej Organizacji Wojskowej. Jednym z elementów działalności konspiracyjnej, w którą zaangażowany był Walery Feliks i jego młodsza siostra Wanda Arkadia, było gromadzenie broni i materiałów wybuchowych. Dobrym, lecz niebezpiecznym sposobem zdobywania broni było wyjeżdżanie jako sanitariusze – członkowie Czerwonego Krzyża – na pola bitew i zbieranie rannych żołnierzy jeszcze w czasie trwania walk lub natychmiast po ich zakończeniu. Łatwo wówczas można było przechwycić broń, zwłaszcza krótką. W 1915 roku Walery Feliks wstąpił do Legionów Polskich, uczestniczył w potyczkach i walkach w Warszawie, gdzie ukończył kurs tajnej Szkoły Oficerskiej POW i wszedł do jej ścisłego kierownictwa, był zastępcą komendanta Obwodu Wolskiego. 22 sierpnia 1915 roku wyruszył na front wołyński jako sierżant 7. Pułku Piechoty I Brygady Legionów Polskich. Podczas drogi liczącej 290 km, którą legionieści przebyli piechotą, stoczył potyczki pod Kowalikami, Kowlem, gdzie miał lekką kontuzję, nad Stochodem, gdzie walczył pod dowództwem Edwarda Śmigłego-Rydza, w rejonie Hulewicz, pod Czerskiem, Jabłonką, Kukłami, Kostiuchnówką.

Przytoczymy relację oficera I Brygady Tadeusza Alfa-Tarczyńskiego z 4 lipca 1916 roku:

Godzina za godziną nieustający ani na chwilę huk ogłuszał. Deszcz opadającego gryzącego dymu zmieszanego z piaskiem sprawiał, że nic nie było widać [...]. Gazy z tej olbrzymiej ilości wybuchów zatrwały powietrze, a jednocześnie zmuszały do głębokiego oddechu przez otwarte usta, przez które wpadał piaskowy pył<sup>20</sup>.

Tragicznym wydarzeniom nad Stochodem w czerwcu-październiku 1916 roku poświęcony jest wzruszający wiersz Czesława Miłosza *Kotysanka*, znany

<sup>19</sup> Ibidem, s. 30.

<sup>20</sup> Ł. Łąbedzki, *Na granicy dwóch światów*, Łódź 2010, s. 27.

mi doskonale z dzieciństwa, cudownie interpretowany przez moją Mamę; wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ten wiersz, który zapamiętałam na całe życie, opowiada m.in. o moim stryjecznym dziadku. Oto jego fragment:

Mój mały – szepczą dziecku w wiosce siwej  
Od mgły armatniej – mały, bajkę chcesz?  
Więc była... rzeka nazwana Stochodem.  
W rzece mieszkała taka ryba, leszcz.  
A leszcz był płaski jak miesiąc wieczorem  
I pływał sobie, wodne kwiaty jadł,  
Aż przyszedł ktoś nad wodę i zakrzyczał:  
Wróć, ucałuj jak za dawnych lat.  
Zdziwił się leszcz, kto go wołać może.

Dnia 6 sierpnia 1916 roku, po uroczystej Mszy Świętej w Komendzie I Brygady w Dubniakach, odczytano okolicznościowy rozkaz Józefa Piłsudskiego i wręczono legionistom pierwsze odznaki „Za Wierną Służbę” (za rok walki bez przerwy) z własnoręcznym podpisem Komendanta. Odznakę tę otrzymał również Walery Feliks Bagiński. Odznaka przechowywana jest w Centralnym Archiwum Wojskowym<sup>21</sup>.

W 1917 roku Walery ożenił się z ukochaną z lat wczesnej młodości Felicją Bożeną z Kapucewiczów (1898-1977), zwaną w rodzinie „Dzidką” (po śmierci męża, pozbawiona środków do życia i szykanowana przez negatywnie nastawionych przez endecką prasę warszawiaków, wyjechała z dziećmi do Rosji; po wojnie pracowała w KC PZPR jako sekretarka). Z tego związku narodziło się troje dzieci: Zbigniew (1917-1943), który zmarł śmiercią głodową w Moskwie, Lech (1919-2004), artysta malarz, który w czasie drugiej wojny światowej przeszedł cały szlak bojowy od Lenino do Berlina, oraz Hanna (ur. 1921), również artystka malarka. W 1917 roku Walery Bagiński został internowany na 4 miesiące w obozie kwarantannowym w Szczypiornie pod Kaliszem za odmowę złożenia przysięgi władzom niemieckim; został tam wybrany przez współwięźniów na przewodniczącego sądu koleżeńkiego, co świadczy o jego popularności wśród towarzyszy niedoli i autorytecie. Warunki były tam bardzo trudne – głód, brud, zimno; wielu internowanych zmarło (dziennie przysługiwała więźniom kromka chleba, miska kawy i zupy z liści buraczanych; spano na papierowych siennikach, przykrywano się kołdrą wypchaną gazetami). Po zwolnieniu z obozu Bagiński powoli odsuwał się od ugrupowania piłsudczyków. 1 kwietnia 1920 roku został mianowany porucznikiem, a następnie adiutantem inspektora frontów gen. Aurelego Serdy-Teodorskiego. Brał udział w wojnie z bolszewikami, za co otrzymał Krzyż Srebrny Orderu Virtuti Militari (17 maja 1922 roku). W Biurze Kapituły Orderu Wojennego Virtuti Militari zasiadali: ppłk. Adam Koc, mjr Wacław Jędrzejewicz i mjr Marian Zyndram-Kościałkowski, którzy wystawili Bagińskiemu świetną opinię, pisząc o nim:

Ofiarny, pełen poświęcenia i wielkiego zapału, w pracy jest niezmordowany na każdym posterunku, pełniąc służbę z bezprzykładnym męstwem<sup>22</sup>.

<sup>21</sup> CAW, Biuro Orderu Wojennego Virtuti Militari, I.482.81-7691.

<sup>22</sup> Szczegółowy opis czynów Walerego Feliksa Bagińskiego, 1922, ibidem.

Zdjęcie z dekoracji Walerego Feliksa przez samego Naczelnika stało potem w domu rodzinnym Bagińskich w Radomiu, w salonie, na komo-dzie. Tymczasem Walery został zastępcą, a potem dowódcą Centralnej Szkoły Pirotechnicznej w Warszawie, która została wcielona do Centralnej Szkoły Zbrojmistrzów, mieszczącej się w Cytadeli Warszawskiej. W 1920 roku Bagiński został jej wykładowcą. Od 1921 roku był członkiem Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Zajmował się głównie kolportażem nielegalnej prasy. 2 sierpnia 1923 roku Bagiński został aresztowany wraz z ppor. Antonim Wieczorkiewiczem (1895-1925) i oskarżony o działalność komunistyczną oraz współorganizację zamachów bombowych, których dokonano w kwietniu i maju tego samego roku w Warszawie i Krakowie. Podczas śledztwa do oskarżenia dodano również pomoc w zorganizowaniu wysadzenia 13 października 1923 roku składu prochu w Cytadeli Warszawskiej (Bagiński i Wieczorkiewicz byli już wówczas od dawna w więzieniu). Obaj zasłużeni i uhonorowani najwyższymi odznaczeniami za walkę o niepodległość Polski oficerowie skazani zostali na karę śmierci, ale w wyniku łaski okazanej przez prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego zostali ułaskawieni i oczyszczeni z zarzutów, o czym opinia publiczna nie została poinformowana, a następnie znowu skazani na 15 lat pozbawienia wolności (Wieczorkiewicz) i dożywocie (Bagiński).

W późniejszych latach historycy stwierdzili, że oficerowie Bagiński i Wieczorkiewicz przeszli wprawdzie na stronę komunistów, lub raczej socjalistów, co wtedy w wojsku polskim nie było rzadkością, to ich oskarżenie i proces były policyjną prowokacją. Już podczas kończącego się procesu w 1924 roku powołano Sejmową Komisję o Specjalnych Pełnomocnictwach do Badań Działalności Tajnych Organizacji pod przewodnictwem posła Adama Pragiera, która wykryła, że wszystkie zarzuty postawione obydwu oficerom przez policję polityczną były nie tylko sfabrykowane, ale również przez nią inspirowane i realizowane. Komisja Sejmowa dysponowała m.in. dokumentami wyjaśniającymi przyczyny wybuchu w prochowni. Jeden z nich np. mówi, że bardzo aktywny proch włoski jest w Cytadeli Warszawskiej przechowywany nieprawidłowo i że grozi to wybuchem podobnym do eksplozji w Turynie i w Tulonie, o czym ostrzegł przebywający w Warszawie oficer francuskiej misji wojskowej; zostało to jednak zbagatelizowane. Drugi dokument to zeznania wartownika, który twierdził, że tuż przed wybuchem do Cytadeli wszedł robotnik z palącym się papierosem, który nie zareagował na alarm wartownika i który zresztą zginął podczas eksplozji. Tych dwóch dokumentów nie przedłożono sądowi. Dodam jeszcze, że w czasie obrad pięcioosobowego kompletu sędziowskiego sędzia, legionista i pisarz Marian Dąbrowski, mąż Marii Dąbrowskiej, zgłosił votum separatum od wyroku na Bagińskiego, stwierdzając, że z braku dowodów obciążających uważa go za zupełnie niewinnego. Wyniki badań Komisji Sejmowej zostały dopiero ujawnione po 40 latach. W 1966 roku Adam Pragier opisał tę wielką prowokację w książce pt. *Czas przeszły dokonany*, Londyn 1966.

Walery Feliks Bagiński pisał w więzieniu pamiętnik, który niedawno został ujawniony. *Dziennik więzienny* prowadzony przez niego w Rawiczu obejmuje okres od 22 maja 1924 roku (zawiera jednak też adnotacje spisywane retrospektywnie); pamiętnik obejmuje trzy tygodnie z życia więźnia. Przeplatają się w nim wątki absolutnie intymne, dotyczące ukochanej żony, z wątkami politycznymi – jest to rozpaczliwy dokument o samotności wrażliwego,

niesprawiedliwie uwięzionego człowieka o szlachetnej duszy, uczulonego na ludzką krzywdę i niesprawiedliwość społeczną. Pisał np.:

Przychodzę ze swoją małą nad Wisłę... Dziewuszka moja modnie ubrana, rozbawiona i szczęśliwa na piasku wiślanym, pod murem bulwaru leży andrus nadwiślański, a koło niego siedzi w podartej sukience dziewczyna. Spozrzedł nas... Patrzy złowrogimi oczami na nas, to znowu na swoją Mańkę czy Jankę i wiem, wiem, co myśli. I znowu jest mi przykro. Tysiące takich małych, codziennie spotykanych obrazów tworzą, jak małe, skromne kropelki, cały ocean, ocean ludzkiej nędzy, bólów i zawodów<sup>23</sup>.

*Dziennik* został ujawniony w 1976 roku. Był przechowywany przez Jadwigę Kończak, córkę nieżyjącego naczelnika więzienia w Rawiczu Józefa Stefaniaka, któremu Bagiński powierzył swoje dwa grube zeszyty – w jednym był *Dziennik więzienny*, w drugim niedokończona powieść z życia legionowego *Wulkan*, pisana od 28 lipca do 6 września 1924 roku. *Dziennik* liczy 95 kart zapisanych dwustronnie, a szkic powieści 56; obydwa zeszyty znajdują się w Archiwum Akt Nowych we wspólnej teczce osobowej Bagińskiego i Wieczorkiewicza nr 205.

W kolejnym fragmencie dziennika Bagiński pisał:

Nie myślę o niczym na razie, jestem jak ogłuszony na duchu, tłucze się tylko w sercu żal i tęsknota za swobodą... Słońce tak cudnie świeci i woń łągodna idzie z łągodnych łąk... i jeszcze dalszych lasów... Życie tak piękne ze swymi uśmiechami przyrody, a ja tymczasem muszę patrzeć na ohydę więzienia. [...] Zabrano mi wolność, najwyższe dobro moje i cały mój majątek. Wolność! O którą walczyłem od najmłodszych lat swojego życia... Zabrali to ludzie, którzy nie pojmą tej ohydy, gdyż nie mogą zrozumieć tego, czym jest wolność, ponieważ o nią nigdy nie walczyli<sup>24</sup>. [...] Swobodo, utracić ciebie to gorzej niż umierać kilkakrotnie i zmartwychwstawać, wiedząc, że zaraz się znowu skona<sup>25</sup>. [...] Raczej śmierć niż więzienie<sup>26</sup>.

W 1925 roku Rosja sowiecka wysunęła propozycję wymiany więźniów politycznych – za Walerego Bagińskiego i Antoniego Wieczorkiewicza miał zostać wymieniony konsul RP w Gruzji, prawnik Józef Łaskiewicz z żoną i córkami oraz ksiądz katolicki Bronisław Ussas, którzy byli od kilku lat więzieni na moskiewskiej Łubiance. Bagiński bardzo cieszył się z możliwości zwolnienia z więzienia, chociaż zdawał sobie sprawę, że do Polski już nigdy legalnie nie wróci. Pisał wówczas:

Będzie to radość, której sobie wyimaginować nie można. To więcej niż powrót konającego do zdrowia, to więcej niż przebudzenie się z dręczącego snu..., rozkosz niewypowiedziana<sup>27</sup>.

Wymiana miała nastąpić 29 marca o godzinie 16.00 na granicznych stacjach kolejowych w Kołosowie i Niegoriełoje, gdzie wówczas często

<sup>23</sup> W. F. Bagiński, *Dziennik więzienny porucznika Walerego Bagińskiego (1924)*, „Archiwum Ruchu Robotniczego”, 1981, s. 313-314, BN, P.19040.

<sup>24</sup> Ibidem, s. 326.

<sup>25</sup> Ibidem, s. 288.

<sup>26</sup> Ibidem, s. 290.

<sup>27</sup> Ibidem, s. 316.

wymieniano więźniów politycznych i skazanych na ekstradycję. W wagonie niespodziewanie pojawił się, za zgodą kierownictwa konwoju, 29-letni policjant Józef Muraszko, Litwin z pochodzenia, szowinista, sadysta, który zastrzelił obu konwojowanych. Nie wiadomo, na czyje polecenie działał. W każdym razie na pewno śmierć oficerów Bagińskiego i Wieczorkiewicza była na rękę kołom policyjno-wojskowym, gdyż pojawienie się ich na wolności groziło zdemaskowaniem ohydnej prowokacji. Żona Felicja Bagińska wspomina:

Gdy rozmawiałam z przewodniczącym ówczesnej Komisji Repatriacyjnej Kulikowskim na temat szczegółów mordu, powiedział mi tylko, ukrywając twarz w dłoniach: „Nic się Pani nie dowie. Noszę w sercu straszną tajemnicę i najgorsze jest to, że muszę z nią umrzeć”<sup>28</sup>.

Żonom nie wydano nawet ciał zamordowanych oficerów i pochowano ich na cmentarzu w Stołpcach. Pisze „Dzidka”:

Na cmentarzu nie pozwolono nam na podejście do skrzyń, strasząc bronią i psami. Kiedy policjanci wykopali dół pod murem, zaczęliśmy się do nich czołgać. Skrzynię z Wieczorkiewiczem spuszczone już w dół... Krzyknęłam rozpaczliwie, że muszę zobaczyć męża! Otworzono mi pudło i wtedy zobaczyłam straszny widok... Skrzynia była za płytka i przy zbijaniu wieka twarz męża uległa zmasakrowaniu. Dalej już nic nie pamiętam. Jak przez sen patrzyłam, gdy policjanci po zasypaniu dołu wyrównywali teren, ugniatając ziemię nogami<sup>29</sup>.

Z akt sądowych wynika, że Muraszkę skazano wówczas na dwa lata więzienia; podobno „działał w stanie silnego wzburzenia duchowego”, co było absolutną nieprawdą, gdyż późniejsze badania i liczne dokumenty świadczą, że był to człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów i wyższych uczuć, porywczy, impulsywny, wybuchowy, nie zrównoważony psychicznie, przeciwko któremu wielokrotnie wszczynano postępowanie dyscyplinarne. Po roku mordercę zwolniono. Po odbyciu kary Muraszko pod zmienionym nazwiskiem Leonardi służył w Korpusie Ochrony Pogranicza, a następnie w Dyrekcji Policji w Warszawie. Pod koniec lat 30. zwerbowało go Gestapo. Ma on m.in. na sumieniu wydanie w ręce Gestapo kierownika polskiej tajnej radiostacji na Zaolziu Leona Stachórskiego. Jesienią 1939 roku podziemie Armii Krajowej wykonało na nim – jako na oficerze Gestapo – wyrok śmierci w jego własnym mieszkaniu przy ulicy Rakowieckiej. Pogrzeb odbył się na koszt Gestapo.

Sprawie Antoniego Wieczorkiewicza i Walerego Bagińskiego Stanisław Goszczurny poświęcił książkę *Wyrok śmierci*, Gdańsk 1986, Łukasz Łabędzki monografię *Na granicy dwóch światów. Walery Bagiński 1893-1925. Biografia*, Łódź 2010, a Roman Juryś *Kulisy wielkiej prowokacji*, Warszawa 1960. Jedna z ulic w Warszawie nosiła do 1989 roku imię Walerego Bagińskiego. Nazwę usunęła niefrasobliwie i niesprawiedliwie, bez zagłębiania się w szczegóły, kolejna ekipa rządząca. Ulica odchodziła od Krakowskiego Przedmieścia w kierunku pl. Zwycięstwa (obecnie pl. Piłsudskiego). Teraz nosi nazwę gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza (również legionisty).

<sup>28</sup> *Był gorącym patriotą... Opowiada żona Bagińskiego*, „Żołnierz Wolności”, 30 marca 1960 (nr 77), s. 1-2, CBW.

<sup>29</sup> *Ibidem*.



W roku 1990 młodszy syn Walerego Bagińskiego Lech wysłał pismo do Wacława Jędrzejewicza, wybitnego współpracownika marszałka Józefa Piłsudskiego w okresie międzywojennym, byłego ministra oświaty, z prośbą, by wystąpił z wnioskiem o rehabilitację Bagińskiego; pismo pozostało bez odpowiedzi, gdyż Wacław Jędrzejewicz zmarł.

Siostra Walerego Wanda Bagińska „Tamara” była żołnierzem Polskiej Organizacji Wojskowej od chwili jej powstania. „Tamara” tak rozpoczyna swój *Pamiętnik*:

Gdy zaczęłam pisać ten pamiętnik, to przed oczyma stają dawne beztraskie lata dzieciństwa, a potem młodej dziewczyny. Buńcia kochana często mi powtarzała wierszyk:

Panienko moja, naucz się robić.  
Nie weźmie ciebie żaden królewicz,  
Tylko cię weźmie garbarz ubogi.  
Będziesz ciągnęła skóry do wody.  
Skóry do wody, skóry od wody,  
Wtedy zapłaczesz swojej urody.

Siedziała w swoim pokoju, szyła różne fatałaszkę dla lalek, prosząc „nawlecz igłę”<sup>30</sup>.

Sama Wanda tak o sobie pisze w *Pamiętniku*:

No i ja. Dziecko biegające, skaczące, śpiewające, jednym słowem bardzo wesołe. [...] „Siam-Siam (tak mnie nazywano, bo nie dawałam się prowadzić na spacerze za rączkę, mówiąc: „Siam-Siam idzie siam”). [...] Tatuś bardzo mnie kochał. Szatynka o bardzo długich warkoczach za kolana, o dużych oczach niebieskich. Będąc już podlotkiem, bardziej lubiłam czytać książki, niż biegać na spacer. Zajęta sprawami ziemi ojczystej, na chłopców nie zwracałam uwagi. Dla Ojczyzny tylko chciałam żyć i pracować<sup>31</sup>.

I rzeczywiście. Była prawdziwą gorącą patriotką, odznaczała się niezwykłym bohaterstwem. W swoich wspomnieniach pisze np. o tym, że jako 17-letnia dziewczyna zatrzymała sama pędzący niemiecki pojazd konny, rozbroiła jego pasażerów i odprowadziła jeńców i konie do kwatery legionistów. Do jej zadań należało zbieranie broni i amunicji z pobojuwisk po bitwach. Wielokrotnie w dzieciństwie słyszałam taką oto opowieść:

Byliśmy w rękawicach i w maskach, bo smród był okropny, a i widok niesamowity. Całe pole bitwy zasłane trupami (Niemców i Moskali). Było nas ze 30 osób. Zbieraliśmy karabiny, pałasze, naboje, w ogóle wszelką broń zakopywaliśmy w grójeckim lesie. Jeden z kolegów, Lucjan Lenczowski, zrobił głupi żart. Zawiązał trupa rękę i rzekł do mnie: „Tam leży jeszcze jeden z ładownicą”. Podeszłam do trupa, aby odpiąć ładownicę wraz z pasem. Gdy się nachyliła, trup podniósł rękę. Ja padłam obok. Przybiegł brat i mnie wynieśli z pobojuwiska do lasu. Tam ocucili, a nad Lenczowskim [odbył się] sąd od razu w lasu. Skazali go na śmierć za głupi żart podczas wypełniania rozkazu. Na moje prośby [został] zwolniony i wykreślony z wojska. Spotkałam go, gdy Pierwsza Kadrowa wychodziła z Warszawy. Prosił o przebaczenie usilnie. Przebaczyłam, wszak szedł bić się za Ojczyznę. Był w ułanach Beliny. Więcej go już nie widziałam<sup>32</sup>.

<sup>30</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, op. cit., s. 12-15.

<sup>31</sup> Ibidem, s. 18, 33.

<sup>32</sup> Ibidem, s. 64-65.

Fragment jej wspomnień wojennych znalazł się na jednej z tablic wystawowych ekspozycji *Drogi do niepodległości*. Wandzie Arkadii z Bagińskich Pisarkowej-Chaciewiczowej, która śpiewała nam pieśni legionowe w czasach, kiedy było to jeszcze oficjalnie zabronione, chciałabym zadedykować tę wystawę. Napisała „Tamara” w swoim *Pamiętniku*:

Po skończeniu seminarium czas jeszcze był wojny. Tatuś zaczął pracować w Sądzie Pokoju na Trębackiej jako sekretarz (mówił o sobie srakotarz), dokąd i mnie zaciągnął jako kancelistkę. Pracując, uczęszczałam na trzymiesięczny kurs dla kancelistek sądowych. [...] Po skończeniu seminarium dostałam pierwszą posadę pod Głownem, wieś Gawronki, 14 kilometrów od stacji kolejowej. Z Gawronek przeniosłam się pod Radom do Dąbrówki Warszawskiej. [...] [Potem] zaczęła się moja praca w Radomiu, a był to czas bardzo gorący. Wojna z bolszewikami w całej pełni, już są pod Warszawą, ale cud nad Wisłą szczęśliwie ich przegnał. Zapisałam się do „Strzelca”. Ponieważ już byłam poprzednio w organizacji wojskowej, otrzymałam stopień komendantki drużyny żeńskiej. Komendantem w Radomiu był major Stefan Chwaliński<sup>33</sup>.

Tyle *Pamiętnik!*

W Radomiu Wanda poznała swojego przyszłego męża Edwarda Władysława Pisarka. Był on młodszym wiekiem, ale starszym stanowiskiem kolegą z pracy ojca Wandy Jana Saturnina Bagińskiego, przeniesionego na początku lat 20. z Warszawy do Radomia. Mieszkała wówczas wraz z rodzicami przy ul. Świeżej, później przemianowanej na ul. Kelles-Krauza (była to kamienica dla pracowników PKP). Związek małżeński z Edwardem Pisarkiem został zawarty w 1927 roku.

Wiosną 1931 roku Edward Pisarek kupił żonie w prezencie resztówkę rozparcelowanego majątku w Jaszczowie na Lubelszczyźnie, który był zawsze ośrodkiem polskości. Pierwsza pisana wzmianka o Jaszczowie pochodzi z roku 1437. Właścicielami tych dóbr byli Mikołaj i Pełka Jaszczowscy (w herbarzu Niesieckiego nie ma herbu Jaszczowskich, więc albo ród wygasł, albo przeniósł się do innego majątku i przybrał inne nazwisko). W XV wieku właścicielem Jaszczowa był Zdląk Jaszczowski z synami Janem, Jędrzejem i Stanisławem oraz synowcem Bernardem. W XVII wieku wieś przeszła w ręce Spinków herbu Prus i Suchodolskich. W tym czasie Jaszczów stał się ośrodkiem ruchu ariańskiego. Suchodolscy wzniesli tutaj okazały zbór ariański, który dziś można oglądać tylko na rysunku. W niedużej odległości od dworu zachowała się natomiast góra zwana Arianką, do jej zbocza przylega kopiec, który według tradycji ma być grobem ariańskim. Za czasów Kickich był on nawet częściowo badany, znaleziono w nim wtedy szczątki trumny i kości. Jako dzieci nieustannie szukaliśmy tam ukrytych skarbów. Kolejnymi właścicielami Jaszczowa byli Drewnowscy i Potoccy, a od 1812 roku hrabia Onufry Kicki – kasztelan Księstwa Warszawskiego i marszałek Trybunału Lubelskiego. Właścicielem Jaszczowa w 1820 roku stał się generał Ludwik Kicki, który wznosił tu klasycystyczny dworek, drewniany, parterowy, mający od strony frontu ganek z dwiema parami kolumn. Kiedy z początkiem grudnia 1830 roku zajechali przed ganek jaszczowskiego dworu jego dawni towarzysze broni z wiadomością o wybuchu powstania, Ludwik Kicki na ich widok wykrzyknął z zapałem:

<sup>33</sup> Ibidem, 81-82, 89, 94.

„Pistolety i pałasz są u mnie gotowe! Do was należę, będę wasz aż do śmierci!” Ludwik Kicki, uprzednio wzięwszy udział w bitwach w czasie powstania listopadowego: pod Modlinem, Białoleką, Grochowem, Wawrem, Dębem Wielkim, Iganiami i Siedlcami, zginął w bitwie pod Ostrołęką w 1831 roku, a panią na Jaszczowie została jego żona (siostrzenica, która z wielkim oddaniem opiekowała się nim podczas rekonwalescencji, kiedy nieszczęśliwie złamał nogę, pędząc za Konstantym, aby go porwać i sprowadzić do Warszawy; do 1820 roku był jego adiutantem) Natalia z Bispingów Kicka (1801-1888), obdarzona talentem muzycznym malarka, kolekcjonerka, autorka prac archeologicznych, m.in. *Jaszczów pod względem archeologicznym. Zamczysko, Horodyszczce i Żalnik*. Rozprawa ukazała się w „Wiadomościach Archeologicznych” w 1882 roku i przechowywana jest w zbiorach Biblioteki Narodowej<sup>34</sup>. Opisuje w niej Natalia Kicka grodzisko oraz górę Zamczysko, w której wykopano narzędzia krzemienne – sierpy, siekierki, noże, grotty, rdzenie, skorupy przypominające naczynia gliniane. Autorka doszła do wniosku, że góra Zamczysko została usypana przez ludzi, miejsce to bowiem – żyzne ziemie, urodzajne łąki, bogate w zwierzynę lasy, rzeka Wieprz dostarczająca pożywienia i łącząca mieszkańców z sąsiadami – wszystko to sprzyjało osiedlaniu się na terenach jaszczowskich).

Natalia Kicka jest również autorką malunków na sufitach dworku, odkrytych dopiero po urwaniu się owych sufitów (dodam, że opadnięty nagle sufit tylko przypadkiem i zrządzeniem tym razem dobrego losu nie odebrał życia bawiącym się w pokoju dzieciom, czyli mnie i moim małym siostrom). Wiemy również, że dworek w Jaszczowie odwiedzał sam Fryderyk Chopin, będący pod opieką Teresy Kickiej, siostry Ludwika. Natalia z Bispingów Kicka (po przedwczesnej śmierci swojej jedynej córki Ludwiki Marii Heleny w 1853 roku) zapisała dobra jaszczowskie wraz z dworem swojemu chrześniakowi Henrykowi hr. Potockiemu. Potem Jaszczów nabyli Antoni i jego syn Wojciech hrabiowie Rostworowscy, właściciele Milejowa, dokonując podziału majątku. Część z dworem i oficyną po byłym zborze ariańskim nabył Kazimierz Poniatowski, który wraz z synem Juliuszem (1886-1975), sześciokrotnym ministrem rolnictwa w latach 1918-1939, gospodarowali tu do 1931 roku, a następnie sprzedali dobra jaszczowskie Czesławowi Konczewskiemu, właścicielowi majątku w gminie Izbica. Zachowało się urzędowe wezwanie z 1932 roku, skierowane do Czesława Konczewskiego z majątku Jaszczów, upraszające o wpłacenie do kasy gminnej zaległej składki ogniowej w kwocie 458,36 zł. Juliusz Poniatowski po sprzedaży majątku wielokrotnie odwiedzał swój ukochany dworek w Jaszczowie, wspierał finansowo wiejską szkołę i różne inicjatywy społeczne w regionie. Nowy właściciel Jaszczowa Edward Władysław Pisarek „wyobrażał sobie pewnie, że na starość będzie tam pędził spokojne życie emeryta ziemianina”<sup>35</sup> – powiedział jego syn Walery Pisarek.

Los jednak sprawił inaczej. Dwór w Jaszczowie był domem rodzinnym mojej mamy Felicji i jej brata Walerego, a później ukochanym miejscem na ziemi moim i moich trzech sióstr. W 1972 roku – po śmierci swojego drugiego

<sup>34</sup> N. Kicka, *Jaszczów pod względem archeologicznym. Zamczysko, Horodyszczce i Żalnik*, Warszawa 1882, ss. 100, BN, II 488.313.

<sup>35</sup> W. Pisarek, *Wstęp*, [w:] E. W. Pisarek, *Od obszczyzny do kołchozu. Z form wspólnej użytkowania ziemi na wschodzie Europy* (rozprawa habilitacyjna, 1934), 2012, s. XII, archiwum rodzinne Joanny Arvaniti.

męża – Wanda Pisarkowa-Chaciewiczowa oddała za dożywocie dworek w Jaszczowie synowi swojego byłego fornała Zdzisławowi Podgórkimu i jego żonie Helenie. Za czasów ich gospodarowania majątek całkowicie popadł w ruinę, a zabytkowy, cenny dworek – niekonserwowany i niezabezpieczony z braku funduszy i braku zgody konserwatora – po prostu się zawalił. Dwór w Jaszczowie został w 2015 roku odbudowany dzięki staraniom mieszkańca Jaszczowa, sąsiada Chaciewiczów Rafała Wróbla i dotacji Unii Europejskiej. W niedalekiej przyszłości – jak twierdzi Rafał Wróbel – po cudownym odzyskaniu zabytkowych mebli i bezcennego majolikowego kominka oraz po przywróceniu domowi dawnej świetności – w części dworku umieszczone zostanie Muzeum Szlachty Polskiej; pozostała część, a głównie izba biesiadna na poddaszu (około 200 m<sup>2</sup>), zostanie wykorzystana na wykwintny dom weselny. Do ważniejszych zabytków wsi i okolic należy dworzec kolejowy – murowany, wybudowany w latach 80. XIX wieku, będący jedną ze stacji Kolei Nadwiślańskiej, obsługujący obecnie także Kopalnię Węgla Kamiennego w Bogdance. Inny ciekawy zabytek to szpital – murowany, pochodzący z początku XX wieku. Nam, dzieciom z Jaszczowa, szczególnie bliska sercu była i jest kapliczka św. Jana Nepomucena – murowana, barokowa, wzniesiona w XVII/XVIII wieku, którą z wielkim oddaniem i radością umajaliśmy polnymi kwiatami. Niewątpliwą atrakcją tej urokliwej miejscowości jest położenie w Dolinie Środkowego Wieprza, na terenie Nadwieprzańskiego Parku Krajobrazowego, w którego obrębie znajduje się ośrodek rekreacyjno-sportowy wraz z przystanią kajakową. W odległości 3 km od Jaszczowa znajduje się Milejów. W Milejowie można zadumać się na cichym cmentarzu, założonym w 2. połowie XIX wieku. Znajduje się na nim mogiła powstańca styczniowego Romualda Kostkowskiego i grób nieznanego żołnierza z 1939 roku. W Milejowie jest też kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP, wybudowany w latach 1855-1859 z fundacji Heleny z Suffczyńskich Chrapowickiej oraz Stanisława i Antoniego Rostworowskich. Chlubą Milejowa są Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, które przejęła Spółka Agros, a obecnie Fructo Maj. Na skrzyżowaniu dróg w kierunku Łysołaj i Milejowa stoi wysoki, drewniany budynek młyna. Wybudowano go na początku XX wieku i do dziś służy mieszkańcom Jaszczowa i okolic jako pomieszczenie na składy i sklepy.

Edward Władysław Pisarek (1890-1940), pierwszy mąż Wandy z Bagińskich, to najstarszy z sześciorga dzieci syn Tomasza Pisarka, pracownika Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, i Józefy z Lechów. Brat Edwarda Czesław był zawiadowcą na stacji w Mrozach pod Warszawą, gdzie w chwili obecnej mieszka część mojej rodziny, chociaż z zupełnie innej linii. Edward ukończył ośmioklasową, prywatną, filologiczną, realną szkołę średnią im. Jana Kreczmarra w Warszawie, mieszczącą się początkowo przy ul. Miodowej, następnie przy ul. Śniadeckich i ul. Wilczej, z wykładowym językiem polskim, utworzoną w 1907 roku po strajku szkolnym, wspieraną przez Towarzystwo Kultury Polskiej. Prowadził działalność niepodległościową w Polskiej Partii Socjalistycznej. Po śmierci ojca, jako najstarszy mężczyzna w rodzinie, rozpoczął pracę na kolei, a w roku 1915 został wraz z innymi pracownikami zmilitaryzowanej kolei ewakuowany do Moskwy, gdzie studiował prawo na Uniwersytecie Moskiewskim, potem do Kijowa (tam kontynuował studia prawnicze jako wolny słuchacz Polskiego Kolegium Uniwersyteckiego i uczestniczył m.in. w wykładach Henryka Ułaszyna). Jako członek POW został komisarzem do spraw

kolejnictwa (plutonowy „Selim”), maskującym przewóz ludzi i sprzętu wojskowego pod dowództwem Henryka Józewskiego, ówczesnego komendanta POW na Ukrainie, późniejszego ministra spraw wewnętrznych, wojewody wołyńskiego i łódzkiego. Zaangażował się w procedury rewindykacyjne. Został przyjęty w poczet Kawalerów Orderu Odrodzenia Polski i odznaczony Krzyżem Oficerskim tego Orderu (1925). Po nostryfikacji na Uniwersytecie Jagiellońskim dyplomu magisterskiego Uniwersytetu Moskiewskiego (1934) i przejściu na emeryturę w wieku zaledwie 44 lat (1934) przedstawił na Uniwersytecie Jagiellońskim rozprawę doktorską pod opieką prof. Adama Krzyżanowskiego, zatytułowaną *Od obszczyzny do kołchozu. Z form pospólnego użytkowania ziemi na wschodzie Europy* (1935). Konkluzją pracy, która, jak twierdzi Walery Pisarek, najprawdopodobniej zaważyła na dalszych losach Edwarda Pisarka, była konstatacja, że:

Ustrój sowiecki, po stworzeniu bezklasowego społeczeństwa we wsi sowieckiej, nie zniósł, lecz przeciwnie, wzmógł wyzysk chłopa. Przy braku kułaków i obszarników uosobieniem klasy rządzącej jest w oczach chłopa urzędnik sowiecki. Należy przeto postawić dylemat, iż albo obecny wyzysk zostaje spowodowany bankructwem ideologii o zaniku wyzysku przy stworzeniu bezklasowego społeczeństwa na wsi, albo też osiągnięcie bezklasowości jest nieziszczalną mrzonką<sup>36</sup>.

W sierpniu 1939 roku Pisarek został powołany do służby w Warszawskiej Dyrekcji Kolei Państwowych i we wrześniu uczestniczył w jej ewakuacji najpierw do Równego, potem do Lwowa. Czuł się odpowiedzialny za ewakuowanych współpracowników i nie chciał skorzystać z możliwości przeniesienia do Generalnej Guberni. Do rodziny nigdy nie powrócił. Jak wynika z danych gromadzonych przez Ośrodek „Karta” Centrum Informacji o Obywatelach Polskich Represjonowanych w ZSRR, został aresztowany przez NKWD w 1940 roku i umieszczony w obozie w Rybniku nad Stryjem, gdzie zmarł podobno na zapalenie płuc 31 grudnia 1940 roku. Walery Pisarek sprawdził, że akta sprawy znajdują się w Państwowym Archiwum Obwodu Lwowskiego, ale nie można do nich dotrzeć ani za pośrednictwem Konsulatu Generalnego RP we Lwowie, ani za pośrednictwem ukraińskich przyjaciół. Są tylko pisemne oświadczenia dyrektorów tego archiwum z 2001 roku i 2003 roku, poświadczające brak jakichkolwiek dokumentów. Ostatnią kartkę do córki wysłał Edward Pisarek 18 czerwca 1940 roku. Parę tygodni przed aresztowaniem pisał do syna:

Jeżeli list ten do Ciebie dojdzie, to niewątpliwie w tym czasie obchodzić już będziesz dziewiątą rocznicę swoich urodzin; zaczniesz dziesiąty rok życia [...]. Musisz powoli zdawać sobie sprawę z tego, że gdy mnie nie stanie, to nie Niunia Twoją, ale Ty stać się musisz ostoją Niuni i Dady, i Mamusi, i Cioci. I taka już jest kolej rzeczy, a do tego konieczna jest nauka, a później musisz być bardzo grzeczny i kochać całym sercem tych, z którymi przebywasz, a miłość Twoja musi być cicha, to znaczy nie trzeba krzyczeć i powtarzać „ja kocham”, ale postępowaniem swoim dać odczuć swoim Najbliższym, że kochasz ich prawdziwie. Lwów, 4 IV 1940<sup>37</sup>.

---

<sup>36</sup> Ibidem, s. XVII.

<sup>37</sup> Ibidem, s. XX.

Pisarkowie mieli dwoje dzieci. Felicja Edwarda Wanda (1929-2012), zwana w rodzinie z czułością „Niusią”, zgodnie z wolą ojca studiowała prawo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Uniwersytecie Jagiellońskim i Uniwersytecie Warszawskim, w latach 1990-2001 sprawowała funkcję dyrektora Departamentu Organizacji i Informatyki, a następnie doradcy ministra do spraw związanych z funkcjonowaniem sądów; była pracownikiem Ministerstwa Sprawiedliwości. Walery Leszek Edward (ur. w 1931 roku), zwany w rodzinie „Dzidulą” lub „Dzidkiem”, wbrew życzeniom ojca, który chciał, żeby syn studiował inżynierię wodną na politechnice, został socjolingwistą i prasoznawcą. Zanim jednak jeszcze rozpoczął studia, za udział w niepodległościowej konspiracji został jako 15-letni chłopiec aresztowany za posiadanie pepeszy i pistoletu Walter, którymi rzekomo chciał dokonać zamachu na władzę ludową, i osadzony na zamku w Lublinie. Na domiar złego broń mieli także jego koledzy, ale na szczęście uniknęli aresztowania, ponieważ kiedy SB zabrało Walerego z domu w Jaszczowie, fernal Józef Podgórski konno pojechał do Milejowa i zawiadomił ich o grożącym im niebezpieczeństwie. Koledzy ukrywali się przez parę miesięcy, a potem ujawnili się i skorzystali z amnestii. Na wolność Walery Pisarek wyszedł dzięki amnestii w 1947 roku. Nie było to jednak jego ostatnie spotkanie z komunistycznym wymiarem sprawiedliwości. Na trzecim roku studiów na Uniwersytecie Jagiellońskim razem z kilkoma kolegami Pisarek został aresztowany za udział w podziemnej grupie konspiracyjnej. W procesie skazano go na sześć lat więzienia. Karę odbywał m.in. w Wiśniczu i w obozie w Jawiszowicach, pracując jako górnik w tamtejszej kopalni „Brzeszcze”.

Z oszczędnej relacji profesora Pisarka można domyślić się, że:

[...] kopalniane warunki musiały być niezwykle ciężkie. By wykonać normę, trzeba było dziennie przerzucić na taśmę dwadzieścia ton węgla! Pracowało się w pozycji kłęczącej. Z czasem jednak górnik Pisarek zdobył doświadczenie i umiejętności, dzięki którym awansował na wiertacza. Nawiercał dziury pod ładunki wybuchowe zakładane przez strażalowego. Praca była lżejsza, w mniejszym stopniu był narażony na uderzenia odprysków kamiennego stropu, z powodu których jeszcze przez kilka lat po wyjściu na wolność miał plecy jak wytatuowane w fioletowo-niebieskie esy-floresy<sup>38</sup>.

Zgodnie z ówczesnymi przepisami, dzięki przekraczaniu normy urobku, jeden dzień wyroku liczył się więźniom za dwa. Dnia 28 stycznia 1955 roku (były to akurat imieniny Walerego), po niecałych czterech latach odsiadki 24-letni Walery Pisarek wyszedł na wolność. Profesor Walery Pisarek to zrehabilitowany po latach, ale ze zrujnowanym zdrowiem, znany w Polsce i na świecie językoznawca, prasoznawca, specjalista w dziedzinie komunikowania masowego, przewodniczący jury i autor większości tekstów konkursu ortograficznego „Ogólnopolskie Dyktando”, autor książek i licznych wydań słownika ortograficznego, laureat wielu nagród, doktor honoris causa kilku uniwersytetów, pierwszy przewodniczący i od 2000 roku honorowy prezes Rady Języka Polskiego.

<sup>38</sup> [www.dziennikpolski24.pl/artukul/2839512,jezykoznawca-na-przodku,3,id,t,sa.html](http://www.dziennikpolski24.pl/artukul/2839512,jezykoznawca-na-przodku,3,id,t,sa.html), 21 września 2015.

Drugi mąż Wandy Marian Chaciewicz, urodzony w Wylezinie w powiecie puławskim (1895-1972), kuzyn najlepszej przyjaciółki Wandy Heli Potkańskiej, zwany w rodzinie „Maniana” lub „Ziutkiem”, był pierwszą wielką miłością Wandy. W jej *Pamiętniku* czytamy:

Chodziliśmy zwykle w niedzielę po kościele (na pl. Zbawiciela) na spacer na ulicę Piękną lub do ogrodu Pomologicznego. Tam zamieniliśmy pierścionki i złożył pierwszy pocałunek na mych ustach. Zawstydziałam się bardzo, w domu nikomu nie powiedziałam. I tak było nam bardzo dobrze, byliśmy bardzo szczęśliwi. [...] Lecz niestety, wszystko, co piękne, radosne i szczęśliwe, musiało ulec wyższej przemocy. W czasie tych właśnie wakacji wyszedł rozkaz z dowództwa, że nie wolno chodzić ani podawać ręki młodym ludziom zdającym do Legionów, którzy się nie zapisali. I tu cała tragedia mego życia: „Ziutek” nie chciał wstąpić do Legionów mimo mych prośb, a potem zakłęb. Mówił, że to jest prowadzenie baranów na rzeź. Co robić? Okropna rozterka: wystąpić z Ligi Kobiet czy zerwać. Nie chcąc się kierować prywatą, zerwałam<sup>39</sup>.

W latach 1915-1920 Marian Chaciewicz studiował prawo na Wydziale Prawno-Ekonomicznym Uniwersytetu Warszawskiego. Mimo awersji do wojny, przemocy, walki i wojskowych mundurów („pani Wanda nie lubiła, że wołał eleganckie buty niż kamasze”) bez wahania wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej jako ochotnik Legii Akademickiej, przemianowanej na 36. Pułk Piechoty. Pamiątką z tej wojny jest jego Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918-1921 „Polska Swemu Obrońcy”. Po drugiej wojnie światowej został zatrudniony w administracji państwowej i samorządowej, początkowo w powiecie garwolińskim, później w Lublinie. W latach 1940-1944 pracował w podziemnej Delegaturze Rządu RP na okręg Lublin jako zastępca kierownika Wydziału Samorządu. Powołany 25 lipca 1944 roku na stanowisko wicewojewody lubelskiego został kilka dni później aresztowany przez NKWD i wraz z innymi działaczami Polski Podziemnej (m.in. z komendantem lubelskiego okręgu AK gen. Kazimierzem Tumidajskim) wywieziony do Związku Sowieckiego, gdzie przebywał m.in. w obozie w Workucie i w Riazaniu do roku 1947. W roku 1948 ożenił się z owdowiałą Wandą Pisarkową (sam również był wdowcem, ojcem wcześniej zmarłego Zbigniewa oraz córki Haliny, która wyszła za mąż za Tadeusza Kuncfelda, lubelskiego wziętego adwokata, i miała z nim dwie córki – Danutę i Hannę) i zamieszkała w Jaszczowie. Zgodnie z kierunkiem studiów poświęcił się administracji samorządowej, czyli pracy w starostwach, magistratach i urzędach wojewódzkich, chociaż początkowo był kilka lat nauczycielem historii w Liceum Ogólnokształcącym w Milejowie, a następnie pracował jako zaopatrzeniowiec w tamtejszych Zakładach Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego. Był niezwykle mądrym człowiekiem, zapalonym podróżnikiem, świetnym fotografem, zbieraczem ciekawych pamiątek, znakomitym gawędziarzem, kochającym mężem, ojcem i dziadkiem, po prostu uczciwym człowiekiem, dobrym Polakiem i oddanym Ojczyźnie patriotą.

Pisze Wanda w *Pamiętniku*:

Jesienią dostałam kartkę z Jeleniej Góry od Mariana, w której pisze, że wrócił z przymusowej wycieczki do Workuty po 3 latach i trzech miesiącach do domu. W domu żony już nie zastał. Umarła na 3 tygodnie przed jego powrotem. Córka Halina bardzo zimno go przywitała, mówiąc: „Myśleliśmy, że ojciec

<sup>39</sup> W. A. z B. Pisarkowa-Chaciewiczowa, op. cit., s. 87.

już nie żyje”. Zamiast radości smutek, bo po co wrócił? Po kilku dniach pobytu, widząc, że jest zbyteczny, wyjechał i tam napisał kartkę do mnie. Z kartki widziałam, że jest bardzo załamany, zaprosiłam go do siebie, do Jaszczowa. Skorzystał z zaproszenia i przyjechał. Z pobytu w Jaszczowie bardzo był zadowolony i obiecał wkrótce przyjechać. Po kilku dniach przyjechał, ale jakiś nieśmiały. Gdy wszedł, zapytał, czy może nie w porę przyjechał. Odrzekłam: „Kiedy panu będzie źle w Lublinie, proszę korzystać z mego domu”. On przyjechał z myślą o naszym nowym życiu. Zapytał, czy chcę z nim spędzić resztę życia, a „życie będzie szczęśliwe, bo przeszło tyle lat, a miłość do pani nie wygasła. Czy pani też to czuje?” Odrzekłam, że tak, ale muszę zawiadomić dzieci i Matkę [by się zorientować], jak oni się ustosunkują do mego ślubu. „Zgoda. Ja też powiem swoim dzieciom”. I na tym się rozstaliśmy do lutego, aby wyznaczyć dzień ślubu. Aby się upewnić, czy naprawdę się zgodziłam na nasz ślub, przywiózł pierścienek. Oznaczyłam dzień 12 stycznia jako dzień zaręczyn, zaprosiłam Woydattów [sąsiadów]. Był to dzień radosny, boć przecież tyle lat byłam myślą przy nim. W lutym przyjechał i wyznaczaliśmy dzień ślubu na 28 kwietnia. Córka przyjęła tę wiadomość z pogodną miną, Matka natomiast z radością, gdyż bardzo go lubiła.

„Dzidek” podobno chodził i płakał (tak mi powiedziała Matka), choć mi nie okazywał tego. Był smutny, ale zgadzał się z siostrą i Matką, że będzie mi lepiej i lżej; zawsze będzie w domu gospodarz. Oj, jakie piękne lata, miesiące i dni powojenne! Wszystko minęło z wiatrem bezpowrotnie. Od 1948 roku do 1972 roku przeżyłam szczęśliwie i radośnie, z wyjątkiem pięciu lat trwogi i niepewności o swego Jedyńka. W tym czasie doznałam od Marcina bardzo, bardzo dużo szczerzej miłości do mego syna, jak i do mnie. Te kilka lat tej wielkiej niepewności o życie syna... Był mi człowiekiem o wielkim sercu, wyrozumiałości i pomocy w tych szalonych latach. Zgasł tak szybko, że długo, długo nie mogłam zrozumieć, że On odszedł na zawsze. Żyłam jakiś czas myślą, że On wyjechał, że wróci i powie: „Przywiozłem Ci prezent”<sup>40</sup>.

Na zakończenie posłużę się słowami zaczerpniętymi z jednej z pieśni Bułata Okudźawy: „Każda epoka ma własny porządek i ład”. Kiedy śledziłam dramatyczne losy swojej rodziny, doszłam do wniosku, że każda ekipa rządząca ma jakąś płamę na sumieniu, żadna nie ma nieskazitelnie czystych rąk. Ale ludzie o gorących sercach, gotowi oddać życie za wolność ojczyzny, których w rodzinie Bagińskich i Pisarków nigdy nie brakowało, niezależnie od poglądów, przekonań politycznych, stanowisk czy statusu społecznego, zawsze pozostają tacy sami.

\*Po 77 latach od śmierci Edwarda Pisarka jego syn Walery dotarł do dokumentów (akta sądowe w sprawie o stwierdzenie zgonu E. Pisarka), na podstawie których można z całą pewnością stwierdzić, że wiadomość, jakoby E. Pisarek zmarł w Rybniku nad Stryjem, oparta na oryginale Postanowienia Sądu Grodzkiego w Lublinie z 6 grudnia 1946 roku, jest nieprawdziwa. Porównanie tekstu Postanowienia z tekstem Protokołu ujawniło błąd w nazwie miejscowości. Z Protokołu posiedzenia sądu wynika, że E. Pisarek w nocy z 30 czerwca na 1 lipca 1940 roku został po aresztowaniu przez NKWD wywieziony ze Lwowa w głąb Rosji do Rybińska nad Wołgą w obwodzie jarosławskim, gdzie zmarł w grudniu 1940 roku. Jak od 77 lat głosi legenda rodzinna, odszedł na nieludzkiej ziemi.

<sup>40</sup> Ibidem, s. 178-180.



---

---

**DOBROMIŁA TERESA BYSTRZYCKA**

## **PRZESZŁOŚĆ W PAMIĘCI UKRYTA**

### **Wprowadzenie**

Druga wojna światowa spowodowała, że w głąb Związku Sowieckiego wywieziono setki tysięcy Polaków. Każdy dzień zesłańców na „niehumanitarnej ziemi” był walką o przeżycie. Polacy zmagali się z syberyjską przyrodą, chłodem, głodem, chorobami. Kobiety, mężczyźni i dzieci doświadczali sowieckiej gehenny, ale nie poddali się. Ciężko pracowali i marzyli o powrocie do Ojczyzny. Nie wszystkim się to udało. Syberyjska ziemia jest usłana polskimi mogiłami.

Ludzi deportowano z różnych regionów Polski. Ziemia przemyska utraciła także wielu znamienitych mieszkańców, których bolszewicki reżim zmusił do opuszczenia kraju. Represje dotknęły niewinnych ludzi, wśród nich członków rodziny Bystrzyckich. Z *Sagi rodu Bystrzyckich* można dowiedzieć się, że Bystrzyccy to „[...] zasłużeni dla grodu nad Sanem ludzie. Senior rodu, Michał Bystrzycki był pierwszym po odrodzeniu Polski w 1918 roku burmistrzem Przemyśla, jego syn Tadeusz także pełnił tę funkcję. Kolejne pokolenie – dzieci Tadeusza: Zofia i Przemysław to literaci [...], Wieńczysława wybrała karierę akademicką i jest autorką znaczących dokonań w dziedzinie genetyki [...]. Najmłodsza potomkini Tadeusza Bystrzyckiego, Dobromiła Teresa – po wielu latach spędzonych w Wielkopolsce przenosząc się na stałe do Przemyśla dowiodła ogromnego przywiązania i miłości do rodzinnego miasta”<sup>1</sup>.

Tragiczny czas dla rodziny Bystrzyckich zaczął się 13 kwietnia 1940 roku – uderzenie w drzwi, dwie godziny na spakowanie i wywózka. Do Kazachstanu zostali deportowani: Helena Bystrzycka (jej mąż Tadeusz został aresztowany trzy dni wcześniej), jej matka Zuzanna Stankiewiczowa, dzieci: osiemnastoletnia Zofia, siedemnastoletni Przemysław, dwunastoletnia Wieńczysława i Dobromiła, wówczas dziesięcioletnia.

Dobromiła Bystrzycka, często wspomina swoje dramatyczne, sowieckie losy i dzieli się wspomnieniami z dziećmi, młodzieżą i ludźmi, którzy są zainteresowani historią polskich zesłańców. Do tej pory wspomnienia te nie zostały spisane. Pozostawały one ulotne i znane tylko nielicznym. Warto zatem je udokumentować i szerzej przedstawić. Spisanie wspomnień jest sposobem na ocalenie od zapomnienia ludzi, miejsc, wydarzeń i przeżyć. Oto wizja dziecięcego spojrzenia na czas zesłania, przedstawiona po bardzo wielu latach. Zesłańcza dziewczynka, dziś starsza pani wspomina swoje doświadczenia z „niehumanitarnej ziemi”

Wspomnienia Dobromiły Bystrzyckiej nie są czarno-białe. W głowie i sercu dziewczynki, którą wówczas była, utrwaliły się różnobarwne obrazy. Oprócz złych doświadczeń, odnajduje dobre strony syberyjskiego życia. Cieszyła ją wówczas praca, która dawała rodzinie wymierne korzyści, potrafiła dostrzec piękno przyrody

---

<sup>1</sup> *Saga rodu Bystrzyckich. Przedsiębiorcy, urzędnicy, literaci, uczeni, zesłańcy*, red. J. Sztaba, A. Sarkady, Przemyśl 2010, s. 11.

i serdeczność przyjacielskich ludzi. Na pierwszy plan wspomnień wysuwa się babcia i mama, czyli osoby, które dawały bezpieczeństwo i ciepło. Gdy najdroższe kobiety nie wytrzymały głodu, chorób i zostały pochowane w stepie, dziecięcy świat runął. Zesłanie spowodowało szybkie wejście w świat dorosłego życia.

Jest wiele wspomnień napisanych przez Sybiraków. Każde wspomnienie to czyjś tragiczny los. Dobromiła Bystrzycka ze swej pamięci wydobyła wszystkie wydarzenia, które miały znaczenie dla małej dziewczynki.

Jednostkowe przypadki, w tym przypadek Dobromiły Bystrzyckiej, pozwalają uchwycić szerszy kontekst historyczny i pokazują położenie Polaków na obcej, nieprzyjaznej ziemi rosyjskiej. Są wypełnieniem białych plam dziejów naszego narodu i wyjaśnieniem kwestii, o których przez wiele lat milczano<sup>2</sup>.

*Małgorzata Dziura*  
*Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyślu*

\*

### Dzieciństwo i wywózka

Urodziłam się 14 stycznia 1930 roku w kamienicy przy przemyskim rynku – mówi Dobromiła Bystrzycka – budynek Rynek 9 mój ojciec otrzymał w prezencie ślubnym od swojego ojca. Żyło nam się wygodnie i dostatnio. Ojciec<sup>3</sup> był architektem, założył „Książnicę Naukową” w Przemyślu, dużo pracował i udzielał się w wielu sferach życia przemyskiego. Mama<sup>4</sup> była społecznikiem, gdy wybuchła wojna, prowadziła „garkuchnię”, pomagała żołnierzom i cywilnym uciekinierom, przechodzącym z niemieckiej na rosyjską stronę i odwrotnie, organizowała ubrania, żywiła, przygarniała na nocleg. Każdy mógł liczyć na jej pomoc. Dużo też czytała, w naszym domu nigdy nie brakowało różnych książek. Ojciec w młodości zgromadził okazałą bibliotekę, a mama były właścicielką małej wypożyczalni książek, którą ojciec potem rozwinął. Miałam dwie starsze siostry – Zofię i Wieńczysławę oraz brata Przemka<sup>5</sup>. Rodzice prowadzili dom otwarty, ciągle przewijali się jacyś ludzie.

Dzieciństwo miałam wesołe, beztrudne, ale niestety – krótkie. Do dziesiątego roku życia byłam hołubiona i rozpieszczana. Mama chciała, żeby moją chrzestną matką była księżna Lubomirska<sup>6</sup>, a tak się składało, że ona

<sup>2</sup> Zapis wywiadu przeprowadzonego z Dobromiłą Teresą Bystrzycką w styczniu 2016 r.

<sup>3</sup> Tadeusz Bystrzycki, najstarszy syn Michała Bystrzyckiego, znanego przemyskiego przedsiębiorcy i urzędnika, urodzony w 1889 roku.

<sup>4</sup> Helena ze Stankiewiczów Bystrzycka urodziła się w Dobromilu. Studiowała polonistykę we Lwowie, ale wybuch I wojny światowej sprawił, że edukacji nie skończyła. Dzięki pomocy finansowej stryja otworzyła wypożyczalnię książek w Przemyślu, gdzie poznała Tadeusza Bystrzyckiego, którego poślubiła w 1920 roku.

<sup>5</sup> Zofia Bystrzycka (1922-2011) – powieściopisarka, autorka wielu felietonów i powieści obyczajowo-psychologicznych. Wieńczysława Bystrzycka-Kozera ur. 1927 r., profesor nauk rolniczych w zakresie genetyki i hodowli roślin Akademii Rolniczej w Krakowie. Przemysław Bystrzycki (1923-2004) – cichociemny, pisarz i dziennikarz wiceprezes Towarzystwa Przyjaciół Biblioteki Raczyńskich i Honorowy Obywatel Miasta Poznania.

<sup>6</sup> Chrzestni Dobromiły Teresy Bystrzyckiej: Karolina Lubomirska – właścicielka dóbr Bakończyce (Przemyśl) i Rudolphus Richter – sędzia. Chrzest miał miejsce 12.06.1932 r.

ciągle miała żalobę, więc odwlekano mój chrzest niemal do trzeciego roku życia. Jak przez mgłę pamiętam tę uroczystość i przede wszystkim smak soli, o którą się dopominałam u księdza udzielającego chrztu<sup>7</sup>.

Jako najmłodsza w rodzinie, a jednocześnie chuda, anemiczna i chorowita, nic nie robiłam i we wszystkim byłam wyręczana. Zawsze miałam jakieś nianie, bony, a mama ciągle się nade mną rozczulała i dbała, by mi się nic nie stało. Lubiłam chodzić do szkoły, troszkę uczyłam się języka ukraińskiego, co potem bardzo się przydało na zesłaniu. Rodzeństwo było starsze i lepiej przygotowane do życia.



Dobromiła Teresa Bystrzycka, fotografia z dnia chrztu, 1932 r.  
i Pierwszej Komunii Świętej.

Mieszkała z nami babcia Zuzanna – mama mamy, zajmowała się prowadzeniem domu, ciągle przygotowywała nam jakieś pyszności do jedzenia. Pamiętam, że często wychodziła do kościoła. W naszym domu zawsze było pełno różnych zwierząt, bo wszyscy je kochaliśmy.

Gdy wybuchła wojna, ojca przez jakiś czas nie było w domu, ale potem stwierdził, że nie będzie dłużej się ukrywał. Źle się czuł, był inwalidą wojennym. Z powodu odniesionych w czasie I wojny światowej ran żołądka był przez całe życie na diecie. 10 kwietnia 1940 roku przyszli do nas Rosjanie i aresztowali go. Pamiętam, jak dziś, ojciec patrzył na nas i płakał. Wiedział, co go czeka, tym wzrokiem się z nami żegnał, a ja nie zdawałam sobie z tego

---

<sup>7</sup> Obrzęd chrztu przewidywał kiedyś wkładanie do ust nowo chrzczonego odrobiny soli na znak przyjęcia mądrości. Z symbolu soli zrezygnowano w 1969 r.

sprawy, że widzę go po raz ostatni. Został zamordowany w więzieniu w Kijowie i pochowany w zbiorowej mogile w Bykownej.

Po aresztowaniu ojca matka chyba przeczuwała, że będzie się działo coś złego, ale nam dzieciom nic nie mówiła. Pakowała jakieś tobołki. 13 kwietnia koło drugiej w nocy usłyszeliśmy łomotanie do drzwi. Bolszewicy weszli do mieszkania i mówili po rosyjsku: „Zbierajcie się. My dbamy o to, by dzieci chodziły do szkoły, mieszkacie bardzo blisko granicy, tu nie ma warunków do nauki. Pojedźcie 100 km za Przemysł i dzieci będą mogły chodzić do szkoły”. Jeden z tych żołnierzy był bardziej ludzki i powiedział: „Zabierajcie jak najwięcej ciepłych rzeczy”. Po czterech godzinach sprzed bramy kamienicy ruszyła platforma konna, na której siedziała cała rodzina. Babcia nie znajdowała się na liście wywozowej, mogła pozostać w Przemysłu. Nie chciała nas opuścić i pojechała z nami. Na zawsze zapamiętałam jej słowa: „Ja was nie zostawię, ja bym nie przeżyła sama, obojętnie, co nas spotka, razem będziemy przeżywać”.

Znaleźliśmy się na stacji Przemysł Towarowy. Zanim wyruszyliśmy w nieznane, przeżyłam bardzo smutą chwilę. Mieliliśmy naszego pupila pinczerka, taką maskotkę, wabił się Alma, mama zdecydowała, że piesek zostanie w Przemysłu, oddała go znajomym, którzy przyszli się z nami pożegnać. Okropnie wtedy płakałam, była to tragedia, tak przynajmniej wtedy wydawało się małemu dziecku.

W nocy następnego dnia ruszył transport, dużo wagonów napchanych ludźmi jak beczka śledziami. Podróż była jednym wielkim koszmarem. W wagonie były piętrowe prycze, małe okienka, panował mrok, smród i zaduch. Upokarzające było załatwianie potrzeb fizjologicznych. Za toaletę służyła dziura wyrżnięta w podłodze wagonu. Ludzie z koców zrobili parawan, by nie było to krępujące. Wszyscy głośno się modlili, odmawiali różaniec i różne nabożeństwa. Dzieci mniej zdawały sobie sprawę z niebezpieczeństw, ale w wagonie dawało się wyczuć jakiś niepokój, beznadziejność, przerażenie. Gdy przyjechaliśmy do Lwowa, na dworcu nieznanymi Polacy dawali nam chleb, suchary, potem już było coraz głodniej i chłodniej. Jak byliśmy na terenie Rosji, pozwalano dwóm osobom z wagonu wychodzić po zupełną. Była to gorąca woda z kawałkami ziemniaków, ale wszyscy na nią czekali. Dawano także kawałek chleba.

My, dzieci śledziliśmy trasę podróży. Mój brat Przemek, taki trochę uczony-filozof, miał wtedy siedemnaście lat, zabrał atlas, patrzył na mijane miejscowości i odszukiwał je na mapie oraz informował wszystkich, gdzie jesteśmy. Z podróży zapamiętałam dwa wydarzenia – przejazd przez Wołgę i widok Kaukazu. Mój brat krzyknął: Rzeka Wołga! A mnie się zdawało, że to jakieś ogromne morze. Jechaliśmy piętnaście minut, bo Przemek odmierzał czas pokonywania rzeki. Potem pamiętam góry Kaukazu, takie ogromne, kamieniste, z okienka wagonu nie było widać szczytów, aż ciarki mnie przeszły, poczułam taki dziwny strach.

Po dwóch tygodniach wysadzili nas w Kustanaju, ale to nie był kres podróży. Jadąc cały dzień samochodem ciężarowym dojechaliśmy do kołchozu Panowka, oddalonego około 75 km od Kustanaju. Przewodniczący kołchozu – *priedsiedatiel* zaprowadził nas do baraku przypominającego biuro, a potem rozlokowano nas w nędznych jednoizbowych chałupach – gliniankach. Miejscowi ludzie patrzyli na nas jak na złoczyńców. Antypolska propaganda

zrobiła swoje. Każda miejscowa rodzina musiała jednak przyjąć jedną rodzinę zesłańczą. Sami cierpieli nędzę i ciasnotę, więc ten przydział bardzo im się nie podobał. Gdy zobaczyli, że jesteśmy tacy biedni, załamani, zgnębieni, głodni, to otworzyli serca. Zwykli ludzie w Rosji byli naprawdę szczerzy i dobrzy, a najgorsi, ci związani z systemem ustrojowym i urzędniczym.

Mając dziesięć lat nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się wokół działo i, że przyjdzie nam żyć kilka lat na rosyjskiej ziemi. Nie opuszczała nas wszystkich nadzieja, że to jest tylko tymczasowy pobyt.

### Życie w kazachskim stepie

Polscy zesłańcy znaleźli się w obcym kulturowo i przyrodniczo środowisku. W mieszanke różnych nacji zapamiętałam Kirgizów, ludzi niskiego wzrostu, o ciemnych włosach, płaskiej twarzy z wystającymi policzkami i skośnymi oczami. Mieli swoją mowę i zwyczaje. Pozwolono im trzymać zwierzęta, głównie konie, mieli też barany, kozy i krowy. Mieszkali w jurtach, w których na środku był dołek obłożony kamieniami, stanowiący ognisko. Nad ogniskiem ustawiano trójnóg, na którym wieszano na łańcuchach kocioł. Całe życie toczyło się na podłodze jurty zasłanej kolorowymi dywanami. Siedzieli po turecku. Uwielbiali mocną herbatę. Byli bardzo gościnni, jak raz z mamą poszliśmy do Kirgizów w czasie ich posiłku, to ciągle nas częstowali herbatą. Nalewali bez końca, ja już nie mogłam pić, mama mi pokazała, żebym odłożyła filiżankę dnem do góry. Jedli sery i pili *ajran*, czyli mleko kwaśne lub *kumys*, mleczny napój z kobilego mleka lub owczego, koziego i krowiego. Powiadali, że to ich eliksir życia.

Wszystkich, których zesłano do kołchozu, od razu wypędzono w step do pracy na tzw. „brygadę”. *Kto nie rabotajet, ten nie kuszajet* – te słowa ciągle powtarzano. Praca trwała 10-12 godzin, a w okresie szczytu prac polowych nawet dłużej. Do pracy zmuszano wszystkich, nawet dzieci, które skończyły dziesięć lat. Ja zbierałam całymi dniami kłosa po ścierniskach. Z zainteresowaniem przyglądałam się kombajnom zbożowym i żniwiarkom, ponieważ nigdy takich maszyn nie widziałam. Potem byłam pomocą kucharki. Jedna Polka gotowała zupę dla pracujących w polu. Był taki wyciągnięty w step wóz, podobny do wozu Drzymały, tam się gotowało, spało i mieszkało. Niektórzy spali pod gołym niebem. Obierałam głównie ziemniaki, były bardzo małe, więc pochłaniało to ogromnie dużo czasu. Za swoją pracę dostawałam odrobinę stawy.

Na jesień przeniesiono nas do sowchozu „Rakomsojuz”, a potem na tak zwaną „toczkę”, to jest filię, odłamek tej fermy, który składał się z baraku, gdzie mieszkali ludzie i dwóch baraków dla bydła. Praca w kołchozach i sowchozach była ciężka i wyłącznie za jedzenie.

Starsza siostra, Zosieńka została przydzielona do dojenia krów, ona, panienska grająca na fortepianie i delikatna, nie potrafiła poradzić sobie ze stajennymi pracami. A brat zajmował się bykami, to było niebezpieczne, bo trzeba je było wypędzać i potem chwycić na lasso, a niektóre były bardzo narowiste. Utrzymywaliśmy się głównie z handlu wymiennego. Pieniądze na zesłaniu nie miały znaczenia, ważne, było mieć rzeczy, które można było wymienić za żywność.

Moje podstawowe zajęcie to było wyrabianie przeznaczonego na opał *kiziaku*, czyli cegiełek z krowiego łajna, zmieszanego z plewami. Latem chodziłam po stepie, z mamą i siostrą, zbierałyśmy wyschnięte krowie placki, był to już gotowy opał na zimę. Niektórzy w naszym *posiołku* mieli krowy, rano pastuch wyganiał wszystkie krowy w step, by mogły się najeść. Kilkoro dzieci razem z nim szło, wśród nich byłam i ja. Obserwowałam, która krowa podnosi ogon i szybko biegłam z miednicą, by mnie ktoś nie wyprzedził w zbieraniu łajna. Gdy miałam pełną miednicę krowich kup, wracałam, mieszałam je z plewami, ubijałam w foremkach ze starych naczyń, odwracałam foremki i wysypywałam ukształtowany *kiziak*, który potem suszył się na słońcu jak cegła. Bardzo ciężkie były te miednice z krowimi plackami, dziś czuję to w kręgosłupie. Robienie *kiziaku* miało jeszcze jeden nieprzyjemny aspekt, trudno było z siebie zapach krowiego łajna. Aby ktoś cennego opału nie ukradł, z *kiziaku* układało się duży stożek i oblepiało świeżym gnojem, tak zabezpieczony czekał na srogą zimę. *Kiziak* palił się dobrze, ale nie można było dopuścić, aby w piecu pozostały niedopalone kawałki, bo ulatniał się czad i można było się zatruć.

Zesłańcze dzieci szukały sobie różnych zajęć, by zdobyć trochę pożywienia. Czasem coś pożytecznego robiły, czasem kradły, a jeszcze kiedy indziej – żebrały. Nosiłam wodę jednej starej Kazaszce za miseczkę kefiru. Ciężko było dźwigać dwa wiadra pełne wody, ale perspektywa dostania jedzenia dodawała sił.

Dzieci, choć musiały pracować, miały trochę lżej od dorosłych. W kołchozie i na *toczce* nie było szkoły, żadne dziecko nie uczyło się, więc dzieci musiały pomagać starszym w walce o przeżycie. Gdy starsza siostra chciała mnie nauczyć języka rosyjskiego, do pisania były wykorzystywane marginesy i niezadrukowane powierzchnie sowieckich gazet, ponieważ brakowało papieru.

W stepie też czyhały na człowieka różne niebezpieczeństwa. Od najmłodszych lat byłam strachliwa. Najbardziej bałam się wilków, bo krążyły różne opowieści o tych zwierzętach. Sama nigdy nie spotkałam wilka, ale słyszałam, że rzucają się na ludzi i zwierzęta, i ich pożerają.

Kazachski step był dla nas, zesłańców miejscem pracy i życia. Musieliśmy przyzwyczaić się do warunków, jakie nam przygotowali Rosjanie oraz robić wszystko, by nie dać się pokonać i wytrwać do chwili uzyskania wolności.

### **Głód, śmierć i choroba**

Śmierć na Syberii była codziennością, gdyż ludzie z Polski nie byli przyzwyczajeni do tak ciężkiej fizycznej pracy w ekstremalnych warunkach. Na rękach zesłańców umierali ich najbliżsi. Śmierć babci była dla nas strasznym ciosem. Babcia umarła w lutym 1941 roku. Długa podróż, a potem warunki panujące w kołchozie wykończyły ją. Jak dziś pamiętam taką sytuację – głodowaliśmy, za żywność wymienialiśmy różne rzeczy zabrane z Polski. Wieńczysława zajmowała się kuchnią, bo lubiła gotować, by na dłużej starczyło jedzenia robiła takie normy, a babcia nie chciała jedzenia. Babcia już wtedy chyba czuła, że będzie umierać, leżała cichutko na drewnianych skrzynkach, w których przywieźliśmy żywność z kraju. Powiedziała: „Zjedzcie na zdrowie dzieci, ja nie jestem głodna”. Ona wtedy oddała nam swoją porcję jedzenia,

byśmy mogli, my, młodzi dalej żyć. Niedługo po tym zmarła. Bratu udało się gdzieś zdobyć deski i zbić trumnę. Ja nie odprowadziłam babci na cmentarz, szłam za trumną tylko do pewnego momentu, potem musiałam zawrócić, bo nie miałam ciepłej odzieży, a był duży mróz. Gdy na wiosnę poszłam odszukać babci grób, już go nie znalazłam, syberyjska zima zrobiła swoje, wszystko było wyrównane.

Mama już w Polsce miała różne dolegliwości i choroby. Rosyjskie warunki pogłębiły jej zły stan zdrowia. Zaczęła poważnie chorować. Mimo okresu żniw i trudności z udostępnieniem podwózki, udało się ją zawieźć do szpitala. Niestety, nie uratowano jej, zmarła. Pamiętam, że w noc jej śmierci słyszałam jej ciężki oddech, jakby była z nami, choć leżała w szpitalu. To może jej duch przyszedł do nas po raz ostatni.

Gdy zmarła mama w lipcu 1941 roku, byłam jak w transie, płakałam i bardzo chciałam, by to był tylko zły sen, z którego zaraz się obudzę. Okropnie się bałam, chyba nigdy w życiu nie przeżyłam takiego strachu jak wtedy. Dopiero co opłakaliśmy śmierć babci, a teraz choroba i głód uśmierciły mamę. Czułam przejmującą pustkę i samotność. Zostaliśmy osieroceni w tym wrogim, obcym kraju, wśród obcych ludzi.

Przymieraliśmy głodem, ciągle brakowało żywności. Jednego roku, przed Bożym Narodzeniem znalazłam gałązkę, nie wiem skąd wzięłam kolorowe papierki, ale ją przystroiłam, co miało symbolizować choinkę. Bardzo się cieszyłam na Święta, niestety, nie było nic do jedzenia, by nie czuć głodu, zaraz poszłam spać. To były najgorsze Święta w moim życiu. Za jedzenie modliłam się też na grobach. W okresie wielkanocnym, prawosławni zanosili jedzenie dla swych zmarłych i zostawiali na grobach. Chodziły „dziady”, modliły się za dusze zmarłych i brały żywność. Ja też modliłam się i brałam jedzenie, bo byłam głodna. Na zesłaniu choroby i różne epidemie często się pojawiały. Głód, brud, brak higieny sprawiały, że ludzie masowo umierali. O żadnej opiece medycznej w naszym kołchozie nie było mowy.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, nie było studni, wszyscy wodę do picia brali z rzeki, a w tej rzece ludzie myli się, prali, zwierzęta wchodziły. Gdy wybuchła epidemia w naszym *posiołku* siostra Wieńczysława zgłosiła się na ochotnika do pomocy chorym. W Przemyślu należała do harcerstwa i przeszła kurs udzielania pierwszej pomocy, z powodu braku personelu medycznego była nieocenioną pomocą. Potem, już w Polsce, chciała zostać lekarzem, by nieść pomoc potrzebującym, ale jej się to nie udało.

Pewnego razu i ja zaczęłam strasznie chorować, miałam gorączkę, bóle brzucha. Prawie umierałam. Chorowałam na tyfus brzuszny, a potem płamisty. Gdy chorowałam na tyfus brzuszny wylądowałam w izolatce, bo to zakaźna choroba powodująca owrzodzenia przewodu pokarmowego. W tej izolatce nikogo nie leczyli, chodziło tylko o odizolowanie od zdrowych, żeby nie zarażać. Nic nie mogłam jeść, więc zalecono mi jajka na miękko. Moja najstarsza siostra zamieniała swoje ubrania na jajka i przynosiła mi po dwa. Nie zawsze umiała ugotować je na miękko. Gdy podała, z trudem zdobyty smakołyk, doglądającej nas pielęgniarki, bo nie mogła wejść do sali, patrzyła przez okno, a ja miałam jej pokazać, czy mogę zjeść jajka. Jeżeli były ugotowane na twardo okropnie czuła się rozczarowana, bo już niewiele miała

do przehandlowania, a jajka były nie do odzyskania, gdyż były skażone. Ze mną, w tej samej sali leżała moja koleżanka, pewnego ranka jej już nie było. Gdy zapytałam, gdzie ona jest, usłyszałam, że wyzdrowiała. Po wyjściu z izolatki dowiedziałam się, że umarła. Do dziś pamiętam rozpacz jej mamy i słowa: „Ty sierota, co nie masz nikogo wyzdrowiałaś, a moja córeczka, miała dla kogo żyć i umarła”. Czułam się wtedy bardzo nieszczęśliwa.

Tyfus płamisty łagodniej przechodziłam, nawet w czasie choroby zajmowałam się krową naszych sąsiadów, poїłam, dawałam jeść, bo oni byli w szpitalu. Choroby dziesiątkowały ludzi, bo nie było ani lekarzy, ani lekarstw. Kto był słabszy, mniej zahartowany, przegrywał walkę o życie.

### Walka żywiołóv

Na zesłaniu dużą rolę odgrywał klimat, który charakteryzował się krótkim gorącym latem i srogą, mroźną zimą z śnieżnymi burzami, czyli *buranami*. Po wielu latach zacierają się obrazy ludzi i miejsc. Nigdy jednak nie zapomnę stepu w maju. Po horyzont zielona równina, bez żadnego drzewa, ani krzewu, porośnięta dziko rosnącymi irysami, tulipanami, taką trawą do srebrnych piór podobną, pełno było różnobarwnych krokusów. Było bajecznie, niesamowicie i jeszcze ten odurzający zapach stepu. Po kilku dniach kwiaty zniknęły i zostawał zielony dywan traw. W następnych miesiącach zaczynały się upały, temperatura dochodziła do czterdziestu, pięćdziesięciu stopni. Dla małej dziewczynki to było istne piekło na ziemi. Raz w życiu przekonałam się, co oznacza pragnienie, za łyk wody oddałabym wszystko. Żar lał się z nieba, a *wodowoz* nie dowiózł robotnikom wody na step. *Wodowoz* to był taki człowiek, który beczką zaprzęzoną w byki dowoził wodę ludziom pracującym w polu. Pić wszystkim chciało się ogromnie, na horyzoncie zobaczyliśmy jakiś kształt przypominający beczkę. Często na stepie pojawiały się fatamorgany, więc nie było pewności, czy tam coś jest rzeczywiście. Jakimś wilczym pędem wszyscy zaczęli biec w stronę małej plamki. Ja byłam tak słaba, że chyba ostatnia dobiegłam, ale gdy wzięłam jakiś garnuszek i chciałam wziąć łyk, ktoś mi go wyrwał. Ta woda nie nadawała się do picia, była potrzebna do traktorów, czuć ją było ropą, ale dla nas była wybawieniem.

Na stepie często wybuchały latem pożary, bo panowała susza, wtedy wyjeżdżał traktor i oborywał ziemię, robił trzy, cztery okręgi, by odciąć ogień.

Najgorsze na zesłaniu były jednak zimy. Nie mieliśmy odpowiedniej odzieży – szub, walonek. Koce mama podarła na onuce. Ale to było za mało, marziliśmy okrutnie. Wszyscy mieliśmy odmrożenia. Zimowy step był straszny, zwłaszcza, gdy szalała burza śnieżna, czyli *buran*. Świat zamieniał się w jedną wielką biel, nic nie było widać. Ogromne tumany śniegu zasypywały wszystko. Człowiek nie miał szans z takim żywiołem. Zamieć śnieżna sprawiała, że ludzie nawet będąc blisko domu błędzili i zamarzali. Taka katastrofa błędzenia w *buranie* spotkała siostrę. Po wodę trzeba było chodzić do rzeki, bo nie było studni. Siostra wzięła koromysło i poszła po wodę. Gdy już była blisko domu, nagle zerwała się zawierucha śnieżna, ona zamiast iść do domu, oddaliła się od zabudowań i znalazła się na cmentarzu, poznała to miejsce po wystających kilku krzyżach. Nie wiedziała, co ma zrobić, strach ją paraliżował, bo, chociaż znała okolicę, w *buranie* straciła orientację. Chodziła wkoło dopóki jej starczało



sił. Ruchomy czarny punkt zobaczył jeden Kazach, ale początkowo nie zareagował, potem nie dawało mu to spokoju, poszedł na cmentarz i znalazł już niemal zamrożoną Wieńczysławę. Nikt nam nie powiedział, jak mamy postępować w takiej sytuacji. Siostra została przeniesiona do najcieplejszego miejsca w izbie i okropnie wyła z bólu. Pamiętam ten jej krzyk. Zamiast ją powoli ocieplać, natrzeć śniegiem, to od razu została rozgrzana, strasznie cierpiała. Kilka lat po tym wydarzeniu jeszcze odczuwała różne dolegliwości.

*Buran* zasypywał wszystko, po jego przejściu nie widać było zabudowań, ludzie powoli odkopywali swoje domostwa, robili tunele i odgarniali śnieg. Do wnętrza lepianek światło przedostawało się jedynie przez okienko w dachu. Zimą dzieci spędzały w barakach. Śnieżne zasy i mróz uniemożliwiały poruszanie się.

Syberyjska przyroda jest mało przychylna człowiekowi. Latem żar łał się z nieba – ziemia spękana i morze falującej trawy. Jak nastawały zimy, to mrozy unicestwiały wszelkie życie. Zimno wdzierало się wszystkimi szczelinami. Mróz powodował skostnienie. Do dnia dzisiejszego bardzo nie lubię zima.

### **Przemysł blisko, coraz bliżej**

Gdy relacje polsko-rosyjskie poprawiły się, zmienił się też los zesłańców. Brat jeszcze w październiku 1941 roku zaciągnął się do Armii gen. Władysława Andersa, przeszedł szlak bojowy przez Persję, Egipt, Afrykę Południową do Wielkiej Brytanii, gdzie stał się tzw. cichociemnym i w 1944 roku został rzucony na teren okupowanej Polski. Siostra Zosieńka, mając 21 lat, chcąc wyrwać się z „niehumanitarnej ziemi”, opuściła nas i wstąpiła do formującego się w 1943 roku na terenie ZSRR wojska kościuszkowskiego. Tam poznała Jerzego Putramenta późniejszego męża.

Dwie dziewczynki, ja trzynastoletnia i siostra piętnastoletnia zostałyśmy same na kazachskiej ziemi. Mijały kolejne szare dni i miesiące wypełnione walką o przeżycie. Wszystkich Polaków ściągnięto do powiatu Karasu, skąd miano nas zabrać do kraju. Tam mieszkaliśmy dwa lata i musiałyśmy sobie jakoś radzić. W lecie pracowałyśmy na polu przy żniwach, siostra była doroślejsza, więc wykonywała cięższe prace, ja jeździłam na żniwiarce, takiej maszynie, która ścinała zboże i co jakiś czas trzeba było spuszczać wajchę, by wylatywały snopy. Zbierałam kłosa zboża, bo maszyny rolnicze trochę plonu pozostawiały na polach. Chodziłyśmy też podlewać ogródki warzywne, które były nad rzeką, ciężko było nosić wiadra z wodą pod górę, a wylewająca się woda powodowała śliskie podłoże, na którym łatwo było upaść. Czasem brałyśmy stamtąd jakieś warzywo, ale nas rewidowano, więc nie można było niczego wynieść. Jadłyśmy liście surowej kapusty, co było wielkim smakołykiem. Wieczorami robiłyśmy na drutach rękawice, skarpety dla czerwonoarmistów i cywilów. Należałyśmy do spółdzielni trykotarskiej. Oszczędzałyśmy na nafcie, więc trudno się robiło w półmroku, a mimo to udawało nam się troszkę na tych robótkach zarobić.

Dwa razy zawożono nas do miejscowości, gdzie była kolej żelazna. W końcu załapałyśmy się na transport do Polski. Na skutek działań wojennych transport został zatrzymany w Kijowie. Podróż była męką, nie wiem, jak przeżyłyśmy miesięczną jazdę pociągiem. Dotarłyśmy do Kijowa,

a tam czekały na nas wozy, by rozlokować nas w różnych miejscowościach obwodu kijowskiego. Zamieszkałyśmy w Czerkasach, gdzie była cukrownia zniszczona przez Niemców, my zesłańcy ją odbudowywaliśmy. Ja nie, bo byłam jeszcze dzieckiem, ale siostra pracowała na gruzach cukrowni. Gdy poszła do pracy, dostała melasę i pokój w hotelu robotniczym, który przypominał salę szpitalną. Każdy miał parę metrów i łóżko i znów parę metrów i łóżko. Co łóżko to inna rodzina. Osobno było pomieszczenie kuchenne, gdzie można było sobie przygotować coś do jedzenia.

Zaprzyjaźniłam się z taką równolatką, co jej ojciec grał w orkiestrze w domu kultury, on ją bez biletu wpuszczał i ona mnie też przemyciała. Tam były tańce, nauczyłam się walca, tanga, orkiestra grała, a myśmy skakały. Miałam też dwóch kolegów, z którymi pomagaliśmy starszym ludziom, nosiliśmy wodę, opał, sprząkali. Dostawaliśmy chleb i inne produkty spożywcze. Małe dzieci zabierano do zbierania truskawek. Przez pięć lat nie jadłam owoców, to byłam „dzika” na truskawki. Nie dawali nam pieniędzy, ale za to mogłam się najeść owoców i siostrze przynieść.

Siostra Zosieńka przysłała nam dokument uprawniający do przekroczenia granicy rosyjsko-polskiej i mogłyśmy wyjechać do Polski, ale nie miałyśmy za co. Jedna Ukrainka ze Lwowa, która była z nami na zesłaniu, pożyczyła nam na podróż. Przesiadkę miałyśmy we Lwowie, tam się trochę posiliłyśmy i przekazałyśmy listy od zesłańców dla ich rodzin. Zesłańcy pisali do swych bliskich, by dać im znać, gdzie się znajdują i prosić o dokumenty umożliwiające powrót do kraju. Smakołyki, jakimi nas częstowano, spowodowały, że miałyśmy problemy żołądkowe i leczyłyśmy się kilka dni.

25 lipca 1945 roku dotarłyśmy do granicy polsko-radzieckiej i po pewnych problemach pozwolono nam przekroczyć granicę. Jak dojeżdżałyśmy do Przemyśla, siostra zobaczyła Wieżę Katedralną, obie wtedy zamilkłyśmy, serce tak mi biło, że omal nie wyrwało się z piersi. Obie pamiętałyśmy przedzesłańcze życie, gdy Wieża służyła nam za zegarek i stale ją widziałyśmy z przemyskiego mieszkania w Rynku. Wróciło wspomnienie beztroskiego dzieciństwa, rodziców i wszystkiego, co było najukochańsze. Taka dziwna radość nas ogarnęła, pomieszana ze strachem. Siostra się bardzo bała, co teraz z nami będzie, a ja śmiałam się, cieszyłam się, że jesteśmy w Przemyślu.

Nie miałyśmy pieniędzy, wiedziałyśmy tylko, że dziadek przed wojną miał tartak, ale nigdy tam nie byłyśmy. Siostra poszła na miasto zasięgnąć języka, a ja pilnowałam naszych ubogich tobołków w pobliżu dworca. Obok mnie stała pani z pięknymi walizkami wracająca z robót w Niemczech. Szkoda, że nie było aparatu fotograficznego, by móc utrwalić te dwa światy – tu wróg i tam wróg, ale jakże różnie wyglądałyśmy.

Pytałam przechodzących ludzi o dziadka, w końcu wokół mnie zrobiło się zbiegowisko, bo byłyśmy chyba pierwszymi, które wróciły z Rosji. Jeden chłopak podprowadził siostrę do dziadka Michała Bystrzyckiego i jego żony Jadwigi, ale dziadek jej nie poznał, wziął ją za dziewczynę do krów, którą chcieli zatrudnić. Dopiero musiała mu wyjaśnić, że jest jego wnuczką. Po mnie i nasz bagaż wysłał wóz, nie było zbytnio co na niego pakować. Domyto nas, łachmany zamieniono na czyste ubrania, kołtuny rozczesano. Przez długi czas kuchnia dziadków była pełna ludzi. Przemyślanie i nie tylko przychodzili pytać o swoich bliskich zesłanych na daleką syberyjską ziemię.



Młodzieńcze lata

### Zakończenie

Losy polskich zesłańców na „niehumanitarnej ziemi” były różne, niektórzy trafiali do leśnych *posiołków*, inni do sowchozów lub kołchozów, a jeszcze inni do sowieckich łagrów. Wszędzie było ciężko – surowy klimat, racjonowana żywność, praca w trudzie i znoju, choroby, insekty i śmierć. Deportowani szukali sposobów na przeżycie. To, co pozwoliło przetrwać trudne czasy pobytu na obczyźnie, to pomysłowość, zaradność, pozytywne relacje z miejscową ludnością i niegasnąca nadzieja na powrót do kraju. Cały czas mieliśmy nadzieję, że wrócimy do Przemyśla, do naszej rodziny.

---

---

ELŻBIETA SMUŁKOWA

## W STEPACH PÓŁNOCNEGO KAUKAZU. BAŁKA, CZYLI PARÓW

Z Tomska wiosną roku 1944 przewieziono polskich Sybiraków zorganizowanym transportem<sup>1</sup> na północny Kaukaz: Krasnodarskij Kraj, rejon Armawir, miejscowość Sowietuskaja Stanica, w której mieściła się centrala dużego sowchozu zbożowego *Urupskij Siemsowchoz*, rozmieszczającego pracowników w dwóch dodatkowych oddzieleniach (osadach pracowniczych). Myśmy trafiły do II. oddzielenia, na tzw. bałkę. Poniżej postaram się nakreślić jeden z pierwszych zapamiętanych obrazów.

Jazda przez równy monotony step bez żadnych osiedli. Na lewo od drogi w dużym oddaleniu mgliście zarysowujący się szczyt majestatycznej kaukaskiej góry Elbrus, który przy dobrej widoczności będzie nam towarzyszyć aż do końca pobytu. W pewnym momencie dość gwałtowny spadek drogi i w dole roztaczająca się przed nami osada: na pierwszym planie dwa długie baraki mieszkalne, powyżej jednego z nich kilka parterowych małych zabudowań (może 3-4) i ponownie wznosząca się stopniowo powierzchnia, którą na wzniesieniu zamyka wielki spichlerz – ambar, a dość daleko od niego, na prawo od baraków duża stajnia dla koni i bydła. Osada z lewej elbrusowej strony oddzielona jest od stepu dość długim pasmem krzewów akacjowych i to wszystko. Obie z Matką zostajemy umieszczone w jednym z tych małych domów. Jest to osiedlowa dwuizbowa kantora sowchozowa (biuro), która jedną ze swoich izb oddaje do użytku nowo przywiezionym robotnikom. W sąsiednim domku jest osiedlowy sklepik, a poniżej szkółka, służąca sezonowo jako noclegownia dla przyjezdnych mechaników, np. traktorzystów i kombajnistów. W naszej izbie jest jeszcze pani Wala Marszałkowa z córką, mniej więcej moją rówieśnicą i pani Kowalska z synkiem, w wieku mojej siostry. Okazuje się, że w tym domu niema na czym gotować. Na lewo od wejścia, a przed pasmem krzewów akacjowych budujemy z kilku znalezionych kamieni, czy cegieł, palenisko. Opałem jest stepowy *burian* „grube wysokie ostry”, które szybko podgrzewają wodę na jakiś napój. Do czasu przeniesienia się na zimę do jednego z baraków, bardziej przystosowanych do życia, całe lato w ten sposób gotowałyśmy sobie pożywienie. A była to głównie kukurydza, lub mamałyga, czyli kasza z dojrzałej już suchej kukurydzy odpowiednio zmielonej.

---

<sup>1</sup> Nie mam danych o tym kto ten transport organizował i dlaczego. Podejrzewam, że chodziło o brak siły roboczej na Kubani, a może też wobec rysującej się potrzeby zwrotu tej ludności do Polski, uznano że trzeba ją trochę odkarmić i wzmocnić na zdrowiu przed opuszczeniem Kraju Rad i „wiecznej szczęśliwości”.

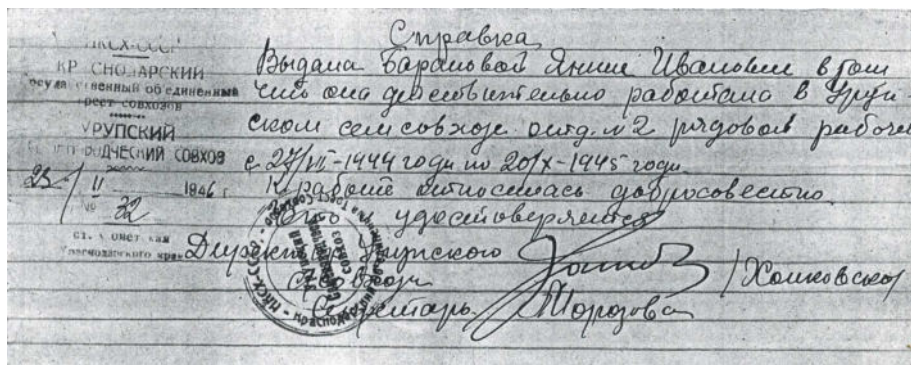
A gdy dojrzała już złocista pszenica i kto żyw był zatrudniony przy jej zbiorze, suszeniu i przechowywaniu cennego ziarna siewnego (sowchoz specjalizował się w uprawie pszenicy na siew) w ruch poszły tzw. *ruszki*, czyli swoiste rzemieślnicze młynki: około 20 cm rury z przymocowaną na obręczy rączką, osadzonej na stożkowatym z ostrymi kantami trzpieniu, umocowanym na dość szerokiej desce, na której siedziała osoba mieląca ziarno wsypywane do tej rury. W ten sposób otrzymywałyśmy pszeną kaszę i trochę mąki na placuszki i podpłomyki. Ilość chleba, który można było kupić co kilka dni w osiedlowym sklepie była podobna do tej zesłańczej stawki, którą znałyśmy z Syberii: 400 gramów dla pracującego i po 300/250 dla osób przez niego utrzymywanych. Z tym, że tu często przywożono chleb z mąki kukurydzianej. Męczyła nas trochę ta kukurydziana monotonia, ale nigdy nie byłyśmy głodne tak, jak to było w Tomsku. Były tu też inne specjały żywieniowe. Duża uprawa słoneczników, których ziarenka pysznie uzupełniały dietę, a po ich wytłoczeniu otrzymywało się makuch i stosunkowo nie drogo można było nabyć olej słonecznikowy. A druga prawdziwa atrakcja to bachcz`a, czyli uprawa arbuzów i melonów, wprawdzie pilnie strzeżona, ale po zebraniu podstawowych dorodnych plonów pozwalano, zwłaszcza dzieciom, zbierać drobne pozostawione owoce, z czego pilnie korzystaliśmy. Były soczyste i słodkie. Z tego czasu pochodzi też moja umiejętność zaprzęgania wołów i powożenia nimi: cab – cab`e; cab – cab`e! Na bachczę było daleko i korzystało się w miarę możliwości z wozu zaprzężonego parą dostojnych wołów w jarzmie.

Jedno z najcięższych doświadczeń tego okresu było związane z epidemią tyfusu, która tam wybuchła w środku lata. Naprzód zachorowali młodzi. Miejscowego kilkunastu letniego chłopaka zabrano do szpitala, z którego wprawdzie wrócił, ale poważnie umysłowo upośledzony. Bałyśmy się go. Mówiono o nim „ten wariat”. Potem zachorowała śpiąca obok mnie na sienniku córeczka pani Wali. Opiekowałam się nią, gdy matka była w pracy. Nie od razu poznano się na chorobie. Żniwa były w toku. Pani Wała starała się o konie na zawiezenie chorej do szpitala – były potrzebne do wożenia pszenicy, a kiedy wreszcie pojechały – dziecko zmarło i gdzieś tam w Centrali zostało pochowane. Pani Wała wróciła sama. Można sobie wyobrazić jej rozpacz!

Ciężko zachorowała nasza Mama. Sytuacja była krytyczna; przygotowywała nas na swoje odejście; czuwała przy niej i przy nas jedna z naszych Polek, z zawodu pielęgniarka; pamiętam, że długi czas z uporem rozcierała Matce zimne siniejące stopy i głośno modliła się razem z nami. Niestety nie pamiętam nawet imienia tej Pani, choć widzę ją przy Mamie dokładnie! Ślubowałam wówczas Bogu dziękczynne leżenie krzyżem w kościele za uzdrowienie Matki! I Mama wróciła po tym kryzysie do zdrowia. Spełnienie tej obietnicy było bardzo psychicznie trudne. Na Pomorzu, gdzie znalazłyśmy się po wojnie, nie było widocznie takiego zwyczaju, który pamiętałam ze Lwowa. I kiedy po wyjściu ludzi z kościoła z wielkim samozaparciem spełniłam swoją obietnicę i zaczęłam się gorliwie modlić podszedł do mnie jakiś mężczyzna (ksiądz?) i w dość ostrych słowach kazał mi natychmiast opuścić kościół. A Mama żyła jeszcze wiele lat!

Ale wróćmy na bałkę. O wielu jeszcze sprawach-obrazach, ilustrujących życie wywiezionych z ojczyzny Polaków, można by pisać. Nie bez znaczenia dla moich wspomnień jest to, że ten trzeci etap naszych doświadczeń był

równocześnie okresem dojrzewania dziewczynki, którą wówczas byłam. Miałam już 13/14 lat. Ciągnęło mnie do spotykającej się wieczorami i śpiewającej młodzieży. Mama na to nie pozwalała. Musiałam szybko, o określonej porze wracać, nie rozumiałam wówczas dlaczego?



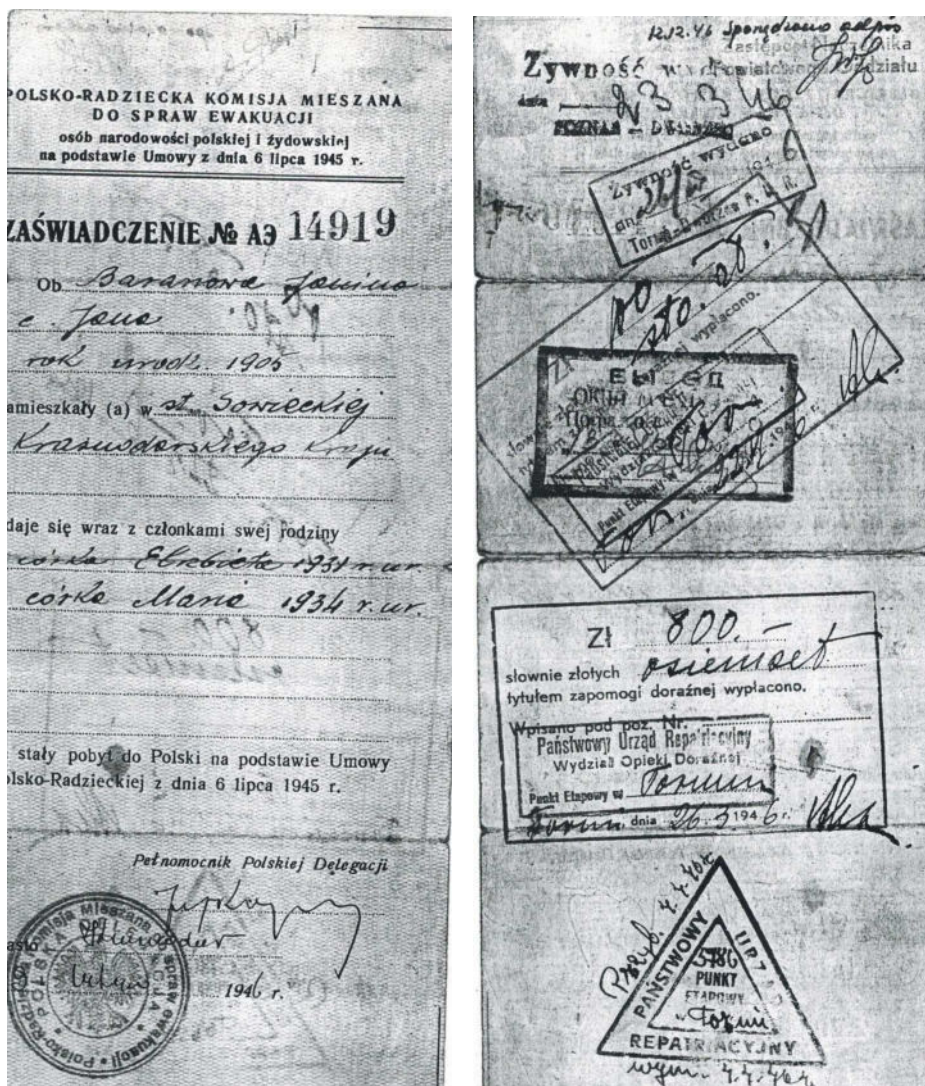
Zaświadczenie o pracy Mamy w sowchozie wydane 23 lutego 1946 r.

Nie mogłam już się tam uczyć. Nauczycielki pracowały z dziećmi klas 1-4 w 2 grupach. Ja w Tomsku skończyłam już 5-tą. Przez jakiś czas pasłam bydło na koniu. Nie czułam się pewnie na koniu, bałam się byków. Później dość długo byłam w spichrzu wagową. Ziarno podczas żniw zsypywane na przygotowanych w stepie tokach (rodzaj klepiska) przierzucane łopatami, aby je dokładnie przesuszyć (w tym klimacie w lecie nie było deszczu) zwożono bez dokładnych pomiarów do dużego spichlerza na osiedlu. Tam dopiero odbywało się ważenie w dużych drewnianych skrzyniach z uchwytyami, które przynosili i stawiali na wadze dwaj mężczyźni. Wykorzystywano do tego grupę jeńców niemieckich, kwaterowanych w rzeczonyj stajni. Byli brudni, obdarci i zapewne głodni (odwracałam głowę, gdy wrzucali sobie garściami ziarno do ust), ale do pracy szli czwórkami z dziarskim żołnierskim śpiewem. Robili na mnie przynębiające wrażenie. W spichrzu oprócz mnie był jeszcze surowy magazynier, który od czasu do czasu zbliżał się do wagi i bojąc się widocznie w przyszłości o własną skórę, groźnym szeptem rozkazywał: „na karmany, na karmany ostaw’aj”, to znaczy zostawiaj, co którąś skrzynię na rozkradanie (na kieszenie – ros. karman ‘kieszzeń’), nie zapisuj wszystkiego.

Tajemnicą poliszynela było, że znaczna większość, jeżeli nie wszyscy zatrudnieni przy zbożu uzupełniali nim rodzinne braki żywieniowe. Nie robiła tego nasza Mama, było to poniżej jej godności, ale ja tak – z premedytacją nosiłam ziarno do domu w butach i w bieliźnie. Miałam żal do Mamy, że tego nie robi. Traktowałam to jak małe zadośćuczynienie za krzywdę jaką nam wyrządzili sowietci.

Jesienią miałyśmy możliwość przeniesienia się do jednego z dwóch mieszkalnych baraków. Dostałyśmy samodzielny pokój z płytą kuchenną w krańcowym podjeździe, gdzie były jeszcze w takich izbach trzy inne rodziny. Zaczęło się życie sąsiedzkie i poznawanie nowych dla mnie trudnych problemów ludzkich. Jedną z naszych sąsiadek była miejscowa młoda przystojna kobieta z dwójką małych dzieci. Jej mąż był na froncie.

Od pewnego czasu zamieszkał z nimi młody urodziwy lejtnant, dozorujący jeńców niemieckich; chodził w eleganckim czystym mundurze i był dla nas miły. Czułam się jednak dziwnie, coś tu było nie w porządku. Po jakimś czasie, gdy wszyscy dorośli byli w pracy, przywołała mnie inna sąsiadka, Polka, matka nieco młodszego Adasia. Leżała w kałuży krwi. Straszny widok, udało się odprawić ją do szpitala, gdzie niestety zmarła. W związku z tym po raz pierwszy usłyszałam słowo *ab`ort*. Adasia nie udało się zatrzymać w naszym polskim środowisku. Został przez władze sowchozu odprawiony do domu dziecka. Nie wiem co się z nim dalej działo.



Nasz dokument repatriacyjny (awers i rewers) wydany w lutym 1946 r. przez Polsko-Radziecką Komisję Mieszaną do Spraw Ewakuacji.

Na bałce poznałam prawosławny zwyczaj cmentarny – radaun`icau// rad`unicau, obserwowany później wiele lat po wojnie na Białorusi, stąd i przytoczenie nazwy białoruskiej tego święta, bo miejscowej nie pamiętam. Na wysokim dość stromym zboczu bałki chowano umarłych. Było tam może kilkanaście, może więcej małych porośniętych trawą mogiłek, na niektórych niewielkie krzyże. Miejsce to ożywało na wiosnę. Mieszkańcy szli tam z jedzeniem i wódką, jedli, pili i śpiewali; wspominali swoich umarłych; pozostawiali na grobach pisanki i pożywienie.

Warto jeszcze powiedzieć, że do palenia w kuchni (pod płytą kuchenną) służyły grube suche łodygi stepowego burianu (rodzaj dużych ostów). Do nas z Marylą należało, aby opał był zawsze przygotowany. Chodziłyśmy w step z wyostrzonym sierpem i sznurem do związania naciętej wiązanki. Przy tej okazji miałam niegroźne spotkanie ze stepowym wilkiem. Schylona odgarnęłam kępkę ostów do ścięcia i spotkałam się dosłownie „twarzą w twarz” ze śliczną szarą mordką młodego wilczka. Nie umiem teraz ocenić, kto był bardziej przestraszony, ja czy on. W każdym razie nie rzucił się na mnie, gdy uciekałam. W zimie pewnie byłoby gorzej. Przejmujące wycie wilków, zwłaszcza w nocy księżycowe nieraz uniemożliwiało spanie i nasuwało ponure myśli.

Na bałce rosła jednak nadzieja na powrót do Polski. Gdy Lwów został zajęty ponownie przez Armię Czerwoną, Matce udało się nawiązać kontakt listowy z najmłodszą siostrą Krystyną, która postarała się dla nas o wyzew, czyli oficjalny wniosek-zaproszenie na nasz przyjazd do niej do Lwowa. Logistycznie była to dla nas bardzo trudna sprawa. A coraz częściej dochodziły do nas słuchy o możliwości utraty Lwowa przez Polskę i równocześnie o staraniach zorganizowania państwowego transportu do Polski dla wywiezionych obywateli polskich do ZSRR. I rzeczywiście taka chwila nadeszła.

Kazano nam się spakować i zawieziono nas do Centrali Sowchozu w Sowietskiej Stanicy. Stamtąd zapamiętałam dwa przeżycia: obrzydzenie i strach przed ogromną ilością jadowitych żmij na kamienistym brzegu rzeki i żal, że jedna z najmilszych dla mnie Polek, organizująca wyjazd grupowy, zostaje w sowchozie, nie wraca z nami. Dlaczego? Później Mama mi wyjaśniła: związała się z kimś miejscowym, była w ciąży. Czy była szczęśliwa?

My wracałyśmy w euforii mimo, że ponownie w wagonach towarowych. Po przekroczeniu granicy polskiej naprawdę byłam przekonana, że niebo jest bardziej niebieskie, a trawa intensywniej zielona. Transport jechał na Ziemię Odzyskane. Matka z nami oddzieliła się od transportu, aby trafić do Torunia, do swojej siostry Heleny, która jeszcze w 1939 roku wzięła ślub z kolegą ze studiów w Poznaniu i mieszkała w Toruniu. Tam zaczął się dla nas nowy okres życia, bez ojca (upamiętniony w Bykowni pod Kijowem), ale z kochającą Matką, która czczyła jego pamięć i doprowadziła córki do twórczego życia po studiach wyższych. W przemówieniu dziękującym za otrzymanie Krzyża Sybiraków powiedziałam: „te krzyże należały się naszym matkom. To one niosły ciężar zesłania, my miałyśmy w nich osłonę i wsparcie!” Doświadczenie „obcej ziemi” spowodowało, że nigdy nie miałam pokusy skorzystania z propozycji urządzenia sobie życia na emigracji.



---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Bronisława Bejda i Wacław Borkowski – Ważniejsze epizody z pięcioletniego pobytu rodziny Borkowskich na „niehumanitarnej ziemi”**

Było to 5 czerwca 1941 roku, dzień zapowiadał się bardzo piękny, słońce świeciło od samego rana. Szykowaliśmy się do śniadania, gdy usłyszeliśmy warkot silników samochodów, które wjechały na podwórko. Z samochodów wyskoczyli sowioci. Część z nich okrążyła dom z automatami gotowymi do strzału, a kilku wbiegło do domu z okrzykiem *Ruki w wierch, sberajcieś skarej*. Wszyscy zamarliśmy z przerażenia nim dotarło do nas, że wywożą nas tylko nie wiemy, dokąd. Zaczęło się nerwowe, co zabrać, ile zabrać. Czasu niewiele. Ktoś życzliwy podpowiedział, że ubrania i żywność. Mama założyła na siebie kilka sukienek, a resztę spakowała w worki. W spiżarni był zapas wędlin, które również umieszczono w workach.

Następnie zjechały furmanki wyznaczone przez sowietów, które zawiozły na dworzec do Podbrodzia. Tam czekaliśmy trzy dni nim skompletowano transport. Dowożono przede wszystkim rodziny z majątków jak również rodziny wojskowych. Do wywózki przeznaczono całą rodzinę, która mieszkała w majątku Ksymenowo (obecnie Litwa) tj. jedenaście osób. Rodziców z czworgiem dzieci (Tadzikiem – 8 lat, Heleną – 6 lat, Władysławem – 4 lata,

Marysią – 5 miesięcy), dziadkiem Kleofasem (80 lat), babcią Jadwigą (70 lat), bratem dziadka Stanisławem (75 lat) oraz stryjkiem Ignacym (27 lat) z żoną Stanisławą (23 lata). Zabrakło stryjka Jana, który w tym czasie był nieobecny w domu. Gdy wracał przypatrywał się z ukrycia co się dzieje. W związku z tym wysłano za nim list gończy, dlatego musiał się ukrywać.

Wsadzono nas do bydłych wagonów bez okien i toalety – jak było. Mama miała prześcieradło, które służyło za parawan w czasie załatwiania potrzeb fizjologicznych przez dziurę w podłodze. Po kilku dniach ryknęła sowiecka maszyna i transport ruszył. Najpierw zaległa cisza, a następnie ogólny szloch. Jechaliśmy wciąż dalej i dalej od Ojczyzny, którą przez szparę wyciętą scyzorykiem żegnaliśmy. Dopiero po przekroczeniu gór Ural pociąg się zatrzymał. Odryglowano drzwi umożliwiając wyniesienie z wagonów umarłych. Po krótkim postoju ponownie zaryglowano drzwi i pociąg ruszył dalej. Mijaliśmy wsie i miasta jak: Ufa, Czelabińsk, Omsk, Nowosybirsk i dojechaliśmy do miasta Barnauł nad rzeką Ob jako do stacji docelowej. Gehenna podróży trwała dwa tygodnie. Zakwaterowano w obskurnym baraku nas jedenaście osób i jeszcze sześć osób z innego przedziału. Było bardzo ciasno w tak małym pomieszczeniu. Poruszanie się było utrudnione, ktoś kogoś potraçał, najgorzej było z małymi dziećmi – wybuchały konflikty.

Tato (40 lat) pracował przy jakiejś budowie, mama (27 lat) nie pracowała, bo miała małe dziecko. Siostra Marysia miała w tym czasie pięć miesięcy i po trzech miesiącach zmarła. Skończyły się zapasy żywnościowe zabrane z domu i oprócz ciasnoty, braku środków higienicznych zaczęto odczuwać niedostatek żywności.

Po pewnym czasie przewieziono nas do tajgi na 41 oddział (*sorok pierwszy uczastek*). Wokół las – początkowo mieszkaliśmy w namiotach (pałatkach). Następnie przeniesiono nas do baraku. Otoczenie było ogrodzone a wszystkiego pilnował strażnik z automatem gotowym do strzału. Nie wolno było się oddalać od namiotu czy też baraku. Mama pracowała z innymi kobietami w tajdze przy wyrębie drzew. Była to bardzo ciężka praca szczególnie dla kobiet, dlatego zdarzały się wypadki. Upadające drzewo zabiło współpracownicę, która osierociła czworo dzieci, sama również nie uniknęła wypadku – siekierą uszkodziła poważnie stopę. Tato natomiast wykonywał różne prace, jakie mu kazali, był flisakiem przy spławianiu drewna z tajgi rzeką Ob, innym razem kazali paść konie kołchoźników na stepie. Dobrze, że miał ze sobą zapałki i garnek, to zbierał kłosa, grzyby i gotował na samej wodzie bez soli i tym się żywił. Gdy przyjechali po niego, bo tata nie mógł chodzić tak był wycieńczony (brak soli powodował, że pojawiła się opuchlizna). Myślał, że tu w stepie, w samotności, wśród koni przyjdzie umrzeć. Po powrocie ze stepu tato pomału dochodził do siebie, więc skierowano do go lżejszej pracy – został stróżem. Pilnował magazynu żywnościowego. Mógł więc przemycać po kilka kartofli dla rodziny narażając się na więzienie. Obierki po ziemniakach były suszone, by później zmielone na żarnach służyły powtórnie do jedzenia.

Babcia z dziadkiem nie pracowali z powodu podeszłego wieku. Dziadek często chodził po przydzielony chleb, który był pieczony nie wiadomo z czego i był taki kruchy, że się rozpadał; przynosił go w czapce. Babcia pomagała mamie zajmując się dziećmi, chodziła po wodę do beczkowszu. Od rana ustawiała się kolejka i czekano na przywóz wody. Jak tylko przywieźli to nastę-

pował wielki chaos, przepychanki, każdy chciał dostać wiaderko wody, więc przy tej przepychance więcej rozlali niż przynieśli. Z wodą było ciężko ciągle jej brakowało. W zimie topili śnieg, ale to była kropla w morzu potrzeb. Trzeba było prac (zamiast proszku używano popiół drzewny), myć się, walczyć z insektami: wszy, pchły, pluskwy, karakany i inne. W lecie komary, meszki i różnego rodzaju muchy. Brak środków higienicznych, środków do prania, wycieńczenie pracą, insekty i brak pożywienia sprawiało, że ludzie zaczęli chorować. Najgorszą chorobą był tyfus, to było straszne, ludzie leżeli pokotem w barakach i codziennie wynoszono nowych zmarłych, dzieci chorowały ciężko na tyfus, koklusz, malarię. Śmierć zbierała duże żniwa słychać było szloch i jęk rodziców po stracie najdroższych dzieci. Naszej rodziny tragedia też nie ominęła. Zimą 1943 r. na tyfus zmarł brat Tadeusz oraz brat dziadka Stanisław, tyfus przetrzymała siostra Hela, brat Władek, oraz stryjenka Stanisława. Przetrwali, bo w porę przysłała pomoc z zagranicy, szczególnie dla dzieci tj. tran i mleko w proszku, które powodowały szybszy powrót do zdrowia. Najważniejszym zadaniem rodziców było zdobywanie pokarmu dla dzieci i dla reszty rodziny. Zbierano pokrzywę, lebiodę, grzyby, jagody i z tego gotowano potrawy. Zimą trzeba było żyć z przydziału chleba. W trudnych sytuacjach mama wymieniała odzież za żywność np. za halkę dostała wiadro kartofli (szczęśliwa nabywczyni halki uszyła z niej bluzkę).

Dotarła wieść o formowaniu wojska polskiego na terenie ZSRR z ochotników wypuszczonych z więzień i łagrów przez gen. Władysława Andersa. Wówczas tato i stryj Ignacy pojechali na punkt rekrutacyjny. Stryj Ignacy przeszedł rekrutację pozytywnie i został wcielony do armii. Przeszedł cały szlak bojowy. Walczył między innymi pod Tobrukiem i Monte Casino. Po wojnie zamieszkał w Anglii i już do Polski nie wrócił – tam został pochowany. Tato z powodu ułomności (utykał) oraz niewystarczającego wykształcenia nie spełniał wymogów, więc musiał wrócić z powrotem. Po powrocie (około dwa tygodnie) był tak zawszony, że mama zdjęła koszulę i na patyku wrzuciła do ogniska.

Wszyscy czekali na koniec wojny z nadzieją, że coś się zmieni i wrócimy do ukochanej Ojczyzny, do Polski. W marcu 1945 r. urodził się brat Wacław. Mama z tatą przeżywali trudne chwile, był słaby i często chorował. Stan był poważny, lusterkiem sprawdzano, czy oddycha. Rodzice byli przygotowani na śmierć, ale z Bożą pomocą wyszedł z tego. W maju 1945 r. dotarła radosna wieść – koniec wojny. Z baraków słychać było radosne okrzyki „wojna się skończyła”. Ale co to oznacza dla nas? Zaczęły się starania o powrót do Polski. Obecne tam władze sowieckie odpowiadały, że nie po to nas tu przywiozły, żeby nas z powrotem odwozić. Czekaliśmy długo na dalszy rozwój zdarzeń.

W zimie z 1945 r. na 1946 r. zmarła babcia Jadwiga. Zima tego roku była bardzo mroźna i śnieżna, trudno było wykopać normalny grób. W 1946 roku tata desperacko czynił starania o pozwolenie wyjazdu rodziny do Polski. Mimo różnego rodzaju upokorzeń, które tata cierpliwie to znosił i nie odpuszczał. W czasie kolejnej wizyty w biurze enkawudzista rzucił na podłogę podpisane dokumenty pozwalające na powrót do Polski. Tata pozbierał papiery z podłogi i szczęśliwy wyszedł z biura. I tak nadszedł upragniony dzień 5 czerwca 1946 r. – dzień wyjazdu. Z radością żegnaliśmy tę nieprzyjazną ziemię z myślą by tu nigdy nie wrócić. I byliśmy szczęśliwi, ale inni pozostawali w smutku i żalu.

Wsiedliśmy do normalnych wagonów z siedzeniami, oknami oraz oddzielną ubikacją, po prostu komfort. Tylko w duszy żal, że nie ma czterech

osób z nami, oni zostali tam na zawsze. Transport z Syberii przyjechał w okolicy Szczecina. Naszą rodzinę osiedlono w miejscowości Skalno. Poprzez czerwony Krzyż rodzice odszukali resztę rodziny, i tak nasza rodzina odnalazła się w okolicy Braniewa.

\*

## Franciszek Staniul – *Z gimnazjum do łagrów*

### 1. Sieluki

We wsi Sieluki, gmina wiejska Dziewieniszki, rodzice moi posiadali gospodarstwo rolne. Za czasów II Rzeczypospolitej tereny te należały do powiatu Oszmiana, który obecnie znajduje się na terytorium Litwy i Białorusi. Od momentu mojego urodzenia (1927 r.), wiadomo było, że to ja zostanę prawowitym właścicielem gospodarstwa, bo byłem jedynym synem. Miałem dwie siostry, starszą – Stasię (1925 r.) i młodszą – Felę (1929 r.). Dom i gospodarstwo były okazałe i dobrze prosperujące, bo ojciec dokładał wszelkiej staranności w utrzymaniu gospodarstwa.

Dzieciństwo szybko minęło i nadszedł czas obowiązków szkolnych, które dzielone były z ojcowską nauką sztuki rolnej. Chodziłem do polskiej, siedmio-klasowej szkoły w Dziewieniszkach. Po raz pierwszy moja edukacja została przerwana w 1939 r. Kiedy Rosjanie weszli 17 września do Polski, nic początkowo we wsi się nie działo, ale pojawił się nowy nauczyciel języka rosyjskiego – Żyd. Mimo, iż szkoła znajdowała się w drugiej wsi, przybysz do zamieszkania wybrał nasz dom, podobał mu się, bo był obszerny, ładny i czysty. Rozgościł się w jednym z pokoi, wstawił tam cały swój dobytek, z którego doskonale pamiętam metalowe z posrebrzanymi elementami ozdobnymi łóżko i narty biegówki. Z domownikami komunikował się po rosyjsku.

Po krótkiej przerwie wywołanej wojną, nastąpił mój ponowny powrót do szkoły, tym razem rosyjskiej. Nie za często do niej chodziłem, bo w gospodarstwie czekała praca, trzeba było zadbać o nasz byt. Gdy Niemcy zaatakowali ZSRR, po raz drugi nastąpiła moja przerwa w nauce, ale otrzymałem świadectwo szkolne, bo wojna wybuchła w czerwcu 1941 r. czyli pod koniec zajęć szkolnych. Nasz nauczyciel, tak jak nagle się zjawił tak i nagle zniknął i pozostały po nim tylko rzeczy. Może był szpiegiem badającym nastroje i nastawienie do ZSRR?

Nie wiem także jaka była przyczyna, ale doskonale pamiętam, że tuż po zaatakowaniu ZSRR przez Niemcy, radzieccy żołnierze spędzili do stodoły wszystkich mężczyzn z okolicy, w tym także mojego ojca. Zatrzymani, początkowo byli pilnowani przez strażnika a po pewnym czasie, mimo jego obecności mogli spokojnie wrócić do domów. Podobnie jak i inne dzieci poszedłem do tej stodoły stojącej na skraju lasu, wziąłem ojca za rękę i wyszliśmy przez nikogo nie kontrolowani. Nie potrafię tego wyjaśnić.

Nie za bardzo podobała mi się perspektywa pracy na roli, ale decyzja ojca była nieodwołalna. Już wkrótce okazało się, że nabytą wiedzę musiałem stosować w praktyce i ponosić konsekwencje swoich decyzji, bo w 1942 r. w wieku 56 lat ojciec zmarł. Jako piętnastolatek nie bardzo chciałem wiązać swoją przyszłość z gospodarką, ale sumiennie pracowałem i zdobywałem doświadczenie.

Po latach mama wspominała, że pszenica, którą posiałem tuż przed moim aresztowaniem bardzo pięknie wyrosła, i żałowała, że jej nie widziałem. W jej słowach było to wielkie wyróżnienie, bo znała się na rolnictwie, a ponadto pszenicy u nas się nie siało, był to mój doświadczalny zasiew.

Na naszych terenach sprawnie działały oddziały Armii Krajowej, znalazło się w nich dużo chłopców. Jedną z jednostek 6 Batalionu dowodził Zdzisław Bułak-Bałachowicz „Zdrój”. Jego kompania wiosną 1944 r. rozbroiła między innymi garnizon policji litewskiej w Dziwieniszkach. Stałe miejsce postoju dowództwa, na którego czele stał kapitan Stanisław Dedelis (pseudonim „Pał”) znajdowało się w zaścianku Baranowicze. W szeregach dowodzonych przez „Pała” działał mój wujek Aleksander Bujnicki. On to stopniowo powierzając mi różnorodne zadania do wykonania włączył mnie do struktur AK. Byłem niespełna szesnastoletnim chłopcem, dlatego łatwo było mi przemieszczać się po terenie i przynosić meldunki do różnych obwodów. Dostarczałem je pokonując różne odległości idąc pieszo, jadąc rowerem, a zimą także na nartach.

Wszyscy starsi ode mnie koledzy posiadali broń, mnie ze względu na młody wiek i pewnie dla bezpieczeństwa nie chcieli jej dać. Postanowiłem sam zadbać o swój przydział, a okazja nadarzyła pewnego letniego dnia w okolicach Solnecznik, czyli stosunkowo daleko od domu. Zauważyłem furmankę zaprzęzoną w pięknego belgijskiego konia, a woźnicą był samotny Niemiec. Oni zazwyczaj jeździli po terenie w grupach po trzy lub cztery zaprzęgi – więc jak nie wykorzystać takiej sytuacji? Ponadto, nie był to młody mężczyzna, więc łatwiej było mi go zaatakować. Udało mi się, bo działałem z zaskoczenia. Zabrałem ze sobą niemieckie parabellum z dwoma magazynkami amunicji i szybko uciekłem. Może Niemiec posiadał jeszcze inną broń, nie wiem, nie szukałem więcej, bo to co chciałem mieć zdobyłem. Spełniło się moje marzenie, posiadałem pistolet.

## 2. Aresztowanie

Po zakończeniu II wojny światowej zamieszkałem u kolegi w Wilnie i rozpocząłem naukę w gimnazjum. Chodziłem do klasy I i pewnego czerwcowego dnia 1947 r. po wyjściu ze szkoły podeszło do mnie i moich rówieśników dwóch policjantów w cywilu. Razem ze mną aresztowali jeszcze 4 kolegów. Przewieziono mnie najpierw na policję do Dziwieniszek na wstępne przesłuchanie a zaraz potem do Sieluk do rodzinnego domu. Tam nie pozwili mi zejść z furmanki i bez mojej obecności przeprowadzili rewizję, podczas której zabrali wszystkie papiery, świadectwa, zdjęcia i niestety znaleźli broń. Nie była ona szczególnie ukryta, nie było takiej potrzeby. Po rewizji wróciliśmy do Dziwieniszek. Na policji spędziłem dwie lub trzy noce. Tam, pamiętam doskonale to nazwisko, przesłuchiwał mnie enkawudzista Rabaszabkin, i bijąc po głowie mówił, *ty ubił naszego bajca*. Nie mogłem się przyznać do winy, bo nie wiedziałem, o co jestem oskarżony. Odpowiadałem tylko, że nikogo nie zabiłem.

Kolejne więzienie znajdowało się w Wilnie. Nie pamiętam lokalizacji, być może był to posterunek milicji, wiem tylko, że znalazłem się w piątym oddziale. Cella była ciemna i wilgotna, a w kącie leżało kilka desek do spania. Patrzyłem zdumiony i nie wierzyłem w to, co widzę i co się dzieje, mimo iż z okresu działalności konspiracyjnej świadomy byłem możliwych zagrożeń.

Nie pamiętam, jak długo tam przebywałem. Pewnie ponad tydzień, w ciemnej piwnicy traci się poczucie czasu, nie wiadomo, czy jest dzień czy noc.

Przesłuchania były nocne, oskarżono mnie i moich kolegów o to, że zastrzeliliśmy ich poborcę podatkowego i starano się torturami wymóc na nas przyznanie się do winy. Na każdym przesłuchaniu słyszałem; *skaži, ubił naszego bajca*, i podsuwali mi kartkę mówiąc *podpishi*. Nie podpisałem żadnego pisma, bo nie zabiłem. Katowali dotkliwie, bili po twarzy, kiedyś nogą od złamanego krzesła otrzymałem silne razy po plecach, nogach, piętach, nerkach a na koniec pistoletem po głowie. Mimo, że mój organizm był młody, ale nie wytrzymał uderzenia i upadłem na podłogę. W celi wylali na mnie wiadro wody i tak zostawili. Z tamtego przesłuchania na głowie pozostały trzy ogromne blizny. Nie potrafię i nie chcę nawet próbować opisywać bólu towarzyszącego biciu, łamaniu palców w ościeżach drzwi, uderzeniom w głowę. Kto tego nie przeżył, nigdy nie uwierzy, że można było przetrwać.

Gdy przesłuchania zostały zakończone przetransportowano mnie do kolejnego więzienia. Tym razem były to Łukiszki, najstarsze na Litwie więzienie, wybudowane jeszcze za czasów carskich. Tak jak było stare tak było straszne. Oprócz więźniów oczekujących na wyrok, znajdowali się więźniowie skazani na karę śmierci. I znów nocne przesłuchania, cele czteroosobowe, ciasno, zaduch, ale chociaż można było nieco porozmawiać.

Rodzina od czasu do czasu przyjeżdżała do mnie, bo na częste kontakty nie dostawała zgody. Wszyscy byliśmy świadomi, że wywiozą mnie na Syberię. Dlatego te spotkania były dla mnie z jednej strony bardzo ważne, bo nie pozwalały poddać się zwątpieniu, wiedziałem, że moi bliscy starają się mnie podtrzymać na duchu a drugiej strony utwierdzały w poczuciu, że ich stracę. O tym, że mogłem nie przeżyć nie myślałem.

Po siedmiu miesiącach pobytu w więzieniu odbyła się rozprawa. Wyrok sądu odczytała przewodnicząca. Za zabicie Rosjanina 15 lat, za *niezakonne chra-niennie arużja* 182 art., czyli nielegalne posiadanie broni 3 lata, za działalność w AK – *bandit* 7 lat. Wszystko zgodnie z ukazem 2.2 i wyszło 25 *lat ucnpawum-ельно-трудо-вых лагеpeў lat trudawych (roboczych) sprawitielnych łagieriej – 25 lat w poprawczym obozie*. Taki sam wyrok otrzymali także moi koledzy.

Po wyroku nie od razu wysłano nas do łagrów. Przez pierwsze tygodnie pracowaliśmy w Wilnie przy budowie elektrowni. Z więzienia na plac budowy w dzielnicy Na Rosie wozili nas więźniarką – takim samochodem z zakratowanymi okienkami zwanym *czarny waranok*. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, a na ogrodzonym drutami terenie przygotowywaliśmy cementowe podłoże pod maszyny przywiezione z Niemiec. Oczywiście przez cały czas byliśmy nadzorowani przez strażników, którym towarzyszyły psy.

Pewnego dnia nie pojechaliśmy do pracy, ale do tzw. *rozsylnego punktu*, z którego więźniów kierowano do łagrów. W tym miejscu znajdowały się dość duże cele dla wielu osób. W takiej ciżbie często dochodziło do konfliktów wywołanych kradzieżą żywności i ubrań. Dokonywali tego najczęściej Rosjanie współpracujący z pilnującymi nas strażnikami. Tworzyły się grupy, których głównym celem było przejęcie dostarczanych przez rodziny paczek żywnościowych. One właśnie były najczęściej powodem do tych bijatyk, które z czasem były coraz bardziej zacięte z obu stron!

W takiej sytuacji dochodziło do konsolidacji Polaków z Litwinami i wspólnie odpierane były ataki. Raz uczestniczyłem w takiej walce. Nie daliśmy sobie odebrać worków z ubraniem, dlatego zaczęła się bójka, a ja niewiele myśląc złapałem szwabkę i skoczyłem na górną pryczę. Miałem bardzo dogodną pozycję do wywijania kijem i wspomagałem swoich w tej trudnej walce. Wygraliśmy, ale to był tylko zwiastun tego co nas czekało w łągrach, rzecz można początek trudnej szkoły życia. Za ten incydent zapłaciłem pobylem w karczerze.

### 3. Obóz w tajdze

Pewnego dnia wyczytano moje nazwisko z równoczesnym rozkazem: *sobierajties s wieszczami*. Skierowany zostałem do grupy osób, które przeznaczone zostały do wywózki. Na dworcu czekały na nas duże, zakryte i zakratowane wagony, było ich około 60 i dwie lokomotywy. Wewnątrz wagonu nie było prycz, a w podłodze widniał tylko otwór na potrzeby fizjologiczne. Rozlokowaliśmy się na podłodze, Jechaliśmy dzień, noc, dzień noc, nie pamiętam ile takich dni i nocy było może 8-10? W początkowym okresie tej podróży w nieznanie zdarzały się ucieczki z transportu. Znajdowali się odważni, którzy różnymi sposobami wykorzystując sprzyjające sytuacje najczęściej przez wycięty otwór w podłodze wagonu pozostawali pomiędzy torami a gdy skład wagonów przejechał uciekali dalej. Później Rosjanie zastosowali takie metody, które skutecznie uniemożliwiały ucieczkę. Raz na dobę dostawaliśmy trochę wrzątku do picia – *kipiatok* i coś, co nazywało się zupą. Wodnista ciecz wlewa na chochlą do jakiś puszek.

I ponownie *rozsylnyj punkt*. Z wagonów wysiadło nas ze 300 osób. Przez pierwsze noce spaliliśmy dosłownie pokotem jeden przy drugim na cementcie. Bez względu na to jakie mieliśmy ubrania, to kładliśmy się grupami, jeden przy drugim, jedno ubranie na cement a przykrywaliśmy się innym ubraniem i ogrzewaliśmy się własnym ciepłem. Ludzi na tym punkcie były tysiące, w tym również kobiety. Na zapytanie strażnika, jaki mam zawód odpowiedziałem, że *plotnik*, czyli cieśla. Przydzielili mnie do grupy skazańców, która miała przygotować w tajdze nowy podobóz i wkrótce obstawą strażników z psami po sformowaniu kolumny wyruszyliśmy. Była późna jesień, zaczęły pojawiać się pierwsze płatki śniegu. Maszerowaliśmy pieszo, nie było żadnej drogi tylko jakieś przesieki, obok nas dostojnie i powoli szły konie obciążone niezbędnymi materiałami i prowiantem. Czasami niektóre konie prowadzili więźniowie. Wędrowaliśmy tak przez tydzień, noce, oczywiście bardzo zimne spędziliśmy pod gołym niebem. Wkrótce dotarliśmy do miejsca przeznaczenia a tam tylko napis – *9 łaguczastek* (przystanek) Był to jeden z licznych podobozów znajdujących się w tajdze ale istniejący tylko w planach. To my swoją pracą mieliśmy go zbudować. Istota łągrów budowanych w lasach syberyjskich polegała na tym, że centralnie znajdował się główny obóz ze wszelkimi wygodami dla nadzorujących, a od niego, najczęściej promieniście znajdowały się mniejsze jednostki w odległości około 50 km. I oto otacza nas dziewicza tajga, należało zatem zbudować ziemianki, ale w pierwszej kolejności dla nadzorujących nas żołnierzy. Kolejność pracy obejmowała karczowanie lasu, wykopanie głębokiego na około 2 m wykopu i przygotowanie budulca do jego zabezpieczenia i zadaszenia ziemianki. Równocześnie kopano rów oddzielający nas od tajgi, który szybko stał się ogrodzeniem z zastrzonych u góry pali. W obu rogach tego ogrodzenia postawiono dwie wieżyczki strażnicze *wyżki*, a gdy przywie-

ziono kolczasty drut zwieńczono nimi pionowo wkopane drewniane bale. Brakujący sprzęt i materiały podwożono końmi lub ciężarówkami.

Ziemiarki dla nas łagierników były długie, nie tak głębokie jak dla strażników, ale na tyle niskie, że trzeba było schylać w nich głowy. Dla około 50 mieszkających osób musiały wystarczyć dwa rzędy prycz umieszczone wzdłuż ziemianki. Jeden rząd na górze, drugi na dole. Udało mi się zająć miejsce na górnej półce, było to nieco cieplejsze lokum. W pierwszych dniach kiedy to zasiedliliśmy te ziemne baraki szczególnie ostro doskwierał nam chłód. Ale rozwiązanie przyszło w porę i nikt w tym czasie nie zamarł z zimna. Były to duże, około 200 litrowe beczki, które wnieśliśmy do naszych ziemianek i pomimo braku komina odprowadzającego dym cieszyliśmy się z rozchodzącego się ciepła. Nieco dymu ulatniającego się przez otwór w dachu wcale, a to wcale w takiej sytuacji nam nie przeszkadzało.

Umiejętność jazdy na nartach nabyta w rodzinnych stronach podczas rozwożenia meldunków pozwoliła mi podjąć, niestety nieudaną próbę ucieczki z obozu. Zimą strażnicy codziennie objeżdżali tereny wokół obozu na nartach a potem stawiali je w jednym miejscu. Byłem jeszcze w pełni sił, obóz był bez zasieków, wykorzystałem więc odpowiedni moment i podwędziłem jedną parę nart. Mocno odbijałem się kijkami od podłoża, a narty sunęły bardzo szybko. Odjechałem z pewnością lekko ponad 100 km, pędziłem po białej pustyni kilka dni, dokładnie nie pamiętam. Padałem spać zmęczony, ale pamiętałem, żeby zanim zasną oznaczyć kierunek, z którego nadjechałem, by po nocnym odpoczynku wiedzieć gdzie dalej jechać. Ucieczki specjalnie nie planowałem, ale byłem przygotowany na taką ewentualność. Miałem zaoszczędzonego trochę chleba, bo odkładałem po kawałeczku i mroziłem, a wystarczyło go przez chwilę potrzymać na mrozie. Przysłuchiwałem się rozmowom różnych ludzi i dowiedziałem się, że w odległości około 300 km jest kolej. Miałem nadzieję, że uda mi się do niej dotrzeć. I plan na pewno bym zrealizował, gdyby nie psy pilnujące obozu. Ich wspaniały węch pozwolił strażnikom podążać moim śladem i w pewnej chwili dopadły do mnie dwie bestie. Chroniłem twarz przed ugryzieniem, gdy tymczasem one bardzo dotkliwie zniszczyły ubranie, ale mnie nie pogryzły. Bardziej poturbowali mnie strażnicy. I taki zmęczony, obolały i przemarznięty wlokłem się za nimi, bo oni jechali na nartach a ja szedłem pieszo. Po powrocie do obozu czekał mnie ciąg dalszy kary, bo postawili mnie przy baraku na dowód, że ucieczki nie są możliwe, bo psy i tak znajdują. Chyba po upływie około roku przeniesiono mnie jako cieślę w Workucie.

#### 4. Workuta

Miasto leżące za kręgiem polarnym na wiecznej zmarzlinie powstało w wyniku pracy więźniów skazanych na przymusową pracę. W ogrodzeniu z drutu kolczastego stały dawno już pobudowane baraki, bo od wielu lat płukano tu złoto i wydobywano węgiel. Więźniów było całe mnóstwo, od razu włączony zostałem do około 300 osobowej grupy zajmującej się przygotowaniem kolejnych sztolni. Nie była to lekka praca, ale wdzięczniejsza niż fedrowanie węgla za pomocą kilofów i łopat i wywożenie go drewnianymi taczkami. Pod kopalnię podjeżdżał transport desek i drzewa, a my stawialiśmy szalunki do określonych wymiarów. Jeśli chodzi o warunki mieszkaniowe to w pierwszym okresie pobytu spaliśmy na gołych pryczach, które nieco później wzbogacone zostały przez zużyte, wojskowe materace.



Podczas mojego pobytu w łagrach republiki Komi, nie pytano mnie o przynależność państwową. A jeśli ktoś był bardzo wścibski podawało się niezgodnie z prawdą miejscowość, a z ulicą nie było żadnych kłopotów, bo przecież w każdym większym mieście znajdowała się ulica Lenina lub Stalina. Tam byliśmy wszyscy jednakowi a ciekawość nie była gwarancją przeżycia.

W Workucie otrzymałem wiadomość z domu, że znaleziono prawdziwych morderców poborcy podatkowego. Mój szwagier, który był dyrektorem mleczarni napisał odwołanie od wyroku skazującego za zabójstwo, którego nie dokonałem i sąd zwolnił mnie z wykonywania 15 letniej kary. Od razu zyskałem inny status, bo pozostawało mi już tylko kilka lat dzielących mnie od wolności, a wiadomo, że w takim okresie nikt nie będzie podejmował ryzykownych zachowań. Czyli nie będę uciekał, ale także nie będę rozrabiał, bo trochę się mnie bano.

### 5. Uchta

Po półtorarocznym rocznym pobycie kolejny łagier, tym razem w tajdze w okolicy Uchty. Po przyjeździe słoczono nas na obozowym placu. Wyszedł naczelnik i odbyła się wymiana zdań. Pytanie: *Wy znajete kuda wy pryjechali?* My więźniowie składnie odpowiadaliśmy: – *No k wam grażdanin naczałnik.* Pytanie: – *Da, kto zdies chazjain?* Odpowiedź: – *No wy naczałnik.* I zakończenie: – *No wot pašuszajti, ja zdies chaziain i miedwied, i bolsze i nikawo niet.* Więcej nie trzeba było mówić, doskonale wszystko zrozumieliśmy. Praca w tajdze była ciężka, najpierw przygotowaliśmy ognisko dla strażników. Ponieważ byłem wysoki nazywali mnie *matyszka*. W naszej grupie był starszy Rosjanin – siedział już 16 lat, nazywaliśmy go Diadja Wania, chyba mnie lubił, bo tak wielokrotnie mnie pouczał; *Ty matyszka nie padchodi k ogniu*, bo wszystko ogrzewa się i mrozi się, a gdy rano wstajesz to w rękę bierz śnieg i nim nacieraj twarz. Nie będziesz miał odmrożeń. Pomimo dostosowania się do rad, nie unikałem odmrożeń. Podobnie jak nie unikałem nieszczęśliwych wypadków. Po ścięciu drzewa, obcięciu konarów i pocięciu na mniejsze 6-10 metrowe odcinki przewoziliśmy je na brzeg rzeki i ustawiali w wysokie sztaple. Zazwyczaj starannie zabezpieczaliśmy je przed zsunięciem. Takie sterty kłód w maju lub czerwcu, kiedy puściły lody spływały do wody i transportowane były rzeką. Podnosiliśmy te bale za pomocą specjalnego haka, pewnego dnia jakimś dziwnym trafem ześlizgnął mi się i spadł na nogę. W rezultacie duży palec u nogi pękł, a trzy kolejne zostały zmiażdżone. W łagrze felczerem był Gruzin, ale nikt do niego nie chodził, zresztą i tak nic by zrobił. Owinąłem całą stopę jakąś szmatką i pomimo bólu szedłem pracować.

Codzienny rytm życia; pobudka, praca, poszukiwanie pożywienia, sen, zakłócały różne wydarzenia. Poznałem izolator, czyli więzienie, a dostałem się do niego niezasłużenie, ale kto zwracał wtedy uwagę na takie szczegóły. Trzeba było tak postępować, aby przeżyć. Mój ojciec wychowując mnie i wprowadzając w dorosłe życie, dawał różne rady. Jak to bywa, jedne wywoływał mój bunt, inne przyjmowałem bez zastrzeżeń. Jedna z takich rad życiowych pomogła mi przeżyć łagry. Mówił; *jesteś młody, silny i wysportowany, pamiętaj abyś nigdy nikomu nie zrobił krzywdy, ale nie pozwól sobie by Ciebie ktoś skrzywdził.* Dlatego świadomy swojej siły nie pozwalałem sobie na bezkarność w stosunku

do mnie, ale też nie szukałem sam guza. Strażnicy dozoru nas nie czuli się wśród takiej masy różnych więźniów bezpiecznie. Byli wśród łagierników i pospolici więźniowie i więźniowie polityczni. Ale potencjalnie każdy z nas mógł nie zwrócić siekiery, piły, noża, którym pracował i wykorzystać je jako narzędzie przeciwko strażnikowi. Dlatego też często w barkach obywateli się rewizje. Podczas jednej z nich pod moim sfatygowanym kożuszkiem, na pryczy strażnik znalazł schowany przez sąsiada nóż. Padło pytanie: – *kowo szuba?* Jak powiedział bym, że sąsiada, obydwaj wyładowalibyśmy w więzieniu. Odpowiedziałem, że moja. *Wychadi!* – krzyknął i tym sposobem zaznajomiłem się po raz drugi z izolatorem.

Nie tylko w obozie, ale także w barakach relacje między więźniami zależały od grup kryminalistów zwanych *urkami*. Byli wśród nich pospolici złodzieje, ale także mordercy skazani za zabójstwa na karę 25 lat. Tworzyli oni odrębne hierarchiczne struktury, które posługiwały się swoimi obyczajami i prawami regulującymi podległość na zarządzanym terenie. Nawet strażnicy w obawie o swoje życie nie do wszystkich prac mogli ich zmusić. I oto pewnego dnia nie wiedząc, że mam do czynienia z jednym z nich, dosyć mocno dochodziłem swoich racji i trochę delikwenta poturbowałem. Na to, że nie ja zacząłem bójkę miałem bardzo dużo świadków. W naszej brygadzie pracował jeden z poważanych *urków*, nazywaliśmy go Karandasz. Pracowało mi się z nim dobrze, a że cieszył się wśród nas dużym autorytetem powiedziałem mu o swojej przygodzie nie spodziewając się, że może mieć ona ciąg dalszy. Wieczorem wpadło do baraku trzech osobników, wiadomo w jakim celu, ale Karandasz po wysłuchaniu przybyłych *urków* nie pozwolił mnie dotknąć. Pobity nie tylko, że odstąpił od zabicia mnie, to jeszcze nie zgłosił się do *san-czasti* (punkt lekarski), dzięki czemu nie znalazłem się w karczerze.

W obozie nie tylko częste były bójki, ale także zabójstwa, niestety byłem świadkiem jednego z nich. Z obozu w Peczorze przywieźli nowych więźniów, wśród nich byli także *urki*. Niewybaczalnym występkiem, którego mógł się dopuścić *urka* była współpraca z nadzorcami więźniów. W żargonie obozowym takiego *urkę* nazywano „suką” i jego los był przesądzony. Wśród przybyłych więźniów z łagru w Peczorze był taki donosiciel. Nocą, na moich oczach bandyci ugodzili kilka razy nożem winowajcę i spokojnie, cicho wyszli z baraku. Wiadomo, że nic nie widziałem i nie słyszałem, bo spałem. Co się z nimi stało, nie wiem, może zostali wywiezieni do innego łagru.

Kolejne lata pobytu w obozach były coraz trudniejsze. Ludzie umierali z głodu i chłodu. Ja także dotkliwie odczuwałem brak pożywienia. Zabierali nas pełnych sił a po kilku latach byliśmy chodzącymi ludzkimi wrakami. Ważyłem 48 kg, ja chłopak o wzroście 183 cm. I jak tu wypracować normę, od której zależała wielkość chleba i posiłku. Bez chleba nie można było prawidłowo funkcjonować. Wodnista zupa – *bałanga*, czasami pływał w niej jakiś strzęp ryby – mięsa nie widziałem nigdy, nie dostarczała prawie żadnych składników energetycznych. Ziemniaki były suszone, więc podawano nam rozparzone, taką szarą breję. Późną wiosną i latem wspomagała nas tajga. Gdy tylko pojawiały się pierwsze ekipy w lesie, to nie bacząc na kąsania komarów i meszek zagłębialiśmy się w tajgę w poszukiwaniu pożywienia. Byliśmy wspaniałymi specjalistami rozpoznającymi jadalne gatunki roślin. W mig znikwały moroszki

(podobne do truskawek), pokrzywy, lebioda, *iwana czar* czyli rosyjska odmiana wierzbowki oraz tzw. *pichta* czyli miąższ z jodły syberyjskiej.

Pracowałem w różnych miejscach, np. przy wyrębie lasu, budowie drogi, baraków mieszkalnych. I właśnie podczas budowy baraku z drewnianych bali, które przygotowywałem do zamocowania, ześlizgnęła mi się siekiera i zamiast w drewno uderzyła w moje kolano. Rozciąłem go solidnie, ale pocieszałem się, że mogło być gorzej, gdyby siekiera zniszczyła rzepekę. Na krwawiącą ranę przyłożyłem prowizoryczny opatrunek z dostępnych materiałów i czekałem na zrośnięcie, które niestety nie było już takie szybkie. Brak witamin i niedożywienie odbiły się na odporności organizmu.

## 6. Peczora

Kolejnym łagrem do którego mnie przewieźli była Peczora. Warunki do mieszkania, jeśli można je tak nazwać, były nieco lepsze, nadal spaliśmy na pryzkach w barakach, ale już na materacach wypełnionych słomą lub sianem. W początkowy okresie pobytu przydzielono mnie do brygady, której zadanie polegało na zbudowaniu osiedla z domków fińskich. Były to parterowe, dwupokojowe mieszkania wykonane z desek i przeznaczone dla rodzin strażników a także osób zwolnionych po odbyciu kary, które nie wracały w rodzinne strony tylko pozostawały w obozie jako wolni pracownicy.

Przygotowanie terenu oznaczało w pierwszym etapie wykarczowanie określonego kawałka tajgi. Była zima i dodatkowym utrudnieniem był zalegający śnieg, który należało usunąć. Pracowaliśmy pod okiem *proraba*, czyli takiego technika czy inżyniera, który nie tylko nadzorował przebieg prac, ale prowadził ewidencję wykonanych czynności, dzięki czemu mogliśmy otrzymać zapłatę – *chozraszczot*. Często koledzy z mojej brygady mówili do mnie: *Franz idi do proraba i razgawarywaj s nim, skolka my siewodnia sdietałi raboty*”, np. ile pni wykarczowaliśmy, jaką objętość, ile śniegu wywieźliśmy.

Po wytyczeniu miejsc, na których mamy stawać domki mogliśmy wchodzić z kolejnymi pracami. Teraz czekało na nas najgorsze zajęcie związane z postawieniem pali. Ziemia była głęboko zamrznięta, dlatego paliliśmy ogniska starając się nieco rozmrozić ziemię a dopiero później w ruch szły łomy i kilofy. Łopaty do tej pracy się nie nadawały. Kopaliśmy dół na głębokość 100- 120 cm i wbijali zastrzone drewniane pale wcześniej opalone nad ogniem, który lepiej niż smoła konserwował drewno. Po ich obsypaniu wybraną ziemią i różnym dostępnym materiałem budulcowym znajdującym się w zasięgu obozu powstawał las wystających z ziemi pali. Na nich, z kolejnego drewnianego budulca, budowaliśmy platformę znajdującą się około pół metra nad powierzchnią gleby. I dopiero na niej możliwe było postawienie domku. Ściany, które stawialiśmy wykonane były z dwóch warstw desek, zewnętrznych i wewnętrznych, pomiędzy nie wkładaliśmy izolację, najczęściej były to trociny, mech, kora z drzew. Podłoga również była dwuwarstwowa. Wszystkie elementy otrzymywaliśmy gotowe, nasza praca polegała tylko na ich montowaniu, w składzie też były krokwie na dach. Często wykonywaliśmy otwór w podłodze, który po schodach prowadził do piwnicy wykopanej w ziemi. W takim domku znajdowały się najczęściej dwa pokoje z oddzielną kuchnią i pomieszczenie dodatkowe z przeznaczeniem na łazienkę.

Wiadomość o śmierci Stalina zastała mnie przy budowie komina. Aby go postawić najpierw należało zrobić głęboki wykop pod cementowy postument. I właśnie tego dnia, z tej jamy w ziemi po informacji, że Stalin nie żyje wydobło się gromkie hurra. Musiało brzmieć bardzo głośno, radośnie wyraźnie i jakoś chyba groźnie, bo nagle nad nami pojawili się skośnoocy strażnicy – *Matczy, bo zastrelu*. Wiedzieliśmy, że oni boją się o swoją przyszłość, ale my także nie wiedzieliśmy, co będzie dalej.

Kolejne dni nie przyniosły żadnych odczuwanych przez więźniów zmian, nadal trwała ciężka praca, małe racje żywnościowe. Po krótkiej euforii nastąpił powrót do codzienności wyznaczonej przed laty, ale powolutku do obozowego życia zaczęły przenikać pewne udogodnienia, np. dotyczące odzieży. Otrzymaliśmy to, co nie nadawało się już w wojsku, czyli kufajki, spodnie, które nie wymagały wielkiego cerowania, a nawet na lato używane trzewiki. A że rozmiary nie pasowały, kto by sobie tym głowę zawracał. Cieszyliśmy się z każdego przejawów cywilizacji docierających do obozu. Takim np. był *łarok* – kiosk, zwykła budka, do której przywożono tylko chleb. Można go było kupić za pieniądze, które otrzymywano po wykonaniu roboczych norm i odliczeniu wydatków, jakie ponosił gułag na nasze utrzymanie. Gdyby nie śmierć Stalina o takiej możliwości nie można byłoby nawet pomarzyć. Nadal jednak nic nie zrobiono z bezprawiem panującym wśród więźniów. Duża część łagierników nosiła przy sobie noże, ja także. Ale nie zawsze można było się uchronić przed atakiem złodziei i zwykłych bandytów. Sam tego doświadczyłem w momencie, gdy wracałem z kolegą Witkiem z Baranowicz z zakupionym w kiosku chlebem. Zostałem zaatakowany przez dwóch Rosjan, którzy chcieli mi go wyrwać, zaczęliśmy się szamotać, trochę chleba się zniszczyło, ale cały czas mocno go trzymałem. W pewnej chwili jeden z napastników wyciągnął nóż i ugodził mnie w brzuch. Zdążyłem jednak zasłonić się przed ciosem kufajką, którą miałem na rękę. Uderzenie było jednak bardzo silne, ból i cieknąca krew obudziły we mnie taką wściekłość, o którą nigdy bym się nie posądzał. Rzuciłem się do walki, młóciłem rękoma zbirów po całym ciele, w afekcie wyciągnąłem nóż i zrobiłbym z niego użytek gdyby nie zdrowy rozsądek kolegi. Złapał mnie za rękę i krzyknął: – Co robisz, chcesz aby cię wysłali do „reżimnego”? Oprzytomniałem momentalnie, znaczyło to dla mnie kolejne lata w łagrze o zaostrowym rygorze. Gojenie rany, z której w późniejszych latach wytworzyła się przepuklina (usunięta już w Elblągu), przebiegało nieco dłużej niż zazwyczaj się to dzieje, ale dzięki Witkowi możliwe było w ogóle jej wygojenie. Ten incydent miał miejsce parę miesięcy przed jego zwolnieniem z łagru. Jako zdun miał możliwość opuszczania obozu, bo stawiał piece okolicznym mieszkańcom, którzy często płacili za pomocą jedzenia. Witek solidarnie się nim ze mną dzielił i dlatego miałem trochę więcej sił i szybciej wracałem do zdrowia.

Przez siedem miesięcy pracowałem w tartaku na nocną zmianę. Praca nocą była bardzo ciężka i wyczerpująca. Byłem bardzo zmęczony, wychudzony, bolały mnie wszystkie mięśnie, jeszcze nie miałem objawów związanych z kurzą ślepotą, zawrotów głowy i schorzeń kwalifikujących mnie do określenia *dochodiaga*, czyli na wykończeniu. Ale ta granica była bardzo blisko. I wtedy dowiedziałem się, że jest jakiś przepis mówiący o tym, że nie wolno pracować na nocnej zmianie dłużej niż pół roku. Na skrawku papieru napisałem prośbę

o przeniesienie mnie do innej brygady. Oczywiście moją prośbę zbagatelizowano. Sytuacja patowa, jeśli nic się nie zmieni, umrę. Podjąłem decyzję o strajku polegającym na głodówce. Wsadzili mnie do celi, pamiętam nazwisko strażnika – Bykow, który mnie odprowadzał. Zapytał: *Staniul, czto ty dielasz? Ty tam padochniosz*. Ale mnie już było wszystko obojętne. Przyszli po mnie po siedmiu dniach i oznajmili, że jestem wolny i przeniesiony do innej brygady, ale najpierw wzięli mnie do *sanczasti* (punktu lekarskiego). Tam mnie zbadano, nieco podkarmiono i skierowano do Kotłas, do brygady, która wozila prowiant z głównego łagru do podobozów.



Dokument potwierdzający pobyt na Syberii

### 7. Kotłás

Praca nie była ciężka, ale jakże opłacalna, zawsze znalazło się coś do zjedzenia. Jednak musieliśmy uważać, co prawda, nie było już przy nas wartowników z psami, ale byliśmy bacznie pilnowani przez strażników z bronią i dużo ryzykowaliśmy podkradając z transportu trochę mąki lub suszone ziemniaki. Sposobów na ten proceder było dużo, ale musieliśmy działać w wielkiej tajemnicy. Takie kolektywne działanie dotyczyło np. śledzi, które były przewożone w wielkich beczkach. Mimo, iż były solone, nie wytrzymały syberyjskich mrozów i także zamarzały. W dogodnych warunkach odginaliśmy dno i wyrzucaliśmy ryby w śnieg. Każdy z nas obowiązkowo przechodził kontrolę, strażnik dokładnie nas obmacywał i nie mogliśmy ich przemycić pod ubraniami, dlatego przechodziliśmy przez bramę zwartą grupą i korzystając ze sztucznie czynionego tłoku, nogami przesuwaliśmy w śniegu poszczególne tuszki śledzia, którymi później dzieliliśmy się sprawiedliwie.

Odbywałem wyznaczoną przez sąd karę już siódmy rok, gdy dowiedziałem się, że w obozie jest człowiek, który zajmował się obserwacją więźniów i sporządzał notatki dotyczące sprawowania, staranności wykonywanej pracy. Kolega Witek powiedział mi o tym dodając, że jestem przeznaczony do zwolnienia. Nie bardzo w to wierzyłem, ba, nawet się nad tym nie zastanawiałem. Upłynęło pół roku, gdy pewnego dnia wezwano mnie do komendantury obozu i poddano pytaniom np. jak będę się zachowywać po zwolnieniu, gdzie planuję zamieszkać itp. Zaświtała nadzieja, że może Witek ma rację, ale szybko głos rozsądku przemówił, że może to być jakaś prowokacja, bo NKWD nie odpuszcza. Kolejne dni upływały na rutynowej pracy, aż tu wpada Witek i mówi, że u *naradczyka* jest lista do zwolnienia z obozu i na niej znajduje się na niej moje nazwisko – Staniul Franz Iwanowicz. Opanowałem emocje i poszedłem sprawdzić listę, tak, byłem na niej, w głowie mętlik, najchętniej skakałbym i krzyczał z radości. Ale lista listą, wierzyć nie można, bo decyzja należała do naczelnika, zatem kolejne dni niepewności, ale okraszone już nadzieją. I oto wzywają mnie do komendantury, major informuje mnie, że jestem wolny. Następnego dnia przyszedł *nadzieratiel* i powiedział: *Sobierajties swoje wieszczki jediesz damoj*. Jakie rzeczy!!!, ale tak naprawdę byłem przygotowany, bo od kolegi dostałem marynarską koszulkę, a od naczelnika kufajkę, buty brezentowe i ciepłe onuce. Gdy tylko wyprowadzili mnie poza obóz, powiedziałem: *Do swidania*, i nie oglądając się za siebie wsiadłem do sań z jednym z brygadzi- stów, u którego z resztą zanocowałem. Namawiał mnie, abym został, zamieszkał w domku fińskim i jako już wolny człowiek pracował, bo pracy było dużo, a perspektywy rozwoju duże. Wciąż nie wierzyłem, że byłem wolny i mogłem jechać od razu do Polski.

Wybrałem jednak powrót w rodzinne strony, które należały już do ZSRR. Bardzo chciałem zobaczyć mamę, siostry. Na przejazd otrzymałem parę rubli, które miały wystarczyć na bilety. Niestety, nie czekałem na połączenie kolejowe do Wilna, tylko wsiadłem do najbliższego pociągu, byle dalej od łągrów, byle bliżej do domu. Jechałem odcinkami, i wkrótce przekonałem się, że pieniędzy mi zabraknie. Jak nie wystarczy, co za różnica czy brakujemy 5 rubli czy 50. Poszedłem do sklepu i kupiłem sobie normalne spodnie i niebieską koszulę. A później wykorzystywałem zwolnienie z obozu pokazując je kontrolerom z komentarzem, że nie dostałem wystarczającej kwoty na powrót.

### 8. Ponownie Sieluki

Dotarłem do domu, wszedłem bez pukania i mówię: *Zdrastie*. Domownicy patrzą na mnie, a ja stoję przed nimi w kufajce, bo dotarłem na Nowy Rok, w czapce naciągniętej na uszy, ale nie rosyjskiej, tylko sprezentowanej przez jakiegoś więźnia, z drewnianą walizeczką, taki *czemodańczyk*, a w nim kupiona po drodze koszula. Gdy zdjąłem czapkę pierwsza rozpoznała mnie siostra. Jak do mnie doskoczyli, siostra, mama, sąsiad, radość przeogromna. Po krótkiej rozmowie, obowiązkowa kąpiel i poszedłem spać do normalnego łóżka. To był raj. Nie dane jednak było mi się wypaść do woli, następnego dnia już wszyscy w okolicy wiedzieli, że Franek wrócił z Syberii. Rano przyszła do mnie córka Kiełdanowicza z zapytaniem czy nie spotkałem jej ojca. Zobaczyłem przed sobą piękną dziewczynę, nie poznałem jej, bo siedem lat temu była jeszcze dzieckiem. Niestety drogi jej ojca i moje nie skrzyżowały się. Opowiedziałem o bezmiarze Syberii, o rozsianych obozach. Dałem nadzieję, że może powróci.



Polski dokument repatriacyjny

Po kilku tygodniach odpoczynku należało pomyśleć o przyszłości, która nie rysowała się różowo. Nasze gospodarstwo nie istniało, włączone zostało do kołchozu, a mamie pozostawiono tylko około 60 arów ziemi. Po moim aresztowaniu dla Sieluk nastąpiły dla nich także trudne czasy. Kto nie chciał iść do kołchozu i nie oddał ziemi dobrowolnie zmuszany był siłą i zastraszanym. Na kogo padło jakiegokolwiek podejrzenie był deportowany w głąb ZSRR. Nie mogłem być zameldowany w Wilnie, nie mogłem także znaleźć pracy. Po długich poszukiwaniach znalazłem rozwiązanie, zacząłem handlować na targu mięsem. Powoli gromadziłem niezbędne zasoby finansowe, aby móc rozpocząć nowy etap życia. Był nim przyjazd do Elbląga.

---

---

## KRONIKA

- **„OPERACJA POLSKA” NKWD 1937-1938.  
WYSTAWA CZASOWA MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU**

11 sierpnia 2017 r. minęło 80 lat od momentu wydania rozkazu nr 00485 skazującego na aresztowanie ponad 140 tysięcy, a na śmierć 110 tysięcy Polaków mieszkających na terenie Związku Sowieckiego. W tym dniu Muzeum Pamięci Sybiru po raz pierwszy zaprezentowało zwiedzającym ekspozycję plenerową poświęconą zbrodni NKWD. W tym dniu Białystok stał się centrum obchodów tragicznej rocznicy „operacji polskiej” wołającym o upamiętnienie ofiar zbrodni sowieckiej.



Otwarcie wystawy na Rynku Kościuszki w Białymstoku w dniu 11 sierpnia 2017 r.  
Od lewej: Robert Tyszkiewicz – poseł na Sejm RP, dr hab. Wojciech Sleszyński – dyrektor Muzeum Pamięci Sybiru, Rafał Rudnicki – zastępca Prezydenta Miasta Białegostoku, Tadeusz Chwiedź – prezes Oddziału Związku Sybiraków w Białymstoku, prof. dr hab. Mikołaj Iwanow – historyk.

Represyjne działania Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych (NKWD) ZSRS z lat 1937-1938 należą do słabo rozpoznanych problemów dwudziestowiecznej historii. Z perspektywy polskiego czytelnika przez lata traktowano te wydarzenia jako obce i toczące się we wschodnim „imperium



zła”. Dopiero po 1989 r. coraz częściej zwracano uwagę na „operację polską” NKWD jako początek masowego terroru politycznego w ZSRS.

Tytuł wystawy skonstruowano z powszechnie używanego określenia „operacja polska NKWD” oraz ram chronologicznych wydarzenia. Pierwszy człon tytułu jako eufemistyczny i stworzony przez samych oprawców może wydawać się dyskusyjny. Zamiarem autorów było jednakże użycie nazwy funkcjonującej już w języku potocznym i oficjalnym. Określenie „operacja polska” zostało wprowadzone do dyskursu naukowego przez historyków rosyjskich na początku lat 90. XX w. i zakorzeniło się w tej formie na gruncie polskim.

Autorzy wystawy podjęli się zadania stworzenia merytorycznego opisu wydarzeń lat 1937-1938 i jego graficznej interpretacji w oparciu o dostępną ikonografię. Opisy zilustrowano zdjęciami archiwalnymi, jak i współczesnymi, grafikami z prasy okresu międzywojennego, broszurami, fragmentami podręczników szkolnych z lat 30., mapami oraz dokumentami. Wśród zgromadzonych materiałów autorzy dokonali selekcji, pozwalającej na syntetyczne przedstawienie genezy „operacji polskiej” na 16 planszach.

Narrację rozpoczyna opis wojny polsko-bolszewickiej. Pierwsze walki rozegrały się już wczesną wiosną 1919 r. Sukcesy armii polskiej, zwłaszcza na odcinku północno-wschodnim, umożliwiły objęcie zajętych terenów działalnością Zarządu Wojskowego Kresów Wschodnich, który w kolejnych miesiącach został przekształcony w Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich. W tworzącej się wówczas nowej administracji polskiej pojawił się konflikt pomiędzy zwolennikami inkorporacji ziem kresowych do państwa polskiego, a stronnikami federacji. Władze polskie miały trudności z pozyskaniem przychylności części mieszkańców miast i miasteczek kresowych. Z punktu widzenia miejscowych społeczności, był to kolejny etap trwającej od kilku lat wojny – po wojskach rosyjskich, niemieckich, bolszewickich przyszła administracja polska, która nie zawsze wypadała lepiej niż wcześniejsi okupanci.

Latem 1920 r. sytuacja na ziemiach kresowych zmieniła się diametralnie. Armia Czerwona przystępując do kontrofensywy, chciała nie tylko pokonać państwo polskie, ale przede wszystkim przenieść ideę rewolucji bolszewickiej na zachód Europy. Na zajętych terenach władza bolszewicka rozpoczęła tworzenie nowych struktur administracyjnych opartych na chłopskich radach. W miastach powoływano komunistyczne komitety miejskie. Władze bolszewickie przystąpiły do budowy podstaw przyszłej komunistycznej republiki polskiej. W Białymstoku powołano Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski (w ramach wystawy poświęcono mu odrębną planszę). Wydawało się, że los państwa polskiego jest przesądzony. Szalę zwycięstwa na korzyść Polski przeżyła bitwa warszawska (12-25 sierpnia 1920 r.). Rozpoczęła ona ponowny marsz wojsk polskich na Wschód. Po wyparciu wojsk bolszewickich i zajęciu ziem wschodnich władze polskie niezwłocznie przystąpiły do odbudowy administracji.

Zmagania militarne zakończono podpisaniem umowy o preliminaryjnym pokoju i rozejmie pomiędzy Rzeczpospolitą Polską, a bolszewicką Rosją i Ukrainą (12 października 1920 r.). Pertraktacje rozpoczęto w Mińsku, a następnie przeniesiono je do Rygi, gdzie zostały sfinalizowane. W trakcie rozmów po stronie polskiej przewagę osiągnęli zwolennicy koncepcji inkorpo-

racyjnej. Plansza zawierająca przedruk „Traktatu pokoju między Polską a Rosją i Ukrainą podpisanego w Rydze dnia 18 marca 1921 roku” wskazuje postanowienia traktatu.

W wyniku ustaleń traktatu pokojowego, zarówno w ukraińskiej, jak i w białoruskiej republice socjalistycznej, pozostała duża grupa ludności polskiej. Według spisu z 1926 r. w USRS mieszkało 496 tys. Polaków, a w BSRS 97 tys. W całym Związku Sowieckim spis ten wykazał 782 tys. Polaków. Prawdopodobnie faktyczna liczba była jeszcze wyższa.

Polacy na Ukrainie i Białorusi, podobnie jak i przedstawiciele innych mniejszości, stali się częścią wewnętrznej polityki Związku Sowieckiego. Lokalne władze partyjne na Żytomierszczyźnie (USRS) już w 1925 r. powołały Polski Rejon Narodowy im. Juliana Marchlewskiego. Centrum rejonu zostało zlokalizowane w miasteczku Dołbycz, które na „prośbę” polskich mieszkańców otrzymało nazwę Marchlewsk. Na Białorusi formalną decyzję o powołaniu Polskiego Rejonu Narodowościowego im. Feliksa Dzierżyńskiego w Kojdaniewie (przemianowanym na Dzierżyńsk) wydano dopiero 15 marca 1932 r.

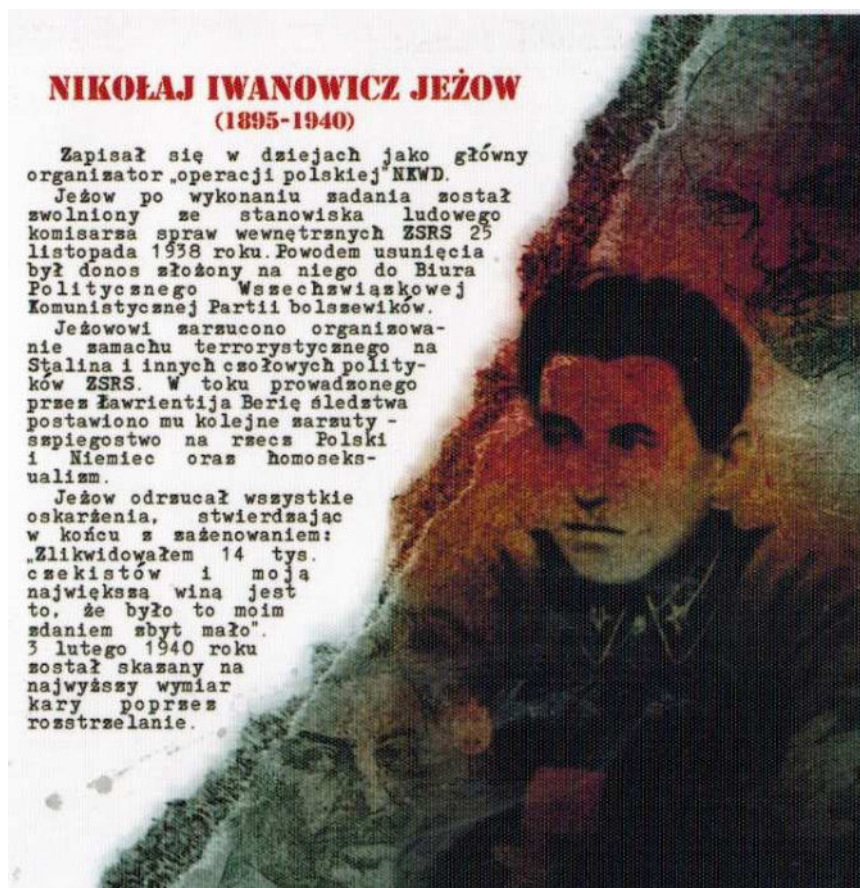
Celem funkcjonowania polskich rejonów autonomicznych była indoktrynacja komunistyczna miejscowej ludności i przygotowywanie kadr partyjnych, które mogłyby być wykorzystane w przypadku agresji na Polskę. Rozwijano oświatę w języku polskim, wydawano gazety, czasopisma i książki. Z języka polskiego usunięto główne zasady ortograficzne, by zatrzeć jego ziemiańsko-burżuazyjny charakter. Dbano, aby przekazywane treści miały wyłącznie charakter ideologiczny. Szkalowano dokonania niepodległej Polski, przeciwstawiając jej rzekomo pozytywny obraz Związku Sowieckiego.

W kolejnych latach, wraz ze zmianą polityki wewnętrznej w państwie komunistycznym, projekt „polskiego eksperymentu” modyfikowano w kierunku maksymalnej izolacji od odrodzonego państwa polskiego. Miał powstać zupełnie nowy, czysty ideologicznie naród, który w przyszłości byłby przeniesiony na ziemię polskie. Przykłady indoktrynacji ukazano na planszy „Bastion Komunistycznego Polaka” i „Komunistyczna prasa polskojęzyczna”. Prezentowany powszechnie w prasie polskojęzycznej stereotypowy obraz wroga: Polaka-szlachcica, zwieńczony był opowieściami z dziejów najnowszych, głównie wojny polsko-bolszewickiej. Polacy byli przedstawiani jako najwięksi wrogowie młodego państwa socjalistycznego, a Polska jako republika „burżuazyjna” i „narzędzie” w ręku wielkich potęg europejskich.

Podpisanie przez Polskę paktu o nieagresji z Niemcami zostało odebrane przez Moskwę jako preludium do przyszłego wspólnego ataku na Związek Sowiecki. W nowej rzeczywistości politycznej ludność polska, która do tej pory miała stanowić forpocztę nowej ideologii, stawała się zagrożeniem dla istnienia państwa komunistycznego. Struktury NKWD rozprzestrzeniały fikcyjną informację o istnieniu na terenie ZSRS siatki wywiadowczej Polskiej Organizacji Wojskowej.

11 sierpnia 1937 r. szef NKWD Nikołaj Jeżow wydał specjalny rozkaz nr 00485, o „całkowitej likwidacji siatek szpiegowskich Polskiej Organizacji Wojskowej”. Wyimaginowanych współpracowników POW widziano w każdym Polaku i nie tylko. Aresztowani byli dzieleni na dwie kategorie pod względem stopnia stwarzanego zagrożenia. Zaliczeni do pierwszej kategorii mieli zostać

skazani na śmierć przez rozstrzelanie, w przypadku drugiej grupy zakładano ich uwięzienie w poprawczych obozach pracy na okres od pięciu do dziesięciu lat. Razem z Polakami zabijano też Ukraińców, Białorusinów, Żydów, Łotyszy, Litwinów. Miejsca masowej kaźni zapełniły się dołami z bezimiennymi ofiarami. W Związku Sowieckim pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Polski aresztowano wówczas 350 tys. (w tym 144 tys. Polaków), z czego ponad 247 tys. rozstrzelano (w tym 110 tys. Polaków).



Nikołaj Iwanowicz Jeżow (1895-1940)  
zapisał się jako główny organizator „operacji polskiej” NKWD.

Wykonanie tzw. operacji polskiej zostało powierzone strucom NKWD. Procedura typowania i aresztu była powtarzalna. Funkcjonariusze lokalnych organów NKWD na podstawie donosu, własnej obserwacji, a nie rzadko jedynie polskiego brzmienia nazwiska, aresztowali daną osobę. Podczas pobieżnie prowadzonego śledztwa, wykorzystując tortury, zmuszali do przyznania się do zarzucanych czynów – zwykle działalności szpiegowskiej lub kontrrewolucyjnej. W toku przesłuchań „odkrywano”, że zatrzymany jest uczestnikiem większego spisku, co powodowało aresztowania kolejnych osób, np. członków rodziny, czy sąsiadów. Zebrany materiał dotyczący od kilkudziesięciu

sięciu do kilkuset osób w postaci tzw. albumu wysyłano do Moskwy do zatwierdzenia. Często stosowano także uproszczone procedury, wówczas sąd i ogłoszenie wyroku odbywały się w ciągu jednego dnia.

Sylwetki sześciu zbrodniarzy szczegółowo opisano w katalogu do wystawy. Na planszach wystawienniczych pojawił się tylko jeden wizerunek (splamiony czerwienią krwi) – Nikołaja Jeżowa. To on jako Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych ZSRS przesądził swoim podpisem o losie „polskich szpiegów i członków powstańczo-dywersyjnych organizacji”, „przybysz z Polski, niezależnie od czasu przyjazdu do Związku Sowieckiego”, „polskich emigrantów politycznych”, „członków PPS i innych organizacji antysowieckich”, a także „najbardziej aktywnych działaczy narodowych w polskich rejonach autonomicznych”.



Na mocy ustawy o repatriacji z dnia 9 listopada 2000 r. powróciły do Polski z Kazachstanu siostry Julia Jabłońska i Anna Święcicka wraz z rodzinami.

Plansza pt. „Zagłada syberyjskiego Białegostoku” opisuje realizację zbrodni poprzez przykład syberyjskiej wioski (w obwodzie tomskim). Na fali decyzji Nikołaja Jeżowa już w sierpniu 1937 r. rozpoczęły się pierwsze aresztowania

w tej polskiej osadzie. Apogeum nastąpiło jednak dopiero mroźną nocą z 11 na 12 lutego 1938 r., kiedy to w ręce NKWD dostała się większość białostockich mężczyzn. Przez dziesiątki lat ich los pozostawał tajemnicą. Dopiero w latach 70. XX w. podczas prac budowlanych odkryto w pobliżu Kołpaszewa zbiorową mogiłę osób pomordowanych w okresie Wielkiego Terroru. Wśród nich najprawdopodobniej znajdowały się także zwłoki białostoczan.

Częścią akcji przeprowadzonej przez służby NKWD stały się także zesłania na Syberię i do Kazachstanu. Polskie Rejony Narodowe stały się zagrożeniem, podobnie jak Polacy zamieszkujący obszar przygraniczny. Należało zatrzeć ślady po „polskim eksperymencie”. Już w październiku 1935 r. decyzją władz ukraińskich rozwiązano Polski Rejon Narodowościowy im. J. Marchlewskiego. Trzy lata później zlikwidowano również Polski Rejon Narodowy im. F. Dzierżyńskiego na Białorusi.

Znaczną część ludności zamieszkującej Marchlewszczyznę i Dzierżyńszczyznę przesiedlono do Kazachstanu. Szacuje się, że w latach 1936-1938 zesłano tam około 60 tys. Polaków, z których większość nie powróciła do swoich poprzednich miejsc zamieszkania. Ich potomkowie do dziś stanowią najliczniejsze grono wśród kazachstańskiej Polonii.

Przykładem losów osób deportowanych z Polskiego Rejonu Narodowego im. J. Marchlewskiego jest rodzina Jabłońskich, zamieszkująca do 1936 r. we wsi w rejonie wołoczyskim. Historię wywózki i życia w trudnych kazachstańskich warunkach opowiedziały pracownikom Muzeum Pamięci Sybiru Julia i Anna - córki zesłanych Stanisławy i Bolesława Jabłońskich:

„Na zsyłkę trafili dziadkowie i rodzice. Przyszedł ktoś z Sielsowietu i powiedział, że mają 24 godziny na spakowanie i jadą na Syberię. Zebrali ich w budynku gminnym, ogolili na tyso, bez względu na to, czy była to kobieta czy mężczyzna. Dzieci tak samo. Wsadzili ich do bydłych wagonów i jechali prawie cały miesiąc”.

Rodzina Jabłońskich, podobnie jak setki innych przesiedlonych wówczas do północnego Kazachstanu, czekała dziesiątki lat na powrót do Polski. Państwo polskie upomniało się o nich dopiero na początku lat 90. XX w. Rozpoczęto wówczas starania o uregulowanie zasad repatriacji zwłaszcza w stosunku do osób narodowości polskiej i pochodzenia polskiego, które zamieszkiwały tereny byłego Związku Sowieckiego.

Dzięki zaangażowaniu organizacji niosących pomoc ludności polskiej na Wschodzie dnia 9 listopada 2000 r. uchwalono ustawę o repatriacji. W ramach repatriacji przyjechało do Polski już ponad 5 tys. osób. Korzystając z możliwości, jakie dała przyjęta przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej Ustawa, rodziny Julii i Anny zdecydowały się na wyjazd do Polski. Po kilku latach starań, w 2005 r. otrzymały wizę repatriacyjną umożliwiającą powrót do kraju i otrzymanie polskiego obywatelstwa. Repatrianci przybyli początkowo do niewielkiej wsi Orlikowo w gminie Jedwabne, skąd przeprowadzili się do Białegostoku.

Autorom realizującym wystawę towarzyszyła idea upublicznienia lokalnego świadectwa „operacji polskiej” oraz upamiętnienia ofiar represji NKWD z lat 1937-1938 w związku z 80. rocznicą podpisania zbrodniczego rozkazu. Ekspozycja to także efekt realizacji misji Muzeum Pamięci Sybiru, którą jest upowszechnianie wiedzy związanej z tematyką zesłań, deportacji i losów Polaków na Syberii oraz dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej.

Wystawę można było oglądać do końca września 2017 r. na Rynku Kościuszki w Białymstoku. W kolejnych miesiącach odbędą się warsztaty i zajęcia plastyczne dla młodzieży poświęcone wystawie w Muzeum Pamięci Sybiru. W związku z przypadającą w bieżącym roku 80. symboliczną rocznicą wydania rozkazu 00485, wystawa cieszy się zainteresowaniem organizacji oraz instytucji kultury w Polsce. Wystawa została przetłumaczona na język rosyjski i aktualnie jest eksponowana poza granicami kraju. Wystawie „Operacja polska” NKWD 1937-1938 towarzyszy:

- katalog „Operacja polska” NKWD 1937-1938
- seria 5 filmów edukacyjnych poświęconych „operacji polskiej” w ramach cyklu „KADRY HISTORII” emitowanych co tydzień od 7 lipca do 11 sierpnia 2017 r. (dostępne na stronie sybir.bialystok.pl)
- wykład prof. Mikołaja Iwanowa w Muzeum Pamięci Sybiru – 10 sierpnia 2017 r.
- happening w przestrzeni miejskiej na Rynku Kościuszki – 10 sierpnia 2017 r.
- warsztaty dla młodzieży w Centrum Edukacyjno-Wystawienniczym (1. Kraj Rad, czyli o co chodzi z sierpem i młotem – ok. 1 h; 2. Ich tragiczne losy – o „operacji polskiej” NKWD – ok. 1 h) – od września 2017 r.
- zajęcia plastyczne dla dzieci i młodzieży w Centrum Edukacyjno-Wystawienniczym („Plakatuujemy” – zajęcia z projektowania plakatu) – od września 2017 r.

**Autorzy wystawy:** Bogusław Kosel, Monika Szarejko, Wojciech Śleszyński

**Koordinator wystawy:** Monika Szarejko, tel. 795 650 811,

e-mail: m.szarejko@sybir.bialystok.pl (informacje, wypożyczenia wystawy)

**Muzeum Pamięci Sybiru**

**ul. Henryka Sienkiewicza 26**

**15-092 Białystok**

tel. +48 795 650 800

sekretariat@sybir.bialystok.pl

sybir.bialystok.pl

*Monika Szarejko*

## • Z ŻYCIA MUZEUM KATYŃSKIEGO – ODDZIAŁU MARTYROLOGICZNEGO MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

**Muzeum Katyńskie** – Oddział Martyrologiczny Muzeum Wojska Polskiego, jest placówką martyrologiczno-muzealno-badawczą dokumentującą zbrodnię popełnioną na około 22 tys. jeńców przetrzymywanych w latach 1939-1940 w sowieckich obozach i więzieniach. Decyzją Biura Politycznego WKP(b) z dnia 5 marca 1940 r. zostali oni zgładzeni w okresie od kwietnia do czerwca 1940 r. Ponad połowę zamordowanych stanowili rezerwiści: profesorowie, nauczyciele, lekarze, prawnicy, duchowni, poeci, politycy. W „dołach śmierci” znalazły więc swój kres genealogie rodzin ważnych dla historii Polski, potomkowie uczestników powstań narodowych, nosiciele wartości patriotycznych – „warstwa polskich przywódców duchowych”.

W ogromnej skali zbrodni, władze starały się nie tylko wymordować obywateli polskich nie rokujących nadziei na współpracę, ale też doprowadzić do zaniku pamięci o zbrodni. Represjonowani byli wszyscy zdolni do prowadzenia „wrogiej agitacji”. Przeprowadzone akcje deportacyjne były obliczone na wykorzystanie w niewolniczej pracy bliskich Ofiar. Wszyscy oni mieli wyroki śmierci dziesięć i dwudziestoletnie zależnie od warunków pracy i bytu, do których zostali skierowani. W ich poprzednie miejsca zamieszkania natychmiast była wysiedlana ludność ze wschodu. Była to wielka akcja represyjno-administracyjna obliczona na zmianę struktury narodowościowej obszarów objętych tymi działaniami, nosząca znamiona czystki etnicznej na byłych polskich Kresach Wschodnich. Tylko zmiana sytuacji na arenie międzynarodowej spowodowała, iż niektórzy bliscy Ofiar zbrodni katyńskiej przeżyli. Zarówno rodziny, jak i naród przez dziesiątki lat odczuwali brak tych, którzy do domów nie powrócili, zmagając się z działaniami zniekształcającymi i zakłamaniami tragedii katyńskiej.

### **Obchody 78. rocznicy agresji sowieckiej na Polskę w Muzeum Katyńskim**

W niedzielę 17 września br. w rocznicę agresji sowieckiej na Polskę oraz w Dniu Pamięci Ofiar Agresji Sowieckiej na Placu Apelowym Muzeum Katyńskiego odprawiona została Msza święta w intencji ofiar II wojny światowej.

Nabożeństwu przewodniczył Biskup Polowy Wojska Polskiego gen. bryg. Józef Guzek, zaś modlitwę ekumeniczną poprowadził Ewangelicki Biskup Polowy, ks. płk Mirosław Wola. Uroczystość swoją obecnością zaszczylicili: Marszałek Senatu RP Stanisław Karczewski, Minister Obrony Narodowej Antoni Macierewicz, Sekretarz Stanu w MON Michał Dworczyk, Dowódca Generalny Rodzajów Sił Zbrojnych gen. dyw. Jarosław Mika, Wicedyrektor IPN Mateusz Szpytma oraz przedstawiciele Prezydenta RP, Sejmu, Rządu, wszystkich służb mundurowych oraz Rodziny Katyńskiej i Policyjne. Bezpośrednio po nabożeństwie delegacje złożyły kwiaty w Epitafium Katyńskim. Następnie minister obrony narodowej Antoni Macierewicz spotkał się z Rodzinami Katyńskimi. Po południu pod Pomnikiem Poległym i Pomordowanym na Wschodzie odbyły się uroczystości, podczas których odczytano Apel Pamięci.

Przed Mszą św. miała miejsce uroczystość wręczenia nagród uczestnikom konkursu historycznego „Żywa lekcja historii. Ocalić od zapomnienia”, którego koordynatorem był Adam Kowalski prezes Stowarzyszenia „Rodzina Katyńska Ziemi Mogileńskiej”. Nagrody dla laureatów zostały ufundowane przez MON i wręczone przez Dyrektora Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON Sławomira Frątczaka.

### **Z myślą o przekazie pamięci**

18 września 2017 roku w muzeum odbył się finał 8. edycji ogólnopolskiego konkursu „Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy...”, zorganizowanego przez Instytut Pamięci Narodowej (IPN) we współpracy z Fundacją PKO Banku Polskiego oraz Muzeum Katyńskim.

Zadaniem uczestników konkursu (uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych) było stworzenie karty z albumu poświęconej jednej z ofiar zbrodni katyńskiej. Do Instytutu Pamięci Narodowej wpłynęło 221 prac konkursowych.

Uroczysty finał konkursu został zorganizowany dla 45 wyróżnionych uczniów w murach Muzeum Katyńskiego. Autorów prac nagrodzono gramami i publikacjami IPN. W ramach dodatkowej atrakcji młodzież miała okazję wysłuchać koncertu Reprezentacyjnej Orkiestry Wojska Polskiego oraz obejrzeć pokaz Reprezentacyjnego Szwadronu Kawalerii Wojska Polskiego.

Wyróżnione prace można zobaczyć na wystawie w Muzeum Katyńskim

### **Konferencja „Bohaterowie i ciche Bohaterki, rzecz o Ofiarach Katynia i losach ich Rodzin”**

18 września 2017 roku w sali konferencyjnej Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych odbyła się konferencja zorganizowana przez Muzeum Katyńskie, Oddział Martyrologiczny Muzeum Wojska Polskiego we współdziałaniu z Urzędem do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Przybyłych gości powitał dyrektor Muzeum Wojska Polskiego, dr Adam Buława, który podkreślił rolę Muzeum Katyńskiego o przekazie prawdy o ludobójstwie 1940 r. Następnie głos zabrali: Anna Maria Anders, córka gen. Władysława Andersa, sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych, Michał Dworczyk, sekretarz stanu w MON, Dorota Janiszewska-Jakubiak, zastępca dyrektora Departamentu Dziedzictwa Kulturowego Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Przemawiający zwracali uwagę na wagę środowisk: kombatanckich, sybirackich, Rodzin Katyńskich i Stowarzyszeń Rodzin Policyjnych 1939 r. w przeciwstawieniu się kłamstwu i walce o trwanie w pamięci narodu prawdy o Ofiarach zbrodni katyńskiej i represjach jakich doświadczyli członkowie ich rodzin.

Panele dyskusyjne poprzedziła uroczystość wręczenia odznak pamiątkowych Muzeum Wojska Polskiego. W gronie osób szczególnie zasłużonych dla Muzeum Wojska Polskiego, na ręce których dyrektor Adam Buława złożył podziękowania dla całej formacji byli: generałowie Wojska Polskiego, Policji i Służby Więziennej, Ordynariusze Polowi, prezesi instytucji, stowarzyszeń i fundacji oraz osoby przeprowadzające ekshumacje i konserwację relikwii narodu polskiego. W imieniu uhonorowanych odznaką pamiątkową Muzeum Wojska Polskiego wystąpił prezes Instytutu Pamięci Narodowej dr Jarosław Szarek. Zwrócił on szczególną uwagę na rolę i zarazem odpowiedzialność wielu instytucji zaangażowanych w edukację. Wysiłek włożony w nauczanie stanowi bowiem nie tylko o ciągłości pamięci, ale też o wykształceniu przyszłych pokoleń mądrzejszych w swoich decyzjach o wiedzę i wnioski wynikające z przeszłości.

Na program zjazdu złożyły się trzy panele. Każdy z nich był swoistą odpowiedzią na pytanie: dlaczego nadal powracamy do tamtych dni? W pierwszym poświęconym „Ofiarom zbrodni katyńskiej” prelegenci przedstawili najnowsze wyniki badań nad ciągle otwartą historią ludobójstwa 1940 r. Podczas drugiego panelu „Losy Rodzin Ofiar zbrodni katyńskiej” skupiono się



na tym, co przeżyły ich rodziny pod dwoma okupacjami. W kolejnej części konferencji głos został oddany uczestnikom wydarzeń i ich dzieciom. Była ona żywym świadectwem przeżyć, które nie skończyły się w 1940 r.

Wielką niespodzianką dla pracowników Muzeum Katyńskiego Oddziału Martyrologicznego MWP było uhonorowanie złożone na ręce dr Ewy Kowalskiej – reprezentującej placówkę, przez Stowarzyszenie Rodzina Katyńska w Warszawie. Wręczony pamiątkowy guzik wojskowy został odebrany jako świadectwo współdziałania Potomków Ofiar oraz osób zatrudnionych w muzeum w przekazie prawdy o Ofiarach i ich katach, aby dzieje tej zbrodni nie uległy zakłamaniu i zapomnieniu.

Szczególnym akcentem uroczystości było uhonorowanie przez dyrektora MWP dr Adama Buławę, wieloletniego kierownika Muzeum Katyńskiego p. Sławomira Frączaka (obecnie Dyrektora Departamentu Edukacji, Kultury i Dziedzictwa MON. Dyrektor Sławomir Frączak obchodził w tym dniu czterdziestolecie pracy w muzealnictwie i zarazem służby na rzecz pamięci o Katyniu.

#### **Wyróżnienie dla publikacji Muzeum Katyńskiego Oddziału Martyrologicznego Muzeum Wojska Polskiego**

21 września 2017 r. odbyło się uroczyste podsumowanie XI edycji konkursu „Mazowieckie Zdarzenia Muzealne – Wierzba”. Było to wielkie święto wszystkich placówek, dla których Muzeum jest nie tylko miejscem przechowywania eksponatów, ale przede wszystkim spotkań, twórczej komunikacji i edukacji. Zgłoszone projekty były oceniane w pięciu kategoriach:

- wystawy przygotowane przez mniejsze muzea,
- wystawy przygotowane przez większe muzea,
- muzealne projekty otwarte,
- muzealne projekty edukacyjne,
- wydawnictwa muzealne.

Wśród prawie dziewięćdziesięciu zgłoszeń konkursowych została wyróżniona praca „...wierzymy mocno że wrócisz [...] Korespondencja wydobyta z dołów śmierci Charkowa i Miednoje ze zbiorów Muzeum Katyńskiego”. Nad edycją tekstów korespondencji zamieszczonej w publikacji pracował Sebastian Karwat, biogramy Ofiar przygotowała Joanna Kurczab, komentarzem historycznym opatrzyła Ewa Kowalska. Książka trafiła do rąk Czytelników dzięki wydawnictwu Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej.

Wyróżniona publikacja jest szczególną pozycją wśród wielu opracowań i monografii dotyczących mordu katyńskiego. Zawiera nieznanne treści listów i kartek wydobytych ze zbiorowych mogił podczas prac ekshumacyjnych prowadzonych w latach dziewięćdziesiątych. Przez zamieszczenie archiwalnych dokumentów w sposób jednoznaczny przedstawia prawdę o zbrodni dokonanej na funkcjonariuszach wielu służb mundurowych, w znacznej części rezerwistach, przedstawicielach inteligencji polskiej wezwanych do obrony Ojczyzny w 1939 r. Pochodząc od rodzin mówi także o represjach i deportacjach, które były ich udziałem.

Wyróżnione opracowanie archiwaliów grobowych pokazując osobisty wymiar dramatu, przez pryzmat losów jednostek obrazuje także tragedię naro-

du. Zawierając wstrząsający, bezpośredni zapis uczestników tamtych wydarzeń, jednoznaczne dowody zbrodni stanowi podstawową lekturę dla naukowców zajmujących się tematem Katynia. Dzięki komentarzowi historycznemu jest również ciekawą pozycją dla szerszego grona odbiorców szukającego w przeszłości odpowiedzi na pytanie: dlaczego tacy jesteśmy?

*Redakcja „Zesłańca”*

## **A P E L**

2 stycznia 2017 r. w Białymstoku zostało otwarte

### **MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU**

Podjmujemy się zadania pozyskiwania materiału fotograficznego, pamiątkarskiego oraz zbierania pamiątek związanych z zesłaniami do Imperium Rosyjskiego i ZSRS. W związku z tym zwracamy się do wszystkich, którym bliska sercu jest tematyka Sybiru o pomoc w budowie tego unikalnego Muzeum.

Prosimy o przesyłanie relacji, wspomnień z pobytu na nieludzkiej ziemi, przekazywanie zdjęć i innych pamiątek.

### **WSPÓLNIE ZBUDUJEMY MUZEUM PAMIĘCI SYBIRU!**

#### **Muzeum Pamięci Sybiru**

ul. Sienkiewicza 26

15-092 Białystok

tel. 795 650 800;

e-mail: [sybir@mwb.com.pl](mailto:sybir@mwb.com.pl)

[www.facebook.com/pl/muzeumpamiecisybiru](http://www.facebook.com/pl/muzeumpamiecisybiru)

---

---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- *Pamiętnik Emila Dybowskiego*, oprac. A. Brus, seria: *Kresy w polskich pamiętnikach i listach (1795-1918)*, t. 7, Warszawa 2017, s. 182.

W serii *Kresy w polskich pamiętnikach i listach (1795-1918)* zostały wydane *Pamiętniki Emila Dybowskiego*. Tę cenną publikację opracowała i wstępem opatrzyła Anna Brus. Emil Dybowski był zwykłym człowiekiem, „nie był ani dowódcą oddziału powstańczego jak jego rodzony brat Paweł, ani wybitnym uczonym – jak brat stryjeczny Benedykt. Ale podobnie jak tysiące innych uczestniczył w powstaniu styczniowym i został zesłany na Syberię – to, tak jak innym, zmieniło jego los i nazaczyło życiową drogę” (s. 7-8). Urodzony w powiecie mińskim, w miejscowości Rudzica, w zamożnej rodzinie szlacheckiej Emil, studiował w Dorpacie rolnictwo i matematykę, by następnie zostać zarządcą dóbr Jana Oskierki w guberni mohylewskiej. Jego spokojne życie, statecznego obywatela i męża trwało do 1863 roku, a gdy wybuchło powstanie styczniowe to „historia zaczęła już wciągać ludzi i zdarzenia w swój nieubłagany wir” (s. 12). Wciągnęła także Dybowskiego, którego brat Paweł pseudonim „Zaremba” zorganizował oddział powstańczy, a Emila oskarżono, na skutek donosu, najpierw o zachęcanie włościan do wstępowania w szeregi powstańców i walki przeciwko rosyjskim wojskom, a później o przynależność do oddziału brata. Przesiedział wiele miesięcy w mińskim więzieniu, by ostatecznie zostać skazanym na osiedlenie w Syberii Wschodniej z utratą praw stanu i konfiskatą majątku.

Przypadek Emila Dybowskiego pokazuje, że każdego można było, w tamtych czasach, uznać za „osobę nieprawomyślną pod względem politycznym, a to już wystarczyło do zesłania [...] na Sybir” (s. 17). O dalszych losach Emila Dybowskiego Anna Brus pisze: „Był zesłany do guberni irkuckiej, ale udało mu się zatrzymać nieco dłużej w guberni jenijskiej dokąd przybył razem z dobrowolnie towarzyszącą mu żoną w grudniu 1865 r. Jako miejsce zesłania wyznaczono mu wieś Zamiatina (Zamiatnina) niedaleko Krasnojarska” (s. 18), a później, w 1867 roku został wysłany do Irkucka. Po powrocie z zesłania pracował jako administrator dóbr w kieleckim, by ostatecznie osiąść w swym majątku w Łuczycach niedaleko Rudzicy.

Pamiętnik Dybowskiego rozpoczyna się od wyroku skazującego na zesłanie i pokazuje krok po kroku etapy podróży, które odbywa wraz z żoną. Pisze: „Coraz gorzej i gorzej było nam w podróży. W tomskiej guberni mianowicie naczelnicy jakby się zmówili: odmawiali nam drew, gdyśmy zziębli i zgłodnieli przybywali na nocleg” (s. 34). Przemierzając się w różne miejsca Emil dostrzega ich specyfikę. Relacjonuje różne zdarzenia, przedstawia

miejscowych ludzi i lokalny pejzaż. Po dotarciu do wsi Zamiatina rozpoczyna walkę o godziwe życie na obcej ziemi. Przedsiębiorczy Emil Dybowski zakłada szynk i zajmuje się uprawa ziemi, ale nie wszystko idzie dobrze. Wspomina: „I tak, gdyśmy się zżyli nieco, przywykli do miejscowości, opatrzywszy się, wynaleźli sobie zajęcia zapewniające nam życie, nieubłagany los znowu nas popycha między nieznaną twarzycę walczyć z nowymi przeciwnościami” (s. 47). To nieznaną to Irkuck.

Wiele kombinacji stosuje Dybowski by nie wyjeżdżać z rejonu krasnojarskiego. W tym zawieszeniu między wyjazdem a pozostaniem Emil odnotowuje wiele wydarzeń i przemyśleń. Patrzy na miejscowych ludzi z ogromną dozą krytycyzmu i pisze w swoim dzienniku: „Wszystko, cośmy przywykli uważać za niegodziwe, wszystko to przywłaszczyli sobie mieszkańcy Syberii: nasamprzód pijaństwo niepoohamowane” (s. 88). Jakże inne wady oburzają Emila? Zainteresowani na pewno znajdą odpowiedź w *Pamiętniku*. Opisuje obyczaje różnych warstw społecznych, zwłaszcza wyższych, wymienia nazwiska osób, które aktualnie miały jakieś znaczenie w jego życiu lub życiu społeczno-politycznym.

Kolejny etap zesańczej tułaczki Dybowskich to Irkuck, do którego przybyli 13 lipca 1867 roku. Emil w swoim pamiętniku stwierdza: „Obojeśmy doświadczyli w atmosferze irkuckiej coś dziwnie obcego dla siebie, jakiś chłód zionący z każdego” (s. 105). Amelia-żona zaczęła udzielać lekcji, a Emil zajął się pracami domowymi. Gdy nadarzyła się okazja podjął pracę w telmińskiej fabryce. Został zatrudniony w gorzelni. Praca pozwalała na godziwy zarobek i nawet zrobienie oszczędności, jak się nie prowadziło hulawczego trybu życia. Podczas pracy w fabryce pojawiają się zupełnie nowe sprawy i wydarzenia, które Emil opisuje, zwracając uwagę na problemy innych ludzi i własne położenie.

W końcu dla Dybowskich nastąpił radosny czas powrotu do kraju, o którym autor pisze: „opuściliśmy z żoną Telmińską fabrykę, serdecznie żegnając i żegnani od współwycieczników i ruskich towarzyszy po służbie. Jakkolwiek droga przed nami była bardzo daleka, jednak pomimo zupełnego braku pomocy rządowej w podróży nie była ona nam straszna” (s. 131). Powrót do kraju Dybowski skrupulatnie przedstawił w *Pamiętniku*, prezentując miejsca, ludzi i napotykaną problemy. Historia Dybowskich kończy się na guberni kieleckiej i stwierdzeniu: „Odtąd życie moje płynęło spokojnie, dzień jutrzejszy zaspokojony – i tak doczekałem powrotu do rodzinnego kąta” (s. 165).

*Pamiętnik Emila Dybowskiego* jest wyjątkowy, ponieważ autor opisuje wydarzenia na bieżąco, ale także uzupełnia je spostrzeżeniami po pewnym czasie i wtrąceniami żony Amelii. „Dybowski pisze bez egzaltacji właściwej wielu wspomnieniom z Syberii, czasami nudnawo i niewprawnie – ale prawdziwie” (s. 19). W tej autorskiej narracji jest wiele wątków i historyjek. Można znaleźć elementy obyczajowe, psychologiczne, społeczne, polityczne. W *Pamiętniku* jest przedstawione prawdziwe życie z różnymi intrygami, problemami, wątkami romansowymi, a nawet kryminalnymi. Czytelnik nie znajdzie w tej publikacji martyrologii i syberyjskiego zniewolenia. Ma za to możliwość poznania zmagania człowieka z przeciwnościami losu. Wiele problemów przeżywanych przez Dybowskich ma właściwości uniwersalne i może się przytrafić niezależnie od szerokości geograficznej.

Warto wcztać się w opowieść o niechcianym syberyjskim losie i odbyć podróż w głąb Rosji, aby poznać życie jednego z wielu zesłańców na Syberię. Zobaczyć życie przedstawiciela „wyższej sfery”, który nie tylko wegetuje na granicy zaspokajania potrzeb biologicznych, ale także zarządza, uczestniczy w życiu towarzyskim i dostrzega możliwości zarobkowania, aby normalnie żyć. *Pamiętnik Emila Dybowskiego* to inna Syberia i mimo niezbyt potocznej narracji czyta się książkę z zaciekawieniem.

*Małgorzata Dziura*

- ***Tak było... Sybiracy, tom 15 – Syberyjskie szlaki polskich zesłańców 1940-1946, Kraków 2015, s. 260 i tom 16 – Oni przetrwali, Kraków 2016, s. 292.***

Seria wydawnicza *Tak było... Sybiracy* utworzona w 1995 roku przez Komisję Historyczną Oddziału Związku Sybiraków Krakowie, po dłuższej przerwie datowanej od roku 2008 rozpoczęła ponownie działalność wydawniczą. W roku 2015 ukazał się 15 tom tej serii, zaś w roku 2016 kolejny. Przedstawiając ten rodowód warto przypomnieć, że poprzednie tomy, podobnie jak dwa ostatnie mają wiele implikacji dla praktyki badawczej dotyczącej dziejów Polaków na Syberii oraz w innych rejonach byłego Związku Sowieckiego.

Jest faktem oczywistym, że nadal istnieje potrzeba głębszej refleksji z tego zakresu, której wzbogaceniem są właśnie relacje zesłańców, częstokroć spisywane z wielkim trudem przez nich lub przekazywane w formie „oral history” (historia mówiona). Relacje te przyczyniają się do ocalenia syberyjskich doświadczeń oraz towarzyszących im wydarzeń i ukazują szersze konteksty niewoli „na nieludzkiej dla nich ziemi”. Wzbogacają też istniejącą lukę w stanie naszej wiedzy o deportacjach i zesłaniach w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. W polu uwagi autorów tych relacji znalazły się więc dziesiątki różnorodnych szczegółów, umożliwiających lepsze poznanie zesłańczych realiów. Są to informacje niewątpliwie rzetelne i z pewnością dopełniają faktografię sowieckiego zniewolenia.

Podobnie jak w poprzednich tomach tej serii, także w dwu ostatnich (nr 15-16) zesłańcy opisują swój los w tajgach Sybiru, w stepach Kazachstanu i łagrach Workuty, powracając do niezwyklej przeżyć z lat niewoli. Relacja te poszerzają stan wiedzy o uwarunkowaniach odbywania zsyłki, dokumentując to związaną z nią faktografią. Opublikowanie tych wspomnień wymagało niewątpliwie wysiłku organizacyjnego, redakcyjnego trudu oraz finansowego zabezpieczenia ich edycji. Mimo tego trudu wypada życzyć, by kolejne tomy tej zasłużonej serii ukazywały się w dalszym ciągu. Bardzo potrzebne oraz warte uwagi są te wspomnieniowe relacje zamieszczone w prezentowanych tomach, a alert w sprawie ich gromadzenia trwa nadal.

Ocena całości obu ostatnich tomów wypada zdecydowanie pozytywnie a ich treść to ważny przewodnik po mniej znanych zesłańczych ścieżkach Polaków i ich syberyjskiego labiryntu z lat 1940-1941 oraz późniejszych. Opublikowane w nich zesłańcze relacje, podobnie jak inne tego rodzaju

publikacje, nasycone są ludzkimi nieszczęściami oraz ogromem wiedzy o zesłańczym losie. Nie sposób omawiając te dwa tomy poruszyć wszystkie zawarte w nich wydarzenia, których jest w nich mnóstwo. Na takie relacje istnieje zapotrzebowanie społeczne, a przy tym dopełniają one wiedzę historyczną o zesłaniach i deportacjach Polaków w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. I dlatego ważne jest przy tym podkreślenie ciągłości edytorskiej tej pożytecznej serii, a jej redaktorce Pani mgr Aleksandrze Szemioth wyrażam serdeczne podziękowanie za ten trud.

Podkreślić należy, że teksty te czyta się z zainteresowaniem, co niewątpliwie jest zasługą solidnej ich edycji. W każdym razie dobrze się stało, że ukazały się dwa kolejne tomy tej serii, które już nie uszły uwagi badaczy. Dodajmy, że wszystkie dotychczas wydane tomy dają badaczom związków polsko-syberyjskich bogaty materiał pozwalający sytuować te związki w szerszym kontekście faktograficznym. Niewątpliwie są one ważnym ogniwem w łańcuchu faktów związanych z życiem na zesłaniu. Są one, rzecz można, rzetelnym zapisem różnych wydarzeń, których w moim odczuciu nie można pominąć w ciągle czekającej na opracowanie monografii społeczno-historycznej dotyczącej syberyjskiej niewoli naszych rodaków w okresie drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu. Myślę, że intuicja o istniejącej potrzebie tych relacji nie zawiodła redaktorki serii. Czekam więc na jakże potrzebne kolejne tomy.

*Antoni Kuczyński*

\*

**Staraniem Komisji Historycznej Związku Sybiraków  
Oddział w Krakowie wydano dotychczas:**

„**Tak było... Sybiracy**” t. 1 – Kraków 1995, s. 144. Książka jest rodzajem antologii wspomnień, zawiera 11 fragmentów wspomnień różnych autorów (ze zbiorów Komisji Historycznej Związku Sybiraków).

„**Tak było... Sybiracy**” t. 2. *Dzieciństwo na Syberii* – Kraków 1997, s. 273 – wspomnienia trzech autorów (Romuald Bartoszewicz, Marian Gurdak i Eugeniusz Wojnar), którzy wraz z rodzinami byli deportowani w 1940 roku z Kresów Wschodnich.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 3. *Polki na Syberii* – Kraków 1997, s. 333 – wspomnienia trzech autorek (Maria Aulich, Michalina Habaj i Wanda „Nowakowska” Drozdowa) obrazują odmienne doświadczenia każdej z nich.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 4. *Eugeniusz Wojtysiak, Wspomnienia skazańca z Kołomy* – Kraków 1998, s. 188 + wkładka fotograficzna – relacja obejmuje udział w akcjach zbrojnych i konspiracji AK na Kresach (1939-1949) oraz 8 lat pobytu w więzieniach i łagrach sowieckich do 1956 roku.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 5. *Różne losy zesłańców* – Kraków 1999, s. 160 – wspomnienia trzech autorów: –Jerzy Koziński – deportowany jako młody chłopiec (1940-1946); Bohdan Thugutt – żołnierz AK, aresztowany przez NKWD w 1945 r. w Krakowie i wywieziony do ZSRR, gdzie przebywał jako internowany do 1948 r.; Konrad Zajączkowski – więzień łagrów, po amnestii w Armii W. Andersa.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 6, **Ludwika Kuczevska, *Biali niewolnicy***, Kraków 2000, s. 397 – aresztowana w 1939 r. w Wilejce, więziona w łagrach k. Karagandy, uwolniona w 1941 r., była w Obwodzie Aktiubińskim oraz w Aszcha-badzie, od 1943 r. ponownie 2 lata w łagrach, wróciła w końcu 1945 r.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 7, **Wywiezione do Kazachstanu (1940-1946)**, Kraków 2001, s. 350 – wspomnienia Wieńczysławy Bystrzyckiej-Kozera, Anny Strzępka i Jadwigi Tuczyńskiej, deportowanych do Kazachstanu 13 kwietnia 1940 roku.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 8, **Wyszli z *Andersem***, Kraków 2002, s. 245 + wkładki zdjęciowe. Książka zawiera wspomnienia dwójga autorów: Bronisława Dowgiałły, oficera WP, więźnia łagrów oraz Janiny Soleckiej, która z rodziną była wywieziona do Kazachstanu. Oboje zdołali wydostać się z Armią Polską do Iranu w 1942 roku.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 9, **W tundrze, w tajdze i na stepach**, Kraków 2003, s. 352. Książka zawiera wspomnienia czterech autorek: Stefanii Borst, Mirosławy Chomów, Wandy Ciuman i Zofii Siuzdak. Były one deportowane do różnych części ZSRR i przebywały tam w latach 1940–1947.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 10, **Powrócili**, Kraków 2003, s. 232. – wspomnienia trzech autorów: Tadeusza Kaźmierczaka, Jana Kwiatkowskiego i Romana Matejka. Każdy z nich był przetrzymywany na terenie ZSRR, w różnych miejscach i w różnym czasie. Zdołali powrócić i dali świadectwo swoich trudnych losów.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 11, **Na dalekiej północy**, Kraków 2004, s. 356. – wspomnienia czworga autorów: Zofii Gonet-Grabowskiej, Tadeusza Jankusa, Mariana Lamparta i Wandy Mleczko. Wszyscy byli deportowani 10 lutego 1940 roku do tajgi na północy ZSRR. Ich relacje są przejmującym świadectwem bardzo trudnych losów polskich rodzin na zesłaniu.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 12, **Ratunkiem była nadzieja**, Kraków 2005, s. 396. – relacja ośmiu autorów: Eugenii Ileczo-Łudzik, Janiny Jagielskiej, Ryszarda i Jadwigi Jasiukiewiczów, Jolanty MotusKoczurowej, Barbary Medvey, Heleny Roszkowskiej, Włodzimierza Towpasa i Leokadi Woźniak-Orlickiej. Ich losy były różne – pobyt na deportacji na terenie ZSRR (1940-1946 r.), w wojskowym obozie jenieckim (1939 r.) oraz – już po wojnie – uwięzienie i osadzenie w łagrach, w tym na Kółymie (do 1955 r.).

„**Tak było... Sybiracy**” t. 13, **Oblicza Syberii**, Kraków 2007, s. 444 – wspomnienia osób, które w okresie II wojny światowej były ofiarami represji sowieckich. Autentyczne świadectwa z miejsc deportacji i z łagrów na terenie ZSRR spisali: Henryk Giluk, Stanisława Kaczmarczyk, Helena Kopeć, Antonina Korpettowa, Antoni Ratyński, Zbigniew Szczepański i Bronisław Tomczyk.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 14, **Deportowani na Wschód**, Kraków 2008, s. 376 – Autorzy: Aleksander Brzozoń, Maria Jankowska, Zofia Peschel, Edward Wnukowski i Janina Złotnicka. Wszyscy w swoich wspomnieniach opisują deportację w 1940 r. do Archangielskiego Obwodu lub do Kazachstanu. Są to autentyczne relacje ofiar represji sowieckich.

„**Tak było... Sybiracy**” t. 15, **Syberyjskie szlaki polskich zesłańców 1940-1946**, Kraków 2015, s. 260. Autorzy wspomnień: Halina Domalik, Zenon

Drak, Janina Drak, Józefa Kołodziej, Zbigniew Wzorek, Aniela Wzorek, Konrad Rafałowski, opisali swoje trudne losy z okresu deportacji w głąb ZSRR.

„**Materiały źródłowe do dziejów sybirackich**”, Kraków 1995, s. 169, kopie dokumentów i fotografii. Książka jest wyborem oryginalnych dokumentów, dotyczących losów polskich zesłańców w latach 1917-1956, ze zbiorów Komisji Historycznej.

„**Materiały źródłowe do dziejów sybirackich**” *Listy z Sybiru*, Kraków 1996, s. 182, kopie dokumentów. Książka jest wyborem oryginalnej korespondencji urzędowej i osobistej dotyczącej losów polskich zesłańców w latach 1939–1962 (ze zbiorów Komisji Historycznej).

**Józef Emil Dumański**, *Opowieści Dziadka Jo-Jo*, Kraków 1996, s. 259. Książka stanowi zbeletryzowane wspomnienia (przeznaczone w zamyśle Autora dla własnych wnuków), które obejmują jego losy od aresztowania na granicy polsko-węgierskiej, poprzez więzienie i łagier sowiecki, z którego dotarł do Armii gen. W. Andersa, do udziału w walkach w polskim batalionie myśliwskim RAF-u.

**Antoni Ratyński**, *Sybiracy, zesłańcy carscy...*, Kraków 1999, s. 120. Książka stanowi zbiór biogramów i fotografii Sybiraków (i ich grobów), zesłanych przez rosyjskich carów w głąb Imperium, którzy swoimi losami związali się z Krakowem.

Wszystkie książki są do nabycia: w siedzibie Komisji Historycznej, Kraków ul. Basztowa 22, p. 16. 2; (czwartki, godz. 11-13, tel./fax 12 392 19 09





**Swietłana Mulina**

## **Migranci wbrew swej woli**

Adaptacja zesłanych powstańców styczniowych  
na Syberii Zachodniej



Centrum  
Polsko-Rosyjskiego  
Dialogu i Porozumienia

Wydawnictwo Naukowe  
SCHOLAR





WŁADYSŁAW MASIARZ

**WIERSZYNA**  
**Polska wieś na Syberii Wschodniej**  
**1910-2010**

Z dziejów dobrowolnej migracji chłopów polskich na Syberię  
na przełomie XIX i XX wieku

## **„Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie” Zbiórka funduszy na odbudowę polskiego kościoła**

W połowie kwietnia br., tuż po Wielkanocy, na Syberii, w polskiej wiosce Białystok, spłonął ponad stuletni kościół. Budynek zbudowali, w 1908 r. Polacy, dobrowolni przesiedleńcy z grodzieńskiej i wileńskiej guberni, którzy do Rosji pojechali za chlebem. Była to jedyna tego typu kaplica na Zachodniej Syberii, która funkcjonowała do czasów współczesnych. 5 czerwca br. rozpoczyna się zbiórka funduszy na odbudowę kościoła. Akcja nosi nazwę **„Syberyjski Białystok – Zmartwychwstanie”**. Organizatorem jest katolicka parafia w Tomsku, w Rosji.

Polska wioska Białystok na Syberii została założona pod koniec XIX w. przez dobrowolnych przesiedleńców z grodzieńskiej i wileńskiej guberni, którzy do Rosji trafili na podstawie reformy agrarnej Piotra Stołypina. W 1908 r. Polacy zbudowali tam drewniany kościół pw. św. Antoniego Padewskiego. Działał on nieprzerwanie przez niemal 25 lat. W 1931 r. został zamknięty przez władze sowieckie. W czasie II wojny światowej budynek świątyni przeznaczono na magazyn zboża, od 1945 r. pełnił funkcję wiejskiego klubu. W latach 80. XX w. budynek opustoszał. W 1990 r., po raz pierwszy od 50 lat, do Białegostoku przyjechał ksiądz, jego wizyta stała się impulsem do odnowienia katolickiej społeczności. Budynek wrócił do jej rąk. Ponowne otwarcie kościoła, już po remoncie, poświęcenie świątyni, miało miejsce 13 czerwca 1998 r. *„Dla polskiej ludności Białegostoku. Ten dom Boży, stanowił materialny symbol więzi z przodkami i ich kulturą”* – mówi Agnieszka Kaniewska, wrocławianka, od 2014 r. mieszkająca na Syberii, regularnie odwiedzająca wioskę.

W nocy z 18/19 kwietnia br., w niewyjaśnionych do tej pory okolicznościach, kościół spłonął. Pozostały jedynie ceglane fundamenty. Ze zgliszczy wydobyto fragment dzwonu z napisem *„Dziewica Maryja”*.

„Społeczność Białegostoku oraz tomska parafia, pod której opieką znajduje się wioska, rozpoczynają zbiórkę funduszy na odbudowanie domu modlitwy, a przede wszystkim na symboliczne odtworzenie miejsca przez ponad 100 lat związanego z Polską” – podkreśla Wojciech Ziółek SJ, proboszcz parafii w Tomsku.

Szczegóły dotyczące akcji znajdują się na stronie:

<https://belostok-catholic.ru/pl>

Kontakt dla mediów: [info@belostok-catholic.ru](mailto:info@belostok-catholic.ru)

**Wojciech Ziółek SJ – proboszcz parafii w Tomsku:**

E-mail: [wziolek@yahoo.es](mailto:wziolek@yahoo.es)

Tel. RUS (+7) 923-418-08-57

PL (+48) 679-907-601

WhatsApp: +79234180857

**Agnieszka Kaniewska:**

E-mail: [kaniewska.aga@gmail.com](mailto:kaniewska.aga@gmail.com)

Tel. PL (+48) 501-321-593

WhatsApp: +79527562106



Federalna Polska Autonomia Narodowo-Kulturalna „Kongres Polaków w Rosji” powstała wraz z upadkiem ZSRR. Rozpoczął się wówczas kilkietapowy proces formalizowania Polskiej Autonomii Narodowo-Kulturalnej. W 1992 r. na I zjeździe organizacji polonijnych z inicjatywy dziesięciu lokalnych organizacji został powołany „Kongres Polaków w Rosji”. 5 lat później doszło do II zjazdu, by w końcu na otwarcie XXI wieku (III zjazd miał miejsce w 2003 r.) podjąć doniosłą w swoich skutkach decyzję o stworzeniu Polskiej Federalnej Autonomii Narodowo-Kulturalnej „Kongres Polaków w Rosji”, w skład której weszły Autonomia Narodowo-Kulturalna Polaków w Moskwie „Dom Polski”, Irkucka Obwodowa Organizacja Społeczna Polska Autonomia Kulturalna „Ogniwo”, Krasnojarska Regionalna Autonomia Narodowo-Kulturalna „Dom Polski” oraz przedstawiciele regionalnych organizacji społecznych Polaków Abakanu, Barnauła, Bijska, Władykaukazu, Wołgogradu, Władywostoku, Jekaterynburga, Kazania, Jarosławia, Kaliningradu, Krasnodaru, Mineralnych Wód, Nalczyka, Nowosybirsk, Orenburga, Permu, Penzy, Rostowa nad Donem, Petersburga, Samary, Smoleńska, Saratowa, Tomska, Togliatti, Tiumenia, Ufy, Ułan-Ude, Usola Syberyjskiego i stancy Anapskaja. Od 2003 r. do „Kongresu Polaków w Rosji” dołączyły się kolejne organizacje, osiągnąwszy obecnie liczbę 55.

*Zapraszamy na stronę Kongresu <http://www.poloniarosji.ru>*

### **„Zesłaniec” w internecie**

Od grudnia 2009 roku kwartalnik „Zesłaniec” dostępny jest również w wersji internetowej, na stronie:

**<http://zeslaniec.pl>**

Obecnie w zakładce „Spis treści” na wyżej wymienionej stronie dostępne są roczniki 2006-2017, a numery bieżące oraz w miarę możliwości poprzednie będą sukcesywnie dodawane. Autorem witryny internetowej jest Pan Janusz Łukasiak, zaś hosting na preferencyjnych warunkach zapewnia firma mzplanet.com.

\*

Przekazując Szanownym Czytelnikom tę informację, redakcja dziękuje Panu J. Łukasiakowi za bezinteresowne wsparcie nas w ważnej potrzebie pełniejszego czytelniczego odbioru „Zesłańca” za pomocą internetu. Wyrazy wdzięczności kierujemy również pod adresem firmy mzplanet.com. za udostępnienie hostingu na zasadzie specjalnej preferencji. Ujmując rzecz w schematyzującym z konieczności uproszczeniu można powiedzieć, że ten kierunek popularyzacji publikacji zawartych w „Zesłańcu” odpowiada na apel jego Czytelników.

***Redakcja „Zesłańca”***



### **CENTRUM KSIĄŻKI POLSKIEJ NA SYBERII**

Od 2005 roku w Abakanie, stolicy syberyjskiej Republiki Chakasji działa Centrum Książki Polskiej przy Narodowej Bibliotece Chakasji. Centrum Książki Polskiej jest jedynym w Federacji Rosyjskiej. Powstanie Centrum zawdzięcza Kulturalno-Narodowej Organizacji Społecznej „Polonia” w Abakanie przy wsparciu Wydziału Konsularnego Ambasady Polskiej w Moskwie oraz Ministerstwa Kultury Republiki Chakasja.

Centrum prowadzi szeroko zakrojoną działalność kulturalno-oświatową i służy nie tylko jako wypożyczalnia książek. Przy Centrum odbywają się sobotnie kursy języka polskiego dla dorosłych, działa klub studencki dla studentów filologii oraz klub kina polskiego „Harmonia”.

Podczas Dni Kultury Polskiej na południu Syberii właśnie tu odbywają się kursy dla nauczycieli języka polskiego, wystawy i prezentacje nowych książek polskich i polonijnych oraz pokazy polskiego kina.

Obecnie Centrum posiada księgozbiór liczący ponad 3 000 woluminów oraz ponad 3000 kaset, płyt DVD i CD, dysponuje także licznymi pomocami dydaktycznymi. Jest to literatura, która ma największe zainteresowanie wśród Polonii syberyjskiej. Oprócz słowników i literatury translatorskiej są to opracowania historyczne oraz cieszące się popularnością albumy i monografie o kulturze i ludowych tradycjach Polaków oraz o regionach Polski.

Centrum kieruje Swietłana Kuźmina, której etat opłaca Ministerstwo Kultury Republiki Chakasji. Niestety, w Polsce Centrum nie ma stałego partnera. Książki pochodzą z darowizn oraz z zakupów z dotacji przekazanych przez fundację „Pomoc Polakom na Wschodzie” i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”.

***Szczegóły o Centrum Książki Polskiej oraz kontakty  
na stronie Biblioteki Narodowej im. N. Domożakowa  
<http://www.nbdrx.ru/otdel6.aspx>; e-mail: [lletuvis@list.ru](mailto:lletuvis@list.ru)  
Adres pocztowy: ul. Czertygaszewa 65-A, 655017 m. Abakan Rosja***